

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

STYCZEŃ 2018/1

magazynhisteria.pl

PRAWDZIWIY OPIS WYPADKU
Z P. WALDEMAREM

E.A. Poe

GOŚĆ
SPECJALNY
Agnieszka
Kwiatkowska

"Egzorcysta":
między fikcją a prawdą
Olga Kowalska

CIEMNY DOM POŚRÓD MODRZEWI | DE VITAE SENSU
DZIEŃ NAUCZYCIELA | MGŁA, Z KTÓREJ PRZYCHODZIMY
OPĘTANY Z ORNES | PRZYPADEK ADAMA C. | TRZY SIOSTRY
VATICANUS | ZNAJDA | ŻÓŁTA KOKARDA

Jan 2018

SPIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
Wyznania Histeryka		4
CIEMNY DOM POŚRÓD MODRZEWI	Jakub Bielawski	5
DE VITAE SENSU	Kacper Szydłowski	24
DZIEŃ NAUCZYCIELA	Jacek Nowak	28
MGŁA, Z KTÓREJ PRZYCHODZIMY	Piotr Tiszczenko	44
OPĘTANY Z ORNES	Łukasz Kuliński	50
PRZYPADEK ADAMA C.	Krzysztof T. Dąbrowski	61
TRZY SIOSTRY	A. Kwiatkowska	74
VATICANUS	Maciej Szymczak	96
ZNAJDA	Marcin Zwoleń	107
ŻÓŁTA KOKARDA	Antoni Nowakowski	122
Oblicza Pazuzu. "Egzorcysta": między fikcją a prawdą	Olga Kowalska	136
PRAWDZIWY OPIS WYPADKU Z P. WALDEMAREM	E.A. Poe	140

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Okładka: Joanna Widomska

Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Dawid Boldys, Marcin Czarnecki, Olga Czarnecka, Barbara Komaniecka, Stanisław Lament, Małgorzata Siłkowska, A.A. Turkiewicz "Triopse", Izabela Wojciechowska, Zvyrke

Korekta: Dagmara Adwentowska, Joanna Korytko, Alicja Podkalicka

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.

Witajcie!

Przed Wami styczniowa Histeria. Gościem Specjalnym dwudziestego czwartego numeru jest Agnieszka Kwiatkowska, która prezentuje na naszych łamach niepublikowane dotąd opowiadanie „Trzy siostry”.

Wśród dziesięciu opowiadań znajdziecie dwa finałowe teksty z *Opętanego* konkursu, zorganizowanego z okazji pierwszej rocznicy śmierci Williama P. Blatty’ego, autora *Egzorcysty*. W środku znajdziecie również fragment nadchodzącej antologii *Sinobrody i inne opowiadania*, autorstwa Macieja Szymczka. Na początek jednak wywiad z Histerykiem Miesiąca – Jakubem Tyszkowskim.

Na koniec – artykuł Olgi Kowalskiej pt.: „Oblicza Pazuzu. *Egzorcysta*: między fikcją a prawdą” oraz *Prawdziwy opis wypadku z P. Waldemarem* E.A. Poe, którego 209. rocznicę urodzin obchodzimy w tym miesiącu.

Tyle od nas. Wracamy do prac nad marcowo-rocznicową Histerią. Życzymy strasznej lektury!



B. Jaworski i M. Zawadzki

WYZNANIA **HISTERYKA**

Jakub
Tyszkowski



Jakub Tyszkowski – rocznik '95, urodzony na Opolszczyźnie, w mieście, z którego pochodzą Drożdże Babuni. Student dziennikarstwa na UJ. Fan starych map, małych dworców kolejowych oraz polskich gór. Uzależniony od oglądania kanałów kulinarnych na YouTube. Opowiadania publikował i w Internecie, i na papierze.

Skąd pomysł na opowiadanie „Wrzutnia nocna”?

Na ten pomysł właściwie składają się dwa pomysły. Pierwszy: byłem bodajże w Poznaniu, kiedy w ścianie budynku zobaczyłem klapę opatrzoną napisem „Wrzutnia nocna”. Wtedy jeszcze nie miałem pojęcia, że jest to usługa bankowa i zanim odkryłem prawdę, przez długi czas wyobrażałem sobie, do jak niestworzonych rzeczy taka wrzutnia nocna może służyć. Drugi: pewnego razu męczyłem się z bezsennością i w okolicy trzeciej w nocy wyjrzałem przez okno. Po drugiej stronie ulicy znajdował się budynek, gdzie w niemal wszystkich oknach panowała ciemność, oprócz tego jednego na drugim piętrze. Kto o tej porze mógł czuć? Oba pomysły wrzuciłem do twórczego miksera i tak powstało opowiadanie.

Jak wyglądała praca nad tekstem?

Opowiadanie jest krótkie i nie wymagało szczególnego researchu, toteż praca szła sprawnie. Najpierw wymyśliłem konspekt tego, co chcę napisać, potem wystarczyło wklepywać litery w odpowiedniej kolejności, wyrazy uszeregować we właściwym szyku, no i jakoś tak wyszło.

Pisanie to hobby czy coś więcej?

Mam wyrzuty sumienia, jeśli w ciągu dnia nie napiszę czegośkolwiek. Jeśli brakuje mi czasu, żeby popracować nad opowiadaniem, wystarczy, że spiszę listę zakupów i wtedy mogę spać spokojnie. Chyba jak każdy adept słowa marzę, aby pisanie stało się czymś więcej, aczkolwiek obecnie traktuję to jako hobby.

Jakich pisarzy szeroko pojętej grozy cenisz sobie najbardziej?

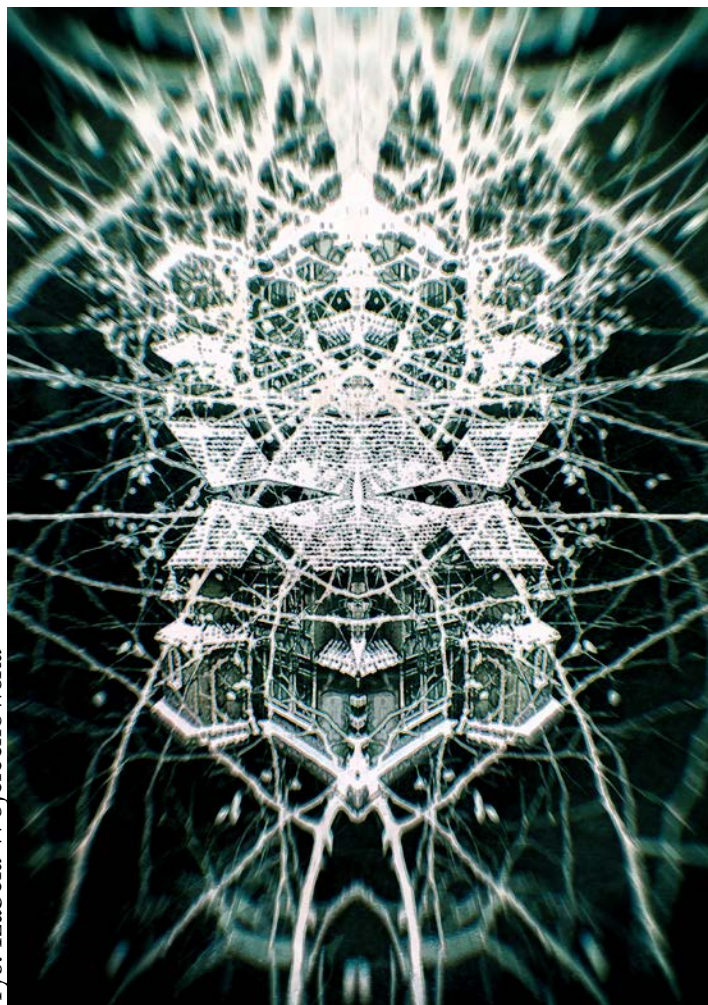
Oryginalny nie będę, bo wychowałem się na klasykach, czyli prozie Kinga. Co ciekawe, z twórczości Króla największe wrażenie robi na mnie jego dzieło niekoniecznie z gatunku grozy, „Dallas ‘63”. W takich odpowiedziach koniecznie musi się pojawić Lovecraft, Poe, dla mnie jeszcze Blackwood – ich się nie da nie cenić. Duże wrażenie robi na mnie też większość opowiadań Ligottiego. Najbardziej bałem się w trakcie „Opowieści starego antykwariusza” M.R. Jamesa oraz „Domu kości” Mastertona, aczkolwiek to drugie czytałem jako dzieciak i nie wiem, czy dzisiaj zrobiłoby na mnie wrażenie.

Z czym kojarzy Ci się słowo *histeria*?

Z dzikim, pierwotnym przerażeniem, tak silnym, że nie mogę wydobyć z siebie krzyku, tak obezwładniającym, że po każdym wydechu moje płuca coraz bardziej się kurczą, aż w końcu nie mogę złapać powietrza; z pustką w głowie, bo w takim stanie człowiek nie może nic wymyślić; z ucieczką gdzieś daleko, byleby tylko oddalić się tego, co histerię wywołuje; z chęcią zapomnienia, bo jak już uciekniemy, to mogą ją wywoływać traumatyczne wspomnienia.



rys. Izabela Wojciechowska



CIEMNY DOM POŚRÓD MODRZEWI

(zwycięskie opowiadanie *Opętanego* konkursu)

Jakub Bielawski

Tak to jest, że nam nasi rodzice przypominają to, czego w sobie najbardziej nie lubimy, i w ich starzeniu się widzimy nasze liczne grzechy, myślałem, ale może to było coś więcej – czasem zdarza się, że dusze dzieci i rodziców są w istocie sobie wrogie i spotykają się w życiu, aby tę wrogość naprawić. Nie zawsze się to jednak udaje.

Olga Tokarczuk, *Księgi Jakubowe*

Jej matka umierała już od ponad dziesięciu lat. Tym razem zdecydowała się odejść w nocy. Dokładnie rzecz ujmując, dwudziestego piątego grudnia, piętnaście minut po drugiej. Bakelitowa słuchawka dygotała na blacie. Była cisza, nie ma ciszy. Suka zamknięta w kotłowni zaczęła ujadać, zaraz też odpowiedziała jej reszta psiej populacji, cała wioska. Wieś tak naprawdę nigdy nie zasypia, przemyka tylko jedno oko i ciągle czuwa, spoglądając groźnie dookoła.

Dobrze wiedziała, kto dzwoni, wiedziała dlaczego. Rozumiała, że to wszystko nie ma najmniejszego sensu, a mimo to wstała z ciepłego łóżka. Pierzyna parowała tłustym zapachem snu, wabiła w swoje objęcia jak mięsożerny kwiat z dusznego serca dżungli. Kobieta wahała się chwilę, stała rozchełstana i nie do końca przytomna. Zdarty dzwonek szarpał resztki nocnej ciszy, rozrywał je przy tym bez cienia litości. Psy szczekały coraz głośniejsze. Tępe pazury drapały drzwi do łazienki. Stolik pod telefonem trząsł się i trzeszczał. Oderwała otępiałe spojrzenie od łóżka, wzięła rozczłapane kapcie i ruszyła do kuchni. Nie musiała włączać światła, cały dom знаła na pamięć: wszystkie progi, zakręty, stopnie i meble. Wszystko. Próg – trzy kroki – zamknięte drzwi po prawej – dwa kroki, jednaście stopni – wieszak na kurtki po prawej, korytarz do łazienki, próg, zydelek po prawej, a za nim blada zieleń aparatu. Złapała za telefon, wstrzymała oddech i podniosła słuchawkę. Ostatni dzwonek obumarł w pół taktu, a wraz z nim po raz kolejny umarła jej matka.

Nigdy nie kochała swojej matki, była też pewna, że z wzajemnością. Wstydziała się tej oziębłości, ukrywała ją pod płaszczkiem troski i zaangażowania. Matka przez długi czas ignorowała „zaloty” swojej nieszczęśliwej, osieroconej córki. Jadła obiady, nosiła nowe swetry i buty, ale nigdy nie skalała swoich ust podziękowaniami. Pojawiały się więc nowe dania, a szafy pękały wręcz od ciepłych, zimowych kurtek. A potem znów była tylko wzgarda, kpiący wzrok i pretensje. Sąsiedzi pukali się w czoło, mąż tłumaczył, później krzyczał, trząsał nawet drzwiami. Wszystko na nic. Potrzebowała tej protezy serca bez względu na koszty. Sprostytuowała wspomnienia, zapłaciła za nie tyle, że mogła sobie na wiele pozwolić (tylko bez całowania). Zamieniła więc wszystkie grymasy w uśmiechy, a gderliwe mruknięcia w okrzyki radości. Do ciemnego domu na skarpie zawitało wreszcie słońce. Migotało i brzęczało, jego światło było zimne i jakieś takie nieprzyjemne, ale grunt, że było. Wszystko się jednak zmieniło, kiedy starej matce przyszło po raz pierwszy umrzeć.

Odłożyła słuchawkę bez słowa. Naciągnęła stare dresy i polar. Na to wszystko narzuciła puchową kurtkę z Wałbrzycha. Dłuższą chwilę szukała śniegowców. Widziała zadymkę za oknem, nie było mowy o innych butach. W przedpokoju pusto. Zirytowana poszła do kotłowni. Słyszała, jak suka skuczy za drzwiami. Nie było innego wyjścia. Otworzyła drzwi i wypuściła psa na zewnątrz. Zignorowała popiskiwanie i odtrąciła mokry pysk, chcąc jak najszybciej wyjść z domu. Przystąpiła próg.

Ciemna, masywna sylwetka przypominała przykucniętą w rogu poczwarę, jakiś poroniony byt. Niewielkie pomieszczenie wypełniały jego żelaziste skargi, trzaski i szmery. Żalił się na swój marny losy, dyszał nienawiścią i sadzą, bulgotał gniewnie. Cofnęła się odruchowo. Pies wył i jęczał na przemian. Ręka sama odnalazła przełącznik, goła żarówka rzygnęła ciepłym światłem. Zamrugła oszołomiona. Piec nadal jęczał i zawodził do wtóru z wiatrem na zewnątrz. Rozejrzała się wokół. Śniegowce oczekiwały nieopodal głównej komory. Złapała szybko parujące jeszcze buty i zagoniła psa do środka. Mogła wychodzić.

Wszyscy we wsi uważali jej matkę za wariatkę. Dzieci podchodziły pod jej dom, rzucały kamieniami w szyby albo zostawiały na progu zdechłe koty i ptaki. Dorośli opowiadali sobie niestworzone historie o starszej kobiecie mieszkającej u stóp Szociaka. Przyjechała tu zza Buga, tak jak reszta mieszkańców. Nie miała męża ani dzieci, z pociągu wysiadła z młodszą siostrą, starym psem, kozą i trzema kołdrami. Wybrały sobie ciemny dom nad rzeką. Szabrownicy nie ruszyli sprzętów, nie musiały zatem martwić się o wyposażenie. Mogły od razu zacząć mieszkać. Zostawiły więc pościel w sieni, na schodach i zaczęły nowe życie tak, jak stały.

Wtedy jeszcze uchodziła za normalną. Być może to czasy decydują o tym, kto jest szalony, a kto nie. W tamtych latach wszyscy popadli w obłąd i nikt nie myślał dopatrywać się u bliźnich jakichkolwiek odchyleń. Wszyscy wtedy chcieli po prostu żyć. No i sobie żyli. Dwie siostry obok reszty przesiedleńców, a ponad ich domem na skarpie kołysały się czarne modrzewie, rosły coraz wyżej i wyżej, rozgałęziały się, a ich igliwie gęstniało. Kolejne kartki kalendarza opadały jak jesienne liście.

Potrzeba było spokojnych, leniwych lat, aby zobaczyć inność obu kobiet z ciemnego domu. Kręciło się wokół nich kilku kawalerów. Kupowali w mieście czekoladki, apaszki

i obrusy w kwiaty, garnęli się do pomocy w obejściu. Siostry przyjmowały prezenty, wskazywały drewnię, zarośnięty warzywniak i dziurawy dach, ale nigdy żadnego z nich nie wpuściły za próg. Wszystkich witały i odprowadzały na progu ganku. Twarze miały zacięte na wschodnią modłę, oczy wrogie, nieufne. Pilnowały, aby najmniejszy nawet kosmyk włosów nie uciekł poza wzorzystą chustę na głowie. Modrzewie rzucały wielopalczaste cienie, a z domu ciągnęło chłodem. Zalotnicy, jeden po drugim, odchodzili sfrustrowani. Pili potem w gospodzie ludowej za rzeką, a kiedy już się upili, prowokowali bójkę i awantury, aby w końcu zapomnieć, znaleźć sobie inną kobietę, ożenić się z nią, a czasem spłodzić dzieci.

Dzieci spłodzone z żalu i odrzucenia dorastały, zaczynały chodzić i mówić, w końcu biegały z wrzaskiem po wsi, a w ciemnym domu nad rzeką nic się nie zmieniało. Gdyby ktokolwiek przekroczył próg, przeszedł przez ganek i sień, zobaczyłby trzy kołdry z pierza na schodach, a dalej pokoje, których nie dotknęła szabrownicza ani osiedleńcza dłoń. Ciężkie ponemieckie meble zarastały kurzem, grzbiety obcych książek blakły w nielicznych plamach słońca. Wszystko tutaj trwało niezmiennie, jakby na przekór historii, która pruć granice i wyrwała narody z korzeniami. Jedyne kuchnia nosiła ślady ludzkiej obecności. Widać było niedomyte naczynia, drewniane drzazgi i węglowy pył wokół pieca. Kobiety przyniosły skądś reumatyczne wersalki i poupychały je w prześwitach pomiędzy meblami. Ponad tapczanami rozwiesiły słomiane makatki ze świętymi obrazkami, różańcami i krzyżykami. Pachniały te instalacje wschodem, prawosławnym ikonostasem skąpanym w aromatycznych oparach świec i kadzideł. Uczyniły sobie tę ziemię poddaną poprzez kwaśną woń potu, kapusty i dymu. Wybielone przez Niemców ściany szarzały powoli, narożniki tonęły w pajęczych odchodach i gęstych sieciach. Pomiędzy ścianami niosło się mysie chrobotanie. To była ich swojska, zabużańska enklawa pośrodku cmentarzyska germańskich cieni.

Pozostawały jeszcze drzwi do komórki, małe i niepozorne, wciśnięte pomiędzy żeliwny piec a kredens pełen fajansowej porcelany. Zawsze zamknięte, otoczone nimbem ponurej i jakby nabożnej ciszy. Wyglądało to, jakby w starej świątyni rozgościło się nowe, jeszcze niepewne swojej pozycji bóstwo. Jakby nieliczni zdobywcy musieli dzielić się podbitym krajem z przeważającym żywiołem uciemionych. Zwykle drzwi i wyświechtane obrazki na ścianie. Kobiety w swojej codziennej krzątaninie omijały te miejsca w odruchowy, naturalny wręcz sposób. Codziennosc zdawała się nie mieć do nich dostępu. Każde zejście w chłodne czeluści kamiennego podpiwniczenia wydawało się jakimś odległym, mitraistycznym rytuałem, którego wymowa i sens wymykały się ludzkiemu pojęciu. Podobnie było ze słomianymi ołtarzykami na ścianie. Modlitwą żegnano i witano sen, oddawano jej ciepło układanych na stole posiłków, wszystkie żale i trudy życia znajdowały w niej swoje

pocieszenie. Siostry wznosiły ponure spojrzenia w stronę brodatych mężczyzn o łagodnych twarzach, polecały swe życie pięknej kobiecie o czarnych jak piwniczny mrok włosach. Nikt jednak nie poznał tych tajemnic, nikogo nie wpuszczono za próg.

Kobiety wiodły swój żywot samotnie. Obok, a może nawet wbrew sąsiadom. Ludzie mijali ich dom i zaczęli szeptać. Wszystko zaczyna się od szeptów. Szeptano więc coraz namiętniej, doszukiwano się sekretów i znaczeń w każdym geście, w każdym spojrzeniu i pomruku. Repatrianci powoli zapuszczali korzenie w nowym miejscu. To wtedy nazwano po swojemu pobliskie wzgórze i rzekę. Pojawiły się pierwsze toponimy, a wraz z nimi zaczęły pączkować kwiaty uprzedzeń. Od wschodu wiał ostry wiatr, ludzie słuchali jego podszeptów, przekazywali je dalej, ubierali w nie nowe legendy i przesady. Korzenie potrzebowały tego metafizycznego nawozu. Kiedy więc z pobliskich gór nadciągała czarna zima, a długie, grudniowe wieczory zaczęły dławić elektryczne żarówki, krewni i sąsiedzi zaludniali jaskinie poniemieckich domostw i opowiadali sobie straszne historie o dwóch obłąkanych siostrach i ciemnym domostwie na skarpie.

Mróz na zewnątrz dławił, zabierał dech z piersi i rzucał go na pastwę ostrego wiatru. Ukryte pod śnieżnym całunem krzaki agrestu wyglądały jak wyżynające się z bladych działel zęby olbrzyma. Kobieta kroczyła psią ścieżką przez niewielki sad w stronę wału. Tuż za rzeką czernił się dom jej matki. Do mostu było jednak daleko, trzeba było przejść spory kawałek, a potem wracać się po drugiej stronie zamarzającej strugi. Za wcześnie na spacer przez rzekę. Jeszcze dwa, może trzy dni takiego mrozu i będzie można chodzić. Teraz nie. Szła więc szczytem wału, rozgniatając pod stopami pojedyncze źdźbła skamieniałej trawy. Bure badyle ostrzegały przed zaspami, wypatrywała więc tych martwych wibrysów i obchodziła podejrzone miejsca. Zmarznięty śnieg trzeszczał przy każdym kroku. Co kilkanaście kroków przystawała, chuchając w zziębnięte dłonie. Zawsze było jej zimno, niezależnie od rozpalonego pieca, elektrycznej farelki czy też grubej pościeli marzła na kość. Dwie pary rękawiczek na niewiele się zdały. Tak po prawdzie to częste chuchanie w zgrabiałe palce również. Drałowała przed siebie, a w uszach wciąż dźwięczało jej psie ujadanie. Przyspieszyła kroku.

W starym kamieniołomie po drugiej stronie szosy koczowali cyganie. Jak co roku, zjeżdżali się tam późnym latem i rozkładali swoje malowane wozy na tydzień albo dwa. Przychodzili do nich ludzie z okolicznych wsi, kupowali patelnie albo garnki, czasami jakieś leki dla zwierząt czy biżuterię. Kobiety chciały wróżby, a mężczyźni słodkiego wina z Węgier i opowieści. Nikt jednak nie chciał spędzać tam zbyt dużo czasu. Ot, załatwić swoje, pogadać chwilę, ponarzekać na władzę, a potem wracać szybko do domu, splunawszy wcześniej przez lewe ramię. Pogardzano skrycie tymi wagabundami, bano się ich i zazdrozczono im zarazem. Osiadli rolnicy, stateczni gospodarze albo rzutcy pracownicy PGR-ów czuli podskórną niechęć do ludzi luźnych, których nic nigdzie nie mogło zatrzymać. Nie rozumieli takiego życia, nie ufali tym, którzy je wiedli. Byli ciekawi nowin, egzotyki, jaką niosły kwieciste burty drewnianych wozów, ale w tej ciekawości przypominali bardziej dzieci słuchające strasznych opowieści z na wpół zasłoniętymi uszami. Stali w rozkroku pomiędzy pożądaniem a odrazą. Jak zawsze jednak wygrywał chłopski pragmatyzm i cierpliwa bezczynność. Cyganie pokręcili się po Szociaku, pograli na skrzypkach i harmoszkach, poszturchali się z miejscowymi, podupczyli i dali się wydupczyć, a później zawijali tabor i szli dalej, na północ, do Wrocławia albo Legnicy. Uciekali przed zimą i górami. Ale co rok wracali.

Dwie siostry z ciemnego domu skrytego pośród modrzewi również chodziły „na kamieniołom”. Nie bały się jednak surowych twarzy mężczyzn o węglowych wąsach ani krzykliwych kobiet zakutanych w jaskrawe szale i chusty. Lubiły te długie, sierpniowe noce, skąpane w chybotliwym tańcu cieni rzucanych przez zgromadzonych wokół ognisk ludzi. Rok za rokiem odwiedzały swoich przyjaciół znikąd, za każdym razem coraz dłużej bawiąc pomiędzy tajemniczymi domkami na kołach. Zapalały do nich miłością tak mocną i gwałtowną, jaką tylko może czuć wyrzutek do innego wyrzutka. Kiedy wracały przed świtem do swojego zakurzonego domu, szeptały między sobą o niemożliwych do spełnienia marzeniach zamkniętych w klatce ptaków. Ich chrapliwe głosy miękły wtedy, a groźnie zmarszczone czoła łagodniały. Ubywało im wówczas lat, a przystojni, cygańscy młodzieńcy potrafili to docenić. Pito więc tokaje, tańczono i śpiewano, a później oglądano blednące gwiazdy na kamienistych połoninach sowiogórskiego pogórza.

Faraon Wiesław zakończył tę idyllę. Wyprzęgnięto konie i uziemiono wozy. Pusty kamieniołom zarósł zielskiem, a potem utonął w opadłych liściach. Dwie siostry próżno wypatrywały kolorowych wozów. Nie było już słyhać muzyki ani śpiewów. Ze szczytu Szociaka wyły już tylko zdziczałe psy, a ciemny dom nad rzeką wypełniło dziecięce kwilenie.

Wiejskie domy straszły ciemnymi ślepiami okien. Mrok wyzierający z tych otworów zdawał się sączyć na zewnątrz. Lepkie, smoliste strugi cienia uchodziły do rzeki, rozgaszczały się pod cienką jeszcze taflą lodu i płynęły dalej, na wschód do miasta, aby w końcu rozpełznąć się pomiędzy szarymi blokowiskami i odrapanymi kwaterkami niskich kamienic. Cały ten mroczny ściek kotłował się i kłębił pod starym, ceglany mostem przy Szlosie. Gdyby ktokolwiek zajrzał w dół, zapewne dostrzegłby oleiście czarne rojowisko włókien, którego bluźnierczy szept ginął pod lodowym wiekiem zmarzliny. Nikt jednak nie zwracał na to uwagi, nikt nie chciał zrywać tej kruchej zasłony, która skrywała bezmiar trwogi i szaleństwa pełzającego tuż pod powierzchnią rzeczywistości.

Kobieta w milczeniu pokonała most, po czym skręciła w ledwo widoczną szosę. Nieliczne latarnie spały oszczędnym snem samorządowca, zimowe ciemności rozpraszało jedynie malaryczne światło wiotkiego księżyca, przeglądającego się w śnieżnych diunach. Czas powoli tracił na spoistości, kolejne zagrody zlewały się w ciemnoszarą masę pełną ślepych, zaropiałych oczu. Ciężkie, onyksowe krople upadały bezgłośnie na zmarzniętą tafłę śniegu, po czym zaczynały kompulsywnie dygotać i skręcać się na kształt padlinożernych czerwi. Ich podrygiwaniu towarzyszył złowróźbny chrobot i jakieś słowa na granicy słyszalności, pojedyncze wyrazy układające się w zdania, których pierwotne brzmienie już dawno zatarto się w ludzkiej pamięci, a mimo to jakaś prymitywna, zwierzęca wręcz część człowieczego istnienia rozumiała ich przerażający sens. Śnieg już nie skrzypiał pod nogami, on wył, skowyczał jak katowane zwierzę. Szmer dobywający się z dna rzeki narastał, zamieniał się w wizg pełen klątw i złorzeczeń.

Nogi ugięły się pod przerażoną kobietą. Upadła w zaspę. Lodowate ukąszenia śniegu przywróciły ją światu z powrotem. Zęby szczękały, a na czoło wystąpiły tłuste krople potu. Oddychała coraz szybciej, chłonąc powietrze, jakby to ono właśnie miało zbudować od nowa znajomą rzeczywistość. I rzeczywiście, domy znów wyglądały jak zaniedbane pozostałości po czasach świetności dobrobytu. Krzywe, drewniane płoty okalały bielone drzewka w sadach. W oddali szczękały psy, pobrzękując przy tym ciężkimi łańcuchami. Znów była we wsi-trupiarzy, którą zamieszkują sieroty po słusznym minionym systemie. Znów była w domu.

Matka musiała pójść do normalnej pracy. Poszła tam, gdzie wszyscy bezrolni, którzy nie załapali się na PGR. Warsztaty włókiennicze stały w tej części województwa chyba od zawsze. To były inne czasy, inne realia. Robotę dostała od ręki i od razu niemal zaczęła trzymianową orkę na szwalni. Kołdry, poduszki, narzuty i poszewki. Pół kraju kładło się spać w jej objęciach, choć ona nigdy się o tym nie dowiedziała. Robiła, co kazali, odbijała kartę i wracała PKS-em do swojej wsi. Z przystanku szła w górę drogi, wdrapywała się na Szociaka obok opuszczonego kamieniołomu i przecinała międzymiastową. To była połowa drogi. Później omijała łukiem zagajnik na szczycie wzniesienia, wchodziła w kamienisty zleb i na ścieżkę, która prowadziła ją przez kępy głogu i dzikiej róży wprost do zdziczałego sadu na tyłach gospodarstwa.

Oglądała się czasem w stronę skundlonej brzeziny i dumiała nad tym, czy kiedyś jeszcze zobaczy kolorowe wozy, zamieszkałe przez ciemnowłosych włóczęgów o smutnych oczach. Z biegiem lat myślała o tym coraz rzadziej, aż w końcu zapomniała. Wraz z siwizną pojawiły się inne zmartwienia. Strach coraz częściej odwiedzał ją w nocy, przylepiony do brudnej sukmany snu wchodził pod pierzynę, a potem długo czekał, aż otworzy usta. Siadał jej wtedy na języku, a ona budziła się z kwaśną gulą wypełniającą przełyk i żołądek. Coraz częściej chorowała. Straszliwie schudła i sparszywiła. Ludzie zaczęli wołać za nią „czarownica”. Za to o tym, że wychowuje dziecko bez chłopa, nikt już nawet nie wspominał. Była odszczepieńcem, a to był tylko kolejny powód, aby nie siadać obok niej w kościelnej ławce.

Ksiądz o niczym nie wiedział, nie był swój. Przysłali go z Wrocławia, ale sam urodził się gdzieś w Wielkopolsce. Gadał jakoś inaczej, nie rozumiał pewnych rzeczy. Wszyscy go szanowali, bo głos miał mocny, a rękę ciężką. Siostry były jednak miejscowe, zabużańskie jak reszta. Mogli się ich bać, mogli z nich drwić, ale to wciąż były ich własne dziwadła. Czasami tylko co bardziej świętoszkowata baba wypaplała to i owo przy spowiedzi, ale proboszcz miał nosa, nie drażył. Sam miał syna w innej gminie i wiedział, że pewnych rzeczy się nie rusza. Siostry wyczuwały to przez skórę, dlatego często odwiedzały duchownego i pomagały mu na plebanii.

Trwało to, dopóki starszej z nich nie rozłożyła tajemnicza choroba, która w rzeczywistości była tylko zwyczajnym zatruciem strachową śliną. Ona jednak na stałe już przywarła do steranej wersalki, a jej świat skurczył się do zagraconej kuchni o zimnej,

kamiennej podłodze. Siostra pomagała jej, jak mogła, a gdzieś w tle pałętała się dorastająca córka.

Kontury domu odcinały się wyraźnie od rozjaśnionego księżycowym światłem nieba. Smolista czerń skarpy wyłożonej polnymi kamieniami płynnie przechodziła w wyrównane kontury ścian i stromego dachu. Gruzłowate łapy modrzewi rzucały pajęczne cienie na zaśnieżoną ulicę. Gładki welon nocnej materii psuło jedynie drobne, świetliste oczko kuchennej lampki. Matka pewnie klepała różaniec. Nigdy nie modliła się po ciemku.

Strome podejście wymagało uwagi i zręczności. Buty ślizgały się na szklistych bryłach, a sypki śnieg judził pozorną przyczepnością. Podwórko tonęło pod iglastym kirem, ale ona знаła tutaj każdy kamień i wyłobienie. Szła więc na pamięć, omijając po drodze nieliczne prześwity o barwie rtęci.

Drzwi były jak zwykle zamknięte, miała jednak swój klucz. Wiedziała, że matka zawsze przekręca wszystkie zamki, choćby musiała się czołgać do samego ganku. Nieoliwione zawiasy ustąpiły niechętnie. Dom rodzinny przywitał ją zapachem kurzu, stęchlizny i gorączki. Od wielu lat ten zapach kojarzył się jej już tylko z matką.

Trudno powiedzieć o starszej siostrze, że miała córkę. Dziecko raczej jej się przydarzyło i tylko czasami przypominała sobie o jego obecności. Tymczasem dziewczynka rosła z każdym rokiem, a w wieku czternastu lat przerosła zarówno matkę, jak i ciotkę. Większość kobiet w rodzinie była wysoka, miały też wyraźnie zarysowane szczęki, a ich włosy rosły gęste jak u owiec. Nikt nie wątpił w matczyną krew w żyłach dziewczynki, ale osoba ojca stanowiła powód do plotek i domysłów. Kobiety udawały, że o tym nie wiedzą, a ich podopieczna nie rozumiała jeszcze aluzji i dwuznacznych spojrzeń, rzucanych przez sąsiadów. Kiedy dorosła i wracała wspomnieniami do tamtych czasów, cieszyła się ze swojej niewiedzy. Pewnego dnia zapytała matkę o ojca, o to, kim był, skąd pochodził, a przede wszystkim, co też się z nim teraz dzieje. Starsza kobieta, która coraz częściej budziła się z posmakiem trwogi w ustach, zrugała dziewczynę, obiała jej grzbiet pogrzebaczem, po czym wygoniła z domu. Noc spędzona w rozpadającej się obórce miała posmak pyłu i klęski. Temat ojca już nigdy nie stanął pomiędzy matką i córką.

Ciotka starała się zastąpić swoją siostrę w roli piastunki. Opiekowała się dziewczynką, szyla jej ubranka, przygotowywała jedzenie, a nawet wysprzątała jeden z przykuchennych pokoiów na tyle, aby można w nim było zamieszkać. Nauczyła małą wszystkiego, co umiała. Pokazywała, jak działa świat, jak prowadzi się gospodarstwo oraz jak należy się modlić. Założyła jej własny ołtarzyk z szeleszczącą plecionką i nowymi obrazkami. Pouczyła ją również na temat drzwi do komórki, ale nie wyjaśniła nigdy, dlaczego nie wolno ich otwierać. Ucinała wszelkie dyskusje na ten temat, dusiła w zarodku dziecięcą ciekawość, tak, jak topi się wiosną ślepe kocięta. To były nieliczne chwile, kiedy ciotka podnosiła głos i marszczyła brwi. Zazwyczaj bowiem mówiła spokojnie, a jej twarz wyrażała raczej smutek niż niechęć. Drzwi pozostawały jednak zamknięte na klucz. Słowa słowami, ale ciotka wiedziała, że dziecięcej ciekawości nie sposób powstrzymać samymi zakazami i groźbami. Pomimo tej całej troski dziewczyna wciąż pragnęła matczynej miłości. Ciotka zaś patrzyła na swoją siostrę ze smutkiem i politowaniem. Być może wiedziała o nocnych wizytach oraz o tym, co miało po nich nadejść.

Dom bez ciotki zanurzał się powoli w odmętach niepamięci. Pokrzywiona jak stara wierzbina matka wydeptała kilka ścieżek w lepkim dywanie kurzu, a każdy krok poza tymi szlakami kończył się erupcją stęchlizny i martwych wspomnień. Ciemność zamieszkała tu na stałe, rozgościła się pod sufitem, anektowała kąty i meble. Wydawała się nienasycona w swym łakomstwie. Pożartą przestrzeń zastąpiła efemerycznymi kształtami, których próżno było szukać we wspomnieniach. Mroczny dom zaczął się przepoczwarzać. Ostatnim bastionem dawnego świata była kuchnia, skąpana w strachliwym świetle wiekowej żarówki.

Droga do kuchni wiodła przez szeroką sien, z której można było też wejść do dawnej jadalni lub łazienki. Kobieta zawahała się na chwilę. Nie miała ochoty widzieć się z matką i wysłuchiwać jej urojonych objawów i wyrzutów. Wciąż mogła zawrócić, wystarczyłoby obrócić się na pięcie, a później wrócić po własnych śladach. Straciłaby tylko parę godzin snu, nic wielkiego. Zamiast tego nacisnęła klamkę i weszła do kuchni.

Matka i ciotka praktykowały przedziwną wersję katolicyzmu. Modliły się często i żarliwie, ale w sposób zupełnie różny od tego, z którym można było się zetknąć w innych

gospodarstwach. Ich litanie były długie, raczej wyśpiewywane niż mówione, a wszystkie słowa zlewały się w niewyraźny, wręcz bełkotliwy ciąg mantr. Jeśli ktokolwiek zechciałby się przysłuchiwać tym ich pacierzom, od razu niemal zwróciłby uwagę na osobiste wtrącenia, przedziwne, często prostackie rymowanki i masę neologizmów oraz zapożyczeń z innych języków. Być może wpływ na to miało ich wschodnie pochodzenie albo też rację mieli ci, którzy od zawsze uważali obie siostry za istoty niespełna rozumu. Kobiety zdawały się jednak tak oddane swoim obrzędom, że momentami można było odnieść wrażenie, jakby modląc się popadały w trans z pogranicza jawy i snu. Oczy stawały im w ślup, z ust sączyła się ślina, a szczęki na przemian zaciskały się ze zgrzytem albo opadały bezwładnie, ukazując zepsute zęby i mięsiste języki. Ksiądz jednak uprzejmie nie zwracał na to uwagi podczas nabożeństw lub wizyt duszpasterskich. Co więcej, bywało, że chwalił w dość zawoalowany sposób pobożność „niektórych parafianek”.

Siostry nigdy nie opuściły żadnej mszy. Schorowana i pocięta staruszka sunęła powoli przez wieś, wsparta na sękatym ramieniu młodszej siostry. Zawsze docierały do kościoła przed czasem i zajmowały swoje zwyczajowe miejsce pod konfesjonalem. Powtarzały za resztą wiernych wszystkie gesty i modlitwy, śpiewały pieśni i zgodnie biły się w zasuszone piersi. Nigdy jednak nie przyjęły eucharystii, nie patrzyły też na ołtarz ani tabernakulum. Woląły przyglądać się polichromowanym malowidłom na sklepieniu. Wyobrażały sobie wtedy, że zwierzęta symbolizujące ewangelistów poruszają się pod powalą. Lew ryczał, orzeł machał skrzydłami, a człowiek prowadził wołu przez pole. Opowiadały sobie czasem zmyślane historie o tych obrazach, jakby zwierzały się z najgłębszych sekretów.

W domu było podobnie. Każda klękała i załamywała ręce przy swoim ołtarzyku. Klepały półgłosem zmijowe litanie, a parafinowe świece odpowiadały im syczeniem podtapianych knotów. Starsze obrazki wyblakły zupełnie i pokryła je sadza albo kurz. Dokładały więc nowe, kolorowe i błyszczące. Nigdy jednak nie wyrzuciły żadnego z tych wysłużonych i nieczytelnych. Młodsza z nich pokazała swojej siostrzenicy, jak dobrze się modlić, a także jak dbać o swój własny ołtarzyk. Nigdy jednak nie egzekwowała później tej wiedzy, nie sprawdzała makatki ani poprawności kolejnych pacierzy. Pozostawiła ją sam na sam z Bogiem.

Stare, polskie książeczki do nabożeństwa zgubiły gdzieś podczas transportu na zachód w połowie lat czterdziestych. Kiedy przybyły do ciemnego domu, stojącego pośród modrzewi, znalazły w nim niemieckie modlitewniki. Zawłaszczyły je, choć żadna z nich nie potrafiła czytać po niemiecku ani nawet rozróżnić wszystkich liter. Niemniej nosiły je ze sobą do kościoła i trzymały w rękach podczas modlitwy. To były jedyne książki z tego domu,

z których kiedykolwiek skorzystały lub choćby je przekartkowały. Na półkach wciąż zalegały zapomniane tomiszczą z wytłoczonymi szwabachą grzbietami. Kiedyś przyglądały się tym tytułom, ale obce nazwy nic im nie mówiły, pozostały więc nieme i obce. *Unaussprechlichen Kulden* stało obok *Das Buch des Iod*, a półkę wyżej można było znaleźć *De Vermis Mysteriis*. Teraz jednak zarastały tylko kurzem i niepamięcią, podobnie jak cały dom i jego mieszkańcy.

Smród starości wypełniał kuchnię jak wielka, tłusta chmura. Markotne światło nocnej lampki wyostrzyło kontury pokraccznego barłogu i pogłębiło antracytowe dominium cieni na rubieżach pomieszczenia. Matka, zakutana w poźółkłą i poplamioną pierzynę, kiwała ekstatycznie głową, a jej palce pieściły drewniane łezki nanizane na zaśniedziały łańcuszek. Rytmiczny, gorączkowy szept odbijał się od powały i kamiennej podłogi, po czym ginął pomiędzy zagraconymi kątami tonącymi w mroku. Staruszka nie zauważyła obecności swojej córki albo też uparcie ją ignorowała. Niekończąca się mantra uderzała w uszy młodszej z kobiet raz za razem, jak powracająca wciąż fala wypłukiwała myśli i wspomnienia. Pozostawało jedynie to bełkotliwe, niekończące się słowo, które wznosiło się i opadało jak monstualny las polipów na dnie potwornego oceanu, wypełnionego czarną, oleistą watą.

Nieprzytomne oczy zapomnianej córki ślizgały się bez celu po udreńczonych meblach. Matka wydawała się jednym z nich - kolejna kupa szmat i przykrych wspomnień. Nie różniła się specjalnie od opuszczonego na wieczność łóżka ciotki, stojącego w przeciwległym rogu kuchni. Entropia upasiona odstręczającym trybem życia podstarzałych sióstr w końcu zerwała się ze smyczy i zaczęła pożerać kolejne fragmenty ich rzeczywistości. Cieniste odchody pokrywały zapomniane sprzęty, których tożsamość bezpowrotnie zaginęła w spienionych odmętach rozkładu. Ciemny dom, skryty pośród rozrośniętych modrzewi wydawał właśnie swoje ostatnie, spazmatyczne tchnienia, a wraz z nim odchodziła ostatnia z dziwnych sióstr przybyłych zza Buga.

W końcu udało jej się przemóc marazm. Chwiejnym krokiem podeszła w stronę światła i przykucnęła u wezłowia łóżka. Matka przestała recytować, chrząknęła, przełykając zalegającą flegmę, po czym uniosła ciężkie od samotności powieki. Wodniste, złośliwe oczka wpatrywały się w córkę z niezrozumieniem i strachem. Staruszka mrugała powoli, jak wyziębiony gad. Zmarszczyła rozrośnięte brwi, zamruczała, a na jej usta powoli spływał uśmiech zrozumienia. Młodsza z kobiet знаła ten proces, widziała go już dziesiątki razy. Nie obruszała się, czekała i pozwalała matce odnaleźć w postrzępionej pamięci odpowiednie nici

i ścięgi. Ona tymczasem zerknęła ponad ramieniem staruszki, zauważyła coś dziwnego na brudnej ścianie. Wyteńczyła wzrok i w słabym świetle dostrzegła pierwsze kreski i łuki, które powoli układały się w ciąg niezgrabnie zapisanych liter. Rozpoznawała pojedyncze słowa, czasami nawet zdania. Szukała początku, ale nierówne wersy ginęły poza granicami żółtawego światła. Matka zaczęła gniewnie mrużyć, oderwała więc spojrzenie od ściany i zwróciła się w stronę staruszki. Zabłąkana myśl uleciała w niebyt, a wraz z nią niejasne przeczucie, że ta interwencja może różnić się od poprzednich wezwań.

Młodsza z sióstr umarła jakąś godzinę przed południem. Niosła właśnie kanekę mleka z komórki i nagle upadła na kamienną podłogę. Biel zmieszała się z czerwienią, a brudna, różowawa struga spłynęła zakurzonymi żłobami rowków i ubytków w głąb domu. Ciemny dom nie przyjął jednak ofiary z życia i mleka. Zamiast tego popadł w jeszcze większe zapomnienie, a tłusta entropia zaczęła głośno ujadać z ciemnych zakamarków. Schorowana staruszka odprowadziła siostrę na parafialny cmentarz, opłaciła księdza i grabarzy, a potem zaszyła się w ponemieckich pierzynach na wiele tygodni.

Dopiero letnie słońce wyгнаło ją z dusznej kuchni, ale już nigdy nie miała wyjść o własnych siłach poza próg ciemnego domu. Stała czasami na ganku i grzała stare kości w rzadkich promieniach przebijających się przez modrzewiowy woal. Podwórko zarastało zielskiem, a sad zdziczał bez reszty. Gospodarstwo niszczało w oczach. Dachówki odpadały jak jesienne liście, a tynk zląził ze ścian całymi płatami. Deszcze przeciskały się coraz częściej przez nieszczelne okna. Gdyby nie pomoc wzgardzonej córki, najpewniej zabrałyby ją żywioły.

Dzieci zrodzone z żalu i odrzucenia już dawno dorosły. Dorobiły się nawet własnego potomstwa, które zaczęło od nowa stwarzać otaczającą je rzeczywistość. Co śmielsze wyrostki zapuszczały się w okolice ciemnego domu, ukrytego w cieniu sękatych modrzewi. Wybijały kamieniami szyby, włąziły na dach walące się obory albo pukały w drzwi, po czym ze śmiechem uciekały w krzaki. Pewnego razu natknęły się na pokraczną staruchę, stojącą na ganku. Część z nich uciekła, wrzeszcząc przy tym i potykając się na zdradliwych korzeniach. Jeden wyrostek został na miejscu. Zbyt wystraszony, a może po prostu ciekawski, wpatrywał się w złą twarz kobiety i ani myślał się wycofywać. Staruszka wezwała go do siebie ruchem opuchniętego nadgarstka. Wahał się przez chwilę, ale w końcu ruszył w jej stronę. Opowiadał później kolegom, że wcale się nie bał, ale prawda była jak zwykle

inna. Kolana mu dygotały, a serce pompowało w szaleńczym rytmie czerwoną krew, opita adrenaliną. Zatrzymał się kilka kroków przed wejściem do domu, czekał i obserwował ruchy staruszki. Ta sięgnęła do kieszeni fartucha, po czym wygrzebała z niego kilka monet. Wyciągnęła je na drżącej dłoni w stronę chłopaka. Chwilę się zastanawiał, ale w końcu skrócił dystans i sięgnął po pieniądze. Kobieta zacisnęła krogulczą pięść i uśmiechnęła się przy tym jadownicie. Powiedziała mu, co ma zrobić, a on tylko kiwnął głową i usiadł na zmurszałej ławce pod jednym z okien. Staruszka zniknęła w domu i kilkanaście minut później wróciła na ganek, niosąc zaklejoną kopertę. Dała ją dzieciakowi razem z garścią brzęczącego bilonu. Młody pobiegł w dół skarpy i zniknął za rogiem domu. Staruszka odprowadziła go wzrokiem, po czym zamknęła skrzypiące drzwi i przekreśliła wszystkie zamki.

Ksiądz długo wpatrywał się w nierówne, pajęczne litery listu. Przeczytał go parę razy, ale nadal nie potrafił wyrobić sobie zdania na jego temat. Teolog był z niego raczej marny, sam też czuł się bardziej gospodarzem lub plebanem, niż uczonym w piśmie. Bębnił palcami w paździerzowe biurko i zerkał co chwilę na umorusanego chłopaka. Podjął w końcu decyzję, złożył list na pół i schował go do szuflady. Żadnych egzorcyzmów nie będzie, namaszczenia chorych też nie. Znał swoich parafian dosyć dobrze, staruszkę z ciemnego domu również. Jej córka żaliła mu się na stan matki, opowiadała o ostatnich ekscesach z pogotowiem i ciągłym „umieraniem”. Lubił myśleć o sobie jako o znawcy ludzkich dusz i umysłów. W dziwnej prośbie staruszki dopatrywał się raczej początków starczej demencji niż działania sił nieczystych. Postanowił jednak uspokoić starą parafiankę. Nakazał chłopakowi uprzedzić kobietę o rychłej wizycie duszpasterskiej. Zamierzał jej zanieść pokrzepienie i pocieszenie. Tego, jego zdaniem, potrzebowała najbardziej. Zadowolony z siebie, odprawił dzieciaka z kancelarii i wrócił do przerwanej pasjansa.

Staruszka kazała na siebie długo czekać. Proboszcz zdążył już się zirytować, kiedy w końcu usłyszał szcęk rygli, a zza drzwi wyjrzała odpychająca twarz ponurej kobiety. Bez słowa odsunęła się w głąb ganku i gestem zaprosiła gościa do środka. Ksiądz taktownie

udawał, że nie czuje przykrego zapachu, nie zmarszczył nawet nosa ani się nie skrzywił. Wspaniałomyślnie zignorował tumany kurzu zalegające grubym kożuchem na podłodze. Podziękował za taboret i usiadł na samym brzegu lepkiego stołka. Wpatrywał się w gospodynię w milczeniu. Ona zaś mościła się w stogu pierzyn i koców, za nic mając sobie obecność proboszcza. Nie zaproponowała mu nawet nic do picia. Po prostu ułożyła się wygodnie i patrzyła ponuro na czerstwą twarz duchownego. Mężczyzna odchrząknął, poklepał się po kolanach i dla dodania sobie animuszu zaczął mruczeć pod nosem jakieś nieskładne półsłówka. Nie doczekawszy się reakcji ze strony staruszki, przeszedł w końcu do rzeczy. Wypytał ją o stan zdrowia, samopoczucie i ewentualne potrzeby, same lśniące i tłusciutkie komunały.

Cisza zmroziła księdza, odkasznął zdenerwowany. Doświadczenie podpowiadało mu inny przebieg tego typu rozmów. Wiedział, że ta konkretna parafianka jest inna i zapewne wiąże się to z odmiennymi potrzebami, tym niemniej pewne rzeczy wydawały mu się na stałe przypisane do ludzkiej natury. Zaczął jeszcze raz, spokojniej, mówił też głośniejszym głosem, zniżył głos, a nawet uśmiechnął się przyjaźnie. Znow jednak odbił się od lodowatej ściany ciszy. Poprawił koloratkę, zebrał się w sobie i odrzucił konwenanse. Zapytał o list, o te egzorcyzmy i paniczny strach przed siłą nieczystą. Chciał wiedzieć, skąd się to wzięło i, na Boga!, dlaczego staruszka myśli, że może być opętana. Głos kobiety brzmiał niczym jęk pękających na wietrze drzew. Cedziła słowa ostrożnie, mechanicznie wręcz. Powiedziała, że pewnie była w szoku po śmierci siostry i nie mogła sobie z tym poradzić. Teraz miało już być lepiej, powoli wracała do zdrowia, a wszystko w końcu powinno się ułożyć. Ksiądz udawał chwilę, że taka odpowiedź go nie zadowala, że musi wiedzieć, jaki był prawdziwy powód tego zamieszania. W głębi duszy jednak cieszył się z takiego obrotu sprawy. Nie chciało mu się babrać w pismach do kurii, wolał sielskie życie wiejskiego plebana, po to z resztą wnioskował o przeniesienie na tę zapadłą, dolnośląską prowincję.

Staruszka wydobyła z pierzastej czeluści dziecięcy zeszyt w kratkę i pogryziony długopis marki Bic. Nie mówiła już nic, pisała tylko zamaszyście, wpatrując się mętnymi oczyma w kartkę. Wyrwała strony ze środka i wręczyła proboszczowi. Równe, staranne litery układały się w krótkie i treściwe oświadczenie na temat poczytalności kobiety. Żadne egzorcyzmy nie były potrzebne, wystarczy czas i święty spokój. Ksiądz podniósł się ciężko z trzeszczącego stołka i pożegnał parafiankę znakiem krzyża. Sprawa była dla niego zamknięta.

Staruszka nie przestała jednak pisać tych dziwnych wezwań i próśb o egzorcyzmy. Średnio raz lub nawet dwa razy w miesiącu przysyłała chłopaka z nagryzmołonym niewprawną ręką listem. Ksiądz kiwał głową, uspokajał, a wszystkie koperty chował w szufladzie, po czym wyrzucał je z pamięci. Pozwalał, aby paniczne słowa wybrzmiały w dusznym mroku kancelaryjnego schowka, aby wyblakły tusz stracił rezon i w końcu zapomniał o swoim zadaniu. Powierzył sprawę bożej opatrności i dobroczynnemu działaniu czasu. Rozmowa z córką staruszki tylko utwierdziła go w tym postanowieniu. Wielokrotnie wzywana karetka przestała już przyjeżdżać pod ciemny dom, stojący pośród rozrośniętych modrzewi. Tylko ta nieszczęsna kobiecina cały czas jak pies odwiedzała swoją zwariowaną matkę na każde wezwanie. Doświadczenie proboszcza podpowiadało mu jednak, że pewne rzeczy należy pozostawić samym sobie. Ludzie na starość tracą zmysły, a później umierają. Podczas pogrzebów widział czasami ból i tęsknotę na twarzach dorosłych dzieci wymieszane z ledwo skrywaną ulgą. Bóg dał, bóg wziął. Tak zawsze powtarzał i wierzył głęboko, że pogrążeni w żałobie wierni odnajdą w tych słowach pocieszenie, a może i rozgrzeszenie.

Matka łkała bezgłośnie. Patrzyła na nią tymi swoimi wyblakłymi oczami, a po wyschniętych policzkach ciekły jej łzy. Opuchnięte w stawach palce wypuściły węzowe sploty różańca, który natychmiast utonął w przepoconej kipieli pierzyn. Staruszka chwyciła kurtkę córki i zaczęła ją szarpać, ciągnąć jak głodne dziecko albo domagający się uwagi pies. Kobieta zamiast litości poczuła pogardę, po raz pierwszy w życiu oblekła w słowa żale, których nigdy wcześniej nie śmiałyby nawet sobie uzmysłowić. Przypomniała sobie swoje własne, zniszczone małżeństwo i męża, który nie mógł znieść ciągłych telefonów, pretensji i wymówek. Życie, które przeżyła z takim trudem i znojem wróciło, wyrzaskiwało jej do ucha kolejne skargi, wypominało zaniechania i stracone szanse. Patrzyła na złośliwą i bezradną starczą maskę, ale przed oczami miała własną, zmęczoną porażkami twarz. W tym momencie mogłaby się od tego wszystkiego uwolnić, mogłaby w końcu spalić tkwiący w jej sercu fetysz matki, pogrzebać go na rozstaju, a mogiłę zasypać solą. Byłaby wolna. Mogłaby zacząć od nowa, mogłaby żyć bez tego ponurego garbu. A kiedy w końcu to sobie uzmysłowiła, pojawił się strach. Bała się, że przestanie być sobą, że nie da rady odnaleźć się

w tym nieznanym, niezakorzenionym w przeszłości życiu. Narodziny są bowiem aktem o wiele boleśniejším od umierania.

Nachyliła się ku matce. Poczwała kwaśny odór zepsutych zębów, potu i żalu. Wyszeptała pierwsze pytanie, potem następne. Nie pytała dlaczego, nie chciała już wiedzieć kto, komu i po co. Poczwała strach o tę kruchą jak zimowe trawy istotę. Uświadomiła sobie, że to pożegnanie, a w takich chwilach nie powinno się nikomu robić wyrzutów. Szeptała więc dalej, przytuliła niezdarnie staruszkę i w końcu sama zaczęła płakać. Ale matka nie odpowiedziała czułością, nie wylały się od dawna tłumione emocje ani wyrzuty sumienia. Pożółkła z bólu kobieta płakała z bezradności, płakała nad sobą i własną niemocą. Ostatkiem sił próbowała chociaż przekazać córce te frustracje, to na nią chciała zwalić niedokończone sprawy i trupy poupychane w poniemieckich szafach. Młodsza z kobiet o tym nie wiedziała, myślała, że w końcu udało jej się odnaleźć z matką, która odpychała ją od siebie przez całe życie. Niewiedza potrafi być błogosławieństwem, ale w tym wypadku to, co najważniejsze i najgorsze, nie zostało tej biednej kobiecie oszczędzone.

Śmierć musiała znać ciemny dom, stojący w modrzewiowej gęstwinie. Weszła tam jak do siebie, przemierzyła zakurzony korytarz i od razu położyła się na reumatycznym tapczanie. Staruszka gubiła w jej towarzystwie płytki oddech, chciała się przesunąć, zrobić gościowi trochę miejsca. Próbowała unieść pierzynę, ale jedyne, co zdoła zrobić, to przeorać plastyczną powierzchnię pajęczymi palcami. Tylko tyle z niej zostało, i tak też odeszła, zbyt słaba, aby pozostać sobą w ostatnich sekundach życia. Córka nie zauważyła tej wizyty, w pewnym momencie zdała sobie po prostu sprawę z ostatecznej nieobecności matki. Staruszka ot tak przestała być w jej życiu. Odeszła, zrywając za sobą obrus i leżącą na nim zastawę. Pozostał po niej nieład, niezrozumienie, a przede wszystkim uczucie pustki. To było w tym wszystkim najgorsze, ta świadomość, że poświęcone komuś życie w jednej chwili stało się nic niewarte.

Wyglądała jak wykrzywiona wiatrem akacja, stojąca samotnie pośród nieużytków i ugorów. Żarówka brzęczała, traciła chwilami blask, a przez kuchnię przemykały feeryczne cienie, ukryte dotąd na zakurzonych półkach. Ten dom nie miał sensu bez matki i ciotki. Nie powinien istnieć w świecie, w którym zabrakło tych dwóch posępnych kobiet. A mimo to stał niewzruszony, nie zapadł się pod ziemię, nie pochłonęła go wezbrana gwałtownie rzeka ani rozszalały ogień. Nic z tych rzeczy. Świat od zawsze był obojętny na ludzkie krzywdy i żale. Obracał się zgodnie z własną wolą, stawał się kulą albo dyskiem, czasami nawet postanawiał

w ogóle nie istnieć. Oto jego święte prawo. Człowiek woli jednak o tym nie pamiętać, wmawia sobie siłę sprawczą, wolę istnienia, która miałyby definiować jego własny byt oraz wszystkie byty satelickie. Ze smutku lęgną się takie myśli, wygrzewają się w ludzkim cierpieniu, a w końcu wypełzają na świat, zatruwając wszystkie istoty zdolne do mówienia.

Kobieta cierpiała bezgłośnie, kurczyła tylko ramiona i zaciskała bezradne pięści. Toczyła błędnym wzrokiem po zagraconym pomieszczeniu. W końcu jej spojrzenie padło na pobliską ścianę. Przypomniała sobie o pokracznych literach i zaczęła szukać początku tej dziwnej inskrypcji. Dopadła do lampki. Sprawdziła długość kabla i zaczęła lustrować pustacie poszarzałej ściany. Odnalazła wreszcie pierwsze słowo. W niepewnym świetle starej żarówki odcyfrowywała kolejne sylaby, słowa i zdania.

Gnoza jest aktem bolesnym, szlachetnym samoudręczeniem w imię pełnego zrozumienia wszechrzeczy. Musi być decyzją dobrowolną i samodzielną. Dostąpienie jej wbrew sobie jest gwałtem na samej istocie ludzkiego jestestwa. Przeniknięcie umysłu matki, pojęcie tego wszystkiego, z czym musiała się mierzyć, przekraczało siły zrozpaczonej kobiety. A mimo to ona nadal czytała. Połykała załzawionymi oczyma kolejne słowa aż do ostatnich, chwiejnych liter. Niepozorne drzwi do podpiwniczonej komórki kryły sekrety, których żaden człowiek nie powinien nigdy poznać. Matka bardzo często tam schodziła, ciotka nieco rzadziej. Każda wizyta miała swoją cenę, pozostawiała ofiarnika uboższym o jakąś część samego siebie. Jednak to, co mieszkało pomiędzy korzeniami ciemnego domu, wiedziało wiele i chętnie dzieliło się swoją wiedzą. Wystarczyło wpuścić ciemność, pozwolić jej wybrzmieć. Raz otwarte drzwi nie mogły już zostać zamknięte. Ciemność kroczyła więc pośród niczego nieświadomych ludzi. Przyczajona w ponurym spojrzeniu wiedzących. Z każdym zejściem było jej coraz więcej, wypełniała sobą oczy i serca, wypaczała je na swoje podobieństwo. O tym wszystkim pisała matka i nieumiejętnie próbowała ją przestrzegać ciotka. Wszystkie tajemnice odeszły wraz z nimi, pogrzebane w ciemnym domu stojącym pośród pokracznych modrzewi.

Kobieta zamknęła za sobą drzwi i ruszyła w dół skarpy. Księżyc ukrył spojrzenie za chmurami, wolał nie widzieć, jak umiera ostatnia z sióstr. Było ciemno, zimno, a z gór

pędził głodny żywego ciepła wicher o ostrych jak sople zębach. Kobieta wyszła na szosę i po chwili wahania zdecydowała się wracać okrężną drogą. Spojrzała jeszcze raz w niebo, zasnute umykającymi chmurami. Wyciągnęła gołe ręce z kieszeni i rozluźniła ciasne sploty szalika. Po namyśle zdjęła jeszcze czapkę. Zgrzała się tym krótkim zejściem, a przecież zostało jej jeszcze sporo do przejścia.

Dzierżoniów, grudzień 2017

rys. A.A. Turkiewicz "T'riopse"



DE VITAE SENSU

Kacper Szydłowski

Młody chłopak przemierza różnym krokiem aleje przedmieścia. Jest dosyć młody, w końcu należy do grupy osób nieletnich, a mimo tego w kąciku jego ust tli się słodziutki Malboro Gold. Przy każdym wydechu szary dymek wylatuje spomiędzy warg młodzieńca, dając mu błogość. Wreszcie zatrzymuje się, wypływa papierosa z ust wraz z okazałą ilością flegmy, która powstała podczas palenia tytoniowej trucizny. Wyciera wilgotne pozostałości po splunięciu rękawem drogiej bluzy, o której większość jego rówieśników może tylko co najwyżej pomarzyć. Wciąż stojąc w miejscu, wygina szyję nieco do tyłu, co pozwala mu obserwować szarych ludzi przemykających w jego otoczeniu. Wpatruje się w nich z nienawistną ciekawością, na podstawie ich wyglądu zewnętrznego oraz tików próbuje dowiedzieć się jak najwięcej na ich temat. Naprzeciw niego człapie tłusty olbrzym, o udach wielkością przewyższających brzuch naszego bohatera. Przy każdym kroku pod jego luźnym, szarawym polo rozlewa się fałda sadła, a pod jego pachami widoczne są plamy od potu, produkowanego w ilościach gargantuicznych.

Oprócz okropnego wyglądu, chłopaka irytowały jego głośnie, ciężkie oddechy i stękanie, dochodzące do jego wyczulonego jak u kota zmysłu słuchu. Grubas minął go ociężałym krokiem, drażniąc młodzieńczy nos smrodem łożu, a następnie przelewając swoje cielsko z jednej strony na drugą ruszył w kierunku ciemnej alejki. Chłopak stopniowo obraca głowę, żeby cały czas móc wpatrywać się w przechodnia, ostatecznie doprowadza go to do całkowitego obrotu. Wbija wzrok w plecy mężczyzny dopóki, dopóty jego szeroka jak belka noga nie przekroczy wejścia do alejki. Idzie szybko, lecz przy tym bezszelestnie, niczym dzikie koty, których ofiara nie słyszy do momentu, w którym wbijają swoje kły w jej gardło. Na jego twarzy, na której wciąż widać resztki trądziku, maluje się krystaliczna nienawiść, tak czysta, że można by ją pokazywać jako podręcznikowy przykład tego grymasu. Wciąż poruszając się szybkimi, bezgłośnymi ruchami, zręcznie wbija dłoń w wewnętrzną kieszeń kurtki. Przeczesuje całą połać miejsca, by ostatecznie wymacać opuszkami palców metalicznie zimny przedmiot. Rozluźnia się, ale mimo znalezienia tego, co chce, nie wyjmuje tego, tylko trzyma schowane przed niechcianym wzrokiem gapiów.

W ciemnej alejce jego źrenice rozszerzają się, by pomóc percepcji w dostrzeżeniu mniej widocznych szczegółów. Otaczające go budynki mają obskurny, peerelowski wygląd, lecz nie one przykuwają jego wzrok, tylko napis na murze, brzmiący „Wielka Polska” z namalowanym obok krzyżem celtyckim. Młodzieniec pluje zniesmaczony prosto w nacjonalistyczny symbol. Jest na siebie zły, że głupi znak go wytrącił z równowagi. Próbuje się uspokoić i udaje mu się to zaledwie po paru krokach. Już nie zawraca sobie głowy tym żalonym malowidłem, a jego ślina wciąż spływa po krzyżu. Ponownie przyspiesza do szybkiego truchtu. Wyteża wzrok, by wypatrzeć plecy wieprza, którego goni, lecz nie może go odnaleźć. Przez krótką chwilę padają na niego cień i strach przed tym, że go zgubił, jednakże zza chmur wychodzi słońce, gdy zauważa, jak otyła sylwetka skręca w prostopadłą alejkę.

Paskudny uśmiech ozdabia jego buźkę, gdy z truchtu przechodzi do szybkiego chodu, by pozostać niesłyszczanym przez swoją przyszłą ofiarę, która może znajdować się tuż za rogiem. Kilka metrów przed skretem w alejkę przykleja się do ściany oraz przesuwa powoli, by na samym rogu się wychylić. W odległości około dwudziestu metrów od niego grubas męczy się z drzwiami od klatki, w której najwyraźniej musi mieszkać. Chłopak widzi dla siebie okazję. Niemal wyskakuje ze swojej bezpiecznej kryjówki, a następnie rusza w kierunku mężczyzny. Tłuszcioch nie widzi chłopaka, gdyż ten znajduje się za jego plecami, dlatego dziwi się, kiedy po otwarciu drzwi jakiś nieznany młodzieniec przytrzymuje je, by móc wcisnąć się za nim do klatki. Martwi go to, że widzi go po raz pierwszy. *Pewnie to jakiś kolega syna tego inżyniera spod dziesiątki*, myśli sobie i jednocześnie obserwuje chłopaka, wchodzącego po schodach na górę. Sam już chce pójść jego śladem, jednakże przypomina sobie o tym, że musi jeszcze zejść do piwnicy. Powoli stąpa po schodach, a jego myśli obracają się wokół tego, co dzisiaj będzie

oglądał w swoim trzydziestopięciocalowym telewizorze. Zanurza się w ciemnościach piwnicy. Próbuje prawą ręką wymacać przycisk odpowiedzialny za włączenie światła, gdy słyszy za sobą kliknięcie. Żołądek ze strachu podchodzi mu pod samo gardło. Wyczuwa za sobą czyjąś obecność. Przestaje wydawać jakiegokolwiek dźwięki, aż jego serce zwalnia rytm.

Czeka tak tuzin sekund, co pozwala mu się uspokoić w stopniu zadowalającym. Wydycha wstrzymywane dotąd powietrze, a następnie obraca się niezdarnie na pięcie. Tuż przed oczami pojawia mu się nie kto inny, jak młodzieniec, któremu przytrzymał drzwi. Próbuje krzyknąć, lecz szybkie cięcie rozcina mu krtań, jednocześnie go uciszając. Odruchowo łapie się za szyję, próbując zatamować krwotok, lecz udaje mu się to tylko w niewielkim stopniu. Krew leje mu się pomiędzy palcami, barwiąc podłogę na głęboki odcień szkarłatu, tworząc na niej małe kałuże. Jak świnia ślizga się na rozlanej wilgoci, po czym upada, wydając przy tym głuchy huk. Młodzieniec pochyla się nad nim, jednocześnie przekładając sobie nóż pomiędzy palcami w prawej dłoni, ochlapując ściany jeszcze ciepłą posoką. Ofiara próbuje poprosić o pomoc, lecz z jej ust wydobywa się tylko bulgotanie, niewiele różniące się od dźwięku, jaki wydaje gotowana zupa. Ten dźwięk tak jak zawsze wywołuje w na jego twarzy uśmiech.

Chłopak dla wygody siada sobie pod ścianą, opierając się o nią, skąd może obserwować ostatnie sekundy życia grubasa. Wpatruje się w jego twarz, z której uchodzi życie, a będzie to robić dopóki z obserwowanego nie uleci ostatnia cząstka świadomości i nie wpadnie on w objęcia śmierci, o której po setkach tysięcy lat istnienia naszego gatunku wciąż wiemy tyle, co na początku. Ostatnie przedśmiertne drgawki rzucają tłustym ciałem przez parę sekund, po ich końcu w ciemnej piwnicy nastaje cisza. Chłopak powoli się podnosi i podchodzi do swojej ofiary. Kopie ją, ale nie widzi reakcji. Uśmiecha się i ponawia test, efekt jest ten sam. Uspokojony, odwraca się na pięcie i odchodzi, po drodze składając nóż. Wraca drogą, którą przyszedł, a pod nosem cicho nuci melodie ze swoich ulubionych piosenek. Humor mu dopisuje, nie zwraca żadnej uwagi na otaczające go miasto, stawia kroki jak w transie, w kierunku swojego (a właściwie jego rodziców) domu. Oczy ma nieobecne, jakby był naćpany. Ludzie go mijający schodzą mu z drogi, widząc pustkę w jego spojrzeniu.

Lekkim pchnięciem otwiera furtkę, prowadzącą do drzwi wejściowych. Po ich otwarciu cały czas uspokajająco pstryka palcami prawej dłoni. Wchodzi do przedpokoju, w którym niewygodne, ale drogie i estetyczne buty zamienia na klapki. Wdrapuje się po schodach do salonu, by zamienić kilka nic nieznaczących słów z rodzicami, a następnie wejść na samą górę, do swojego pokoju. Po drodze wita się z nim jego białoburoczarny kot, z wyglądu przypominający rasę norweskich leśnych. Wchodzi powoli po schodach, widok zasłaniają mu barierki, na których wiszą jego ubrania, wszystkie jednakowo czarne. W końcu udaje mu się wspiąć po kilkudziesięciu schodach na najwyższe piętro, do swojego królestwa. Jego nogi same kierują się na łóżko, na które upada z rozkoszą i zadowoleniem z takowej możliwości.

Ręką sięga na parapet po słuchawki, które zakłada na uszy. Kładzie głowę na poduszce, gdy włącza się muzyka. Przyjemność rozlewa się po jego ciele. Powoli zapada w sen, a tak naprawdę się budzi.

Otwiera zaspane powieki. Dłońmi przeciera oczy, próbując się podnieść ruchem dolnych partii ciała, nie przynosi to jednak efektu. *Znowu zapomniałem*, mówi sobie w myślach nasz bohater i nieprzyjemnie się uśmiecha, gdy patrzy na swoje kalekie, wychudzone nogi. Do podniesienia się używa zawieszonych nad nim metalowych rur, których się chwyta. Zamiast dużego, nowiutkiego pokoju wita go kłitka z szarymi, brzydkimi ścianami. Miejsce ładnych, drogich ubrań zajmują ciuchy z lumpeksu, od których jego ciało przesiąka specyficznym zapachem. Słyszy, jak z sypialni jego rodziców, która przylega do jego pokoju, wydobywają się okrzyki pijackiej kłótni oraz płacz dziecka, a dokładniej jego brata, zdrowego. Ojciec od jego urodzin mówi mu, że jest najgorszą rzeczą, jaka mogła ich spotkać, ale on siebie nie obwinia, wręcz cieszy się, że tacy ludzie, jak jego rodzice, mają jego niepełnosprawność na głowie. Słyszy tupot małych stóp, zmierzających w kierunku jego pokoju. Drzwi otwierają się i wchodzi przez nie małe dziecko, schludne, dobrze ubrane i czyste. Nic nie mówi, tylko patrzy na brata nienawistnym wzrokiem. Podchodzi powolnym krokiem do jego łóżka i pluje mu prosto w twarz, aby następnie wybiec z pokoju. Naszemu bohaterowi przelatują przed oczami wszystkie nieszczęścia jego życia, kiedy to ojciec po raz pierwszy go uderzył czy też matka, nazywająca go nowotworem na jej zdrowym dotychczas życiu. Przewraca się na brzuch na łóżku. Twarz wciska w poduszkę. Próbuje zasnąć, chce się wydostać z tego koszmaru i trafić do świata, w którym to on jest panem. Spod zamkniętych powiek lecą mu łzy, a o dach obija się jesienny deszcz.



DZIEŃ NAUCZYCIELA

JACEK NOWAK

Mówią, że w życiu pewne są tylko śmierć i podatki. Komisarz Gustaw Kowalski miał dodatkowo tę pewność, że któregoś pięknego dnia zabije go własna żona, a powód tego czynu będzie jeszcze bardziej prozaiczny, niż spóźniony o kwadrans powrót od kolegi. Brudne buty. Olga zawsze wściekała się, kiedy w ubłoconym obuwiu przekraczał próg domu, i chociaż ich małżeństwo trwało dwudziesty trzeci rok, nie była w stanie pojąć, że taplanie się w błocie jest jednym z nieodłącznych elementów jego codziennych obowiązków. Ot, skutek uboczny pracy, jak zwykł to określać, „częściowo w terenie”. Dla niego samego tysiąc razy gorsze od skazy na prezencji stało się ciągle grzebanie w gównie ludzkich relacji, które to relacje często niestety przynosiły ofiary.

Kiedy przed laty wszedł na ścieżkę policyjnej kariery, był młodym, postawnym i pełnym zapału do pracy facetem. Później, wraz z upływem czasu, każde z tych określeń tra-

ciło na aktualności. Dobijał do pięćdziesiątki; starsza córka nie malowała się już po kryjomu, by wpaść w oko koledze z klasy, tylko pilnie studiowała na drugim roku farmacji. Młodsza jeszcze to robiła, ale ta przyszła na świat, kiedy on osiągnął wiek chrystusowy. Mimo usilnych prób, ciężko mu było zbić zbędne kilogramy, które przykleiły się do niego parę lat temu. Wraz z nadejściem sadła odeszły kruczoczarne włosy, co wytrąciło resztkę fizycznych atutów, które niegdyś posiadał i na które – przynajmniej biorąc pod uwagę aspekt wizualny – złowił przed wiekami Olę. Była jego rówieśniczką, chodziła do równoległej klasy i zaiskrzyło między nimi jakoś rok przed maturą. Wtedy nie drażniły go jeszcze jej pedantyzm i chorobliwa dbałość o czystość wszystkiego w promieniu kilometra.

Dochodziła dwudziesta, gdy przekręcał w drzwiach klucz. W przedpokoju zrzucił z siebie płaszcz i zdjął buty. Chciało mu się sikać, ale łazienka jak zawsze w tym mieszkaniu była zajęta. Początkowo wierzył, że po wyjeździe Weroniki na studia sytuacja zmieni się na lepsze, ale próżne były to nadzieje. Albo Zuza robiła się na nastoletnie bóstwo i musiała wyglądać cudownie także podczas snu, albo Olga podejmowała desperackie kroki, mające na celu stwarzanie pozorów, że proces starzenia jakby się jej nie uchwycił. *Nie udawaj kobieto, że umiesz czas zatrzymać*, przemykało mu w myślach, gdy spoglądał ukradkiem na żonę zaraz po tym, jak kończyła swe wielogodzinne zabiegi. I chociaż musiał przyznać, że efekty bywały zadowalające, to częściej zastanawiał się, po co tak naprawdę ona to robi. Od prawie roku nie mogła znaleźć pracy, rzadko wychodziła z mieszkania, a on miliony razy widział ją bez makiżażu i nigdy nie czynił jej nieprzyjemnych uwag.

– Muszę do łazienki.

– Zaraz.

Żona. Tak więc Zuza nie wróciła jeszcze z randki. Spojrzał na zegarek. Dziewiętnasta pięćdziesiąt cztery. Ciekawe, czy zadanie odrobione.

– Zleję się w gacie!

– No moment!

Trzy minuty później Olga wyszła z łazienki w różowym szlafroku z wyhaftowanym na lewej piersi kwiatem róży. Roztaczała wokół siebie zapach szamponu i delikatnych jaśminowych perfum. Cmoknęła męża w policzek i popatrzyła na jego stopy. Wielki palec prawej nogi nieśmiało wyglądał z malutkiej dziurki w skarpetce.

– Znowu się upaprałeś? – Przeniosła wzrok na buty. – Wyczyść je, jak się wysrasz.

– Nie chce mi się srać, tylko sikać – wyjaśnił, zdając sobie sprawę, że bez sensu się tłumaczy. Jakby sranie było wykroczeniem. – Zuza jeszcze u Marka? – zapytał, wchodząc do łazienki.

– Marek jest już nieaktualny. Teraz twoja córeczka żyje dla Grzeška.

Obserwował strumień moczu i przypominał sobie imiona, jakie padały w kontekście ukochanych młodszej córki. Była połowa października, a od początku roku naliczył ich cztery.

– Co to za jeden?

– Nie wiem, podobno fajny. I porządny.

– Tak. Jak każdy. Pogadam z nią.

– Ma być piętnaście po ósmej.

– Lepiej, żeby się nie spóźniła.

Chwilę później siedział przy kuchennym stole i wrzucał w siebie kanapki z szynką. Olga siedziała naprzeciw męża.

– Byłeś tam dzisiaj, prawda?

Przytaknął. Przez lata trzymali się niepisanej zasady, że nie rozmawiają o jego pracy, a przynajmniej że ona nie pyta. Jeśli on chce mówić, po prostu zaczyna. Tym razem sytuacja była specyficzna, bo w jakimś tam stopniu związana z ich rodziną.

– Ja rozmawiałam z Maćkiem. Strasznie jest przybity. Pierwsze wychowawstwo i już taka tragedia.

– Też mu nie zazdrozczę. Musi się liczyć z tym, że niebawem któryś z nas będzie chciał z nim porozmawiać. I możliwe, że tym kimś będę ja.

– Wiem. Jak to wyglądało?

Popatrzył na nią groźnym wzrokiem, ale w porę opanował emocje. Jakby chcąc odwlec udzielenie odpowiedzi, zapytał:

– On dzwonił do ciebie?

– Zwariowałaś? Ani on do mnie, ani ja do niego. Skontaktowałam się z Bartoszem. On wysondował, że może dobrze będzie, jeśli pogadam z Maćkiem i zapewnię, że dołożysz starań, by rozwikłać tę zagadkę.

– Stary, pocziwy Bartosz. Lubię faceta. Udał ci się kuzyn.

– Możesz przejść do rzeczy?

– To miał być zwykły wyjazd na weekend. Sześcioro gówniarzy, którym wydaje się, że są już dorośli jak cholera. Czterech chłopaków, dwie dziewczyny. Pojechali w piątek późnym popołudniem. Po lekcjach.

– Do rzeczy, prosiłam. To, o czym mówisz, wiem od Maćka.

– To po co mnie ciągniesz za język, skoro jesteś świetnie zorientowana w sytuacji?

– Dobra, dobra. Mów.

– To mi nie przerywaj – powiedział i odchrząknął. – Wiesz jak wygląda tamto miejsce? Byliśmy tam kiedyś, pamiętasz?

– To było tak dawno, że prawdopodobnie wszystko się pozmieniało.

– Nie przesadzaj, zaręczam, że jest jak dawniej. Te same drewniane domki, stare drzewa, pełno krzaków i robactwa. Ten sam brzeg porośnięty trzcina i ta sama woda, tylko pewnie brudniejsza, niż w latach naszej młodości. I kolejne pokolenia łabędzi.

– No...

– No i planowali zostać do dzisiaj do rana. Jest Dzień Nauczyciela, mieli wolne od szkoły. I właściwie wszystko było w jak najlepszym porządku. Wiadomo, jak to młodzi. Śmiech, zabawa, alkohol. Pogoda trochę nie dopisywała, właściwie „trochę” to łagodne określenie, bo lało jak z cebra przez całą sobotę i pół niedzieli, ale i tak nie narzekali. Dzisiaj koło dziesiątej mieli zbierać się do domów. Z tego, co powiedział na miejscu jeden z nich, ten, który ją znalazł, popili wczoraj wieczorem dość mocno i dwie czy trzy osoby zasnęły przed jedenastą. Pozostali, w tym Maja, posiedzieli jeszcze godzinę, może dwie.

Gustaw wstał od stołu, pozbierał naczynia, wyniósł je do zlewu i odwrócił się w stronę żony. Potarł skronie i spojrzał Oldze głęboko w oczy.

– Maciek mówił, że chciała zdawać na farmację. Jak nasza Wera. Pomyśl, co muszą czuć jej rodzice. Co my czulibyśmy, gdyby...

– Przestań. – Potarł skronie raz jeszcze, mocniej niż poprzednio. – Dziś rano Arek, ten, od którego dostaliśmy później telefon, wyszedł przed domek, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Nadal padało, ale on, nie bacząc na to, ruszył w stronę brzegu. Jak powiedział, coś go tchnęło. I znalazł ją w trzcinie. Leżała z poderżniętym gardłem.

– Boże...

– Boga w to nie mieszajmy. Czynniki ludzkie, kochanie. Przed dziesiątą zjawiliśmy się na miejscu. Wiesz już, dlaczego mam brudne buty. – Uśmiechnął się, ale był to uśmiech z gatunku tych, w których próżno szukać pozytywnych emocji.

Olga pokręciła głową z niedowierzaniem. Zapanowała krótkotrwała cisza, którą przerywał dźwięk przekręcanej w drzwiach klucza. Zuza. Gustaw spojrzał na zegarek. Dwudzieścia dwanaście. Trzy minuty przed czasem. Nieźle.

– Cześć, córeczko. Co to za Grzesiek? – zapytał, stojąc oparty o zlew i patrząc na żonę wstrząśniętą jego opowieścią.

Rankiem następnego dnia, w momencie, w którym powinien już przysypiać na matematyce, Arek Bielik siedział w jednym z korytarzy siedziby Komendy Powiatowej Policji i nerwowo machał nogami. Po raz pierwszy w życiu miał składać wyjaśnienia i nie wiedział, czego tak naprawdę ma się spodziewać. Miał tylko nikłą nadzieję, że całość nie potrwa zbyt długo i przezornie spakował do plecaka podręcznik do historii, która, zgodnie z planem lekcji, zaczynała się we wtorki o dziewiątej czterdzieści pięć. Dopuszczał jednak ewentualność, że nikt z jego klasy do szkoły dziś nie przyjdzie.

Odsiedział jeszcze kilka minut. Wreszcie otworzyły się drzwi i na korytarz wyszedł mający problemy z nadwagą policjant. Arek poznał go od razu, rozmawiali poprzedniego dnia.

– Zapraszam – powiedział gliniarz i ruchem ręki wskazał drogę.

Arek chwycił plecak i z bijącym mocno sercem skierował się do pokoju.

Po chwili siedzieli naprzeciwko siebie, a dzieliło ich tylko zavalone papierami biurko. W tle pobrzmiwał jakiś mdły sezonowy przebój muzyki pop.

– Arkadiusz Bielik, lat osiemnaście, uczeń trzeciej klasy liceum ogólnokształcącego, profil biologiczno-chemiczny.

– Tak.

– Świetnie. Komisarz Gustaw Kowalski. Pewnie pamiętasz mnie z wczoraj, chociaż nie byłeś w najlepszej kondycji.

– Wszystko pamiętam. Jak znalazłem Maję, to wytrzeźwiałem od razu, serio.

– Tak. Możesz opisać wszystko, co wydarzyło się od niedzielnego popołudnia do momentu, kiedy natrafiłeś na zwłoki koleżanki?

– Właściwie to te trzy wieczory, piątkowy, sobotni i niedzielny, niczym specjalnym się od siebie nie różniły. Ten domek wynajęliśmy już we wrześniu, chcieliśmy się rozerwać przed zakuwaniem do matury. Myśleliśmy, że ludzie się rzucą, przecież to był taki jakby trochę długi weekend, przynajmniej dla niektórych. Ale na miejscu okazało się, że prawie wszyscy zrezygnowali, pewnie ze względu na tę parszywą pogodę. My uznaliśmy jednak, że zamiast włóczyć się po okolicy i pić, będziemy tylko pić.

– Rozrywka wyższych lotów.

– Nigdy nie miał pan osiemnastu lat?

– Nigdy nie przepadałem za alkoholem. Kontynuuj.

– No więc byliśmy sami, nie licząc właściciela, który razem z rodziną mieszka w jednym z tych domków, takim najbardziej okazałym. W niedzielę wieczorem wszyscy mieliśmy już mocno w czubie. Kuba, Krzysiek i Łucja, choć co do niej nie mam pewności, padli dość szybko. Ja, Maja i Szymek siedzieliśmy dalej. Właśnie nie za bardzo wiem, co z Łucją. W końcu urwał mi się film. Jak przebudziłem się rano, to musiałem zaczerpnąć świeżego powietrza. Suszyło mnie, a głowa ważyła chyba ze dwa razy więcej niż zwykle. No i wyszedłem, było fajnie, rześko, deszcz lekki, po nocnych opadach zluzował i coś tak gnało mnie ku tej trzcinie... W niewielkiej odległości od brzegu zobaczyłem najpierw stopy i już zrobiło mi się słabo. Podszedłem bliżej i ujrzałem ją całą. Koszmar. Na glinianych nogach wróciłem do domku i od razu zadzwoniłem na policję.

– Czy wśród uczestników wypadu były pary? Albo wyraźne antagonizmy między kimkolwiek?

– Wiem, że Szymek coś tam do Łucji poczuł jakiś czas temu, ale ona niespecjalnie była zainteresowana. Traktuje go jako kumpla, a on jest zbyt nieśmiały, żeby podjąć jakieś zdecydowane kroki. Myślał, że ten wyjazd może coś ruszy, ale raczej nic z tego nie wyszło. I tak to w martwym punkcie stoi.

– Martwe to mamy co innego. A Maja?

– Majka? Cholera, nie wiem. Parę miesięcy temu zerwała z takim jednym chłopakiem z technikum budowlanego i mówiła, że na razie nie chce się angażować w żaden układ, choć niedawno zaczęła coś przebąkiwać o jakimś studencie. Nawet jeszcze w sobotę ruszyła ten temat, tak ogólnie tylko, ale ruszyła. My wszyscy, to znaczy ci, którzy byliśmy nad jeziorem, traktowaliśmy ją jak kumpele.

– Znasz nazwisko tego z technikum?

– Borowiecki. Albo Borowczyk. Nie pamiętam.

– A studenta?

– Nie mam pojęcia.

– Antagonizmy?

– Jesteśmy zgraną paczką. Gdyby ktoś czuł się nieswojo, to chyba mało prawdopodobne, że skusiłby się na trzydniowy wspólny wyjazd, nieprawdaż? Scysje się zdarzają, pan władza pewnie też nieraz poprzytyka się z kolegą z pracy, ale to nic groźnego. Przez chwilę sprzeczka, zaraz potem wszystko wraca do normy. Jak wszędzie w grupie.

– O której zasnąłeś?

– Nie wiem, pewnie koło północy.

– Kto był wtedy w tym samym pomieszczeniu?

– Szymek na pewno. Krzysiek i Kuba spali już u siebie. Łucja chyba też była u siebie. Majka, coś tak mi świta, mówiła, że idzie do łazienki, bo jej niedobrze. I tyle pamiętam.

– Twoja koleżanka została zamordowana tuż po północy.

– Pan coś sugeruje?

– Szymek już spał, kiedy ty zasypiałeś?

– Szymek ledwo trzymał się na nogach. Poza tym chyba nie sądzi pan, że...

– To na razie tyle. Zbieraj się do szkoły. Mnie czeka jeszcze kilka rozmów.

Arek podniósł się z krzesła, chwycił leżący na podłodze plecak i odwrócił się, ale zamiast ruszyć w kierunku drzwi stanął jak posąg.

– Panie komisarzu...

– Tak?

– Niedaleko ciała znalazłem to. – Chłopak wygrzebał z kieszeni miętusa w papierku i, ponownie stanąwszy przodem do Kowalskiego, położył go na biurku. – Pewnie nic to nie ruszy sprawy, ale...

Policyjny patolog określił, że śmierć nastąpiła między północą a pierwszą nad ranem. Sprawca działał wyjątkowo ostrożnie, nie pozostawił odcisków palców. Ślady butów zatarł intensywny deszcz, czyniąc z gruntu wielkie bajoro.

Komisarz Kowalski oczekiwał na przybycie kolejnych młodych ludzi, kiedy do pokoju wszedł sierżant Michał Małecki.

– Myślisz, że to któryś z nich? – zapytał bez ogródek, stawiając kubek na skrawku wolnej przestrzeni na biurku.

– Któryś w sensie...

– No z tych chłopaków.

– Nie zapominaj, że była tam też dziewczyna. I według wersji tego, który przed chwilą stąd wyszedł, zniknęła gdzieś przed północą. Może poszła spać, a może...

– Pamiętaj, że to, co on powiedział, nie musi być prawdą.

– Nie ucz ojca dzieci robić. – Kowalski wstał i podszedł do okna, z którego rozpościerał się widok na zalesione wzgórze ze ścieżkami dla spacerowiczów. – Muszę skontaktować się z wychowawcą tych dzieciaków. Myślę, że udzieli kilku cennych wskazówek dotyczących ich wzajemnych relacji.

– Sprawdzić, kto to?

– Znam go, to syn kuzyna mojej żony. Spotkaliśmy się na kilku większych imprezach rodzinnych i zamieniliśmy z sobą parę słów. Sympatyczny chłopak.

– Nie dopuszczasz myśli, że mógł być to ktoś spoza?

Kowalski westchnął ciężko.

– Zamordowana została dokładnie w tym miejscu, w którym znalazł ją ten szczył. Wskazują na to choćby ślady krwi. Nie było niczego w stylu przeciągania zakrwawionych zwłok z miejsca na miejsce. I uważam, choć póki co to jedynie przypuszczenia, że zabił ją ktoś, kogo znała i komu ufała. Mało prawdopodobne jest, że w środku nocy wyszła na zewnątrz za potrzebą. Komu chciałoby się wyłazić z domku, żeby załatwić się w krzakach? Padało bez przerwy, a temperatura oscylowała w granicach pięciu-sześciu stopni. Mieli do dyspozycji dwie małe łazienki, to luksus większy niż mam u siebie, więc nie sądzę, by obie były zajęte tak długo, że nie mogła wytrzymać.

– No dobra, ale dalej jesteśmy w dupie. Albo ktoś, kto był w domku wytargał ją na zewnątrz i zabił, albo...

– ... ktoś inny zjawił się i, sam nie wiem, zaprosił ją na uroczy spacer brzegiem jeziora, a potem zafundował podróż na drugą stronę.

– Zawód miłosny?

– Nie wiem. Ten, który przed chwilą wyszedł mówił, że spotykała się z jakimś uczniem technikum, Borowieckim albo Borowczykiem, trzeba będzie go sprawdzić. Później był jakiś student, o którym nie wiemy nic.

– Co teraz?

– Dalsze rozmowy z dzieciarnią. Skoro przepadła jej komórka, trzeba będzie poszperać po portalach społecznościowych. Zajmij się tym.

Kowalski spojrział w niebo. Po porannym słońcu nie pozostał już ślad. Zebrały się brunatne chmury, zwiastujące kolejną porcję deszczu.

Do godziny czternastej porozmawiał z pozostałą czwórką weekendowych biesiadników, ale z rozmów tych nie dowiedział się niczego nowego. Powtarzali to, co wcześniej mówił Arek Bielik, tylko ubierali to w inne słowa, przy czym dla trojga uczniów impreza skończyła się jeszcze wcześniej i posiadali jeszcze mniejszą wiedzę. Komisarz podczas tych rozmów bacznie przyglądał się mowie ciał licealistów. Żaden jednak nie wykonywał nerwowych ruchów, mogących świadczyć o tym, że ma coś do ukrycia. Byli spokojni na tyle, na ile po-

zwała sytuacja. Bo ciężko o pełen spokój, gdy koleżanka leżała w prosektorium w oczekiwaniu na sekcję.

Kiedy wyszła ostatnia osoba, zapłakana Łucja Kawęcka, która, jak tłumaczyła, spędziła noc nie w łóżku, a obok łóżka, Kowalski oparł się w fotelu i zmrużył oczy. Zaburczało mu w brzuchu i pomyślał, że czas na obiad. W tym samym momencie do pokoju wszedł Małecki z wieścią, że Wojciech Borowczyk (bo tak nazywał się niegdysiejszy wybranek Mai) od dwóch tygodni nie wychodzi z domu, bo na przełomie września i października złamał nogę podczas treningu piłki nożnej.

Kowalski wiedział (dowiedzieć się pomogła mu Olga), że Maciek we wtorki kończy pracę w szkole o trzynastej piętnaście i nawet jeśli w związku ze śmiercią wychowanki miał do załatwienia jakiejś sprawy, to pewnie już się z nimi uporał. Przed wyjściem do pracy komisarz zadzwonił do Bartosza i poprosił go o numer kontaktowy do syna. Teraz uznał, że zanim zamówi obiad, skontaktuje się z nauczycielem. Wybrał numer i wcisnął zieloną słuchawkę.

– Halo...

– Witaj Maćku, Gustaw Kowalski z tej strony. Miałbyś chwilę, żeby zajrzeć do mnie do domu, powiedzmy koło osiemnastej? Żona przygotowuje kolację.

– Jasne.

Był przybity. Barwa jego głosu zdradzała to z całą mocą. Świetnym pomysłem wydało się Kowalskiemu to, by porozmawiać z nim u siebie w mieszkaniu, a nie na komendzie.

– Czekam zatem, do zobaczenia.

Wiedział, że rozmowa z tym chłopakiem będzie zdecydowanie inna od tych kilku, jakie odbyli do tej pory. Jak sięgał pamięcią, po raz ostatni wymienili parę zdań na weselu siostry Maćka, co miało miejsce jakieś dwa lata temu. Typowe pieprzenie o wszystkim i o niczym. Przypomniawszy sobie, że spierali się o to, kto w rozpoczętym niedawno sezonie zdominuje rozgrywki La Liga.

Maciek przybył dokładnie o osiemnastej, widocznie odziedziczył punktualność po ojcu. Z kieszeni płaszcza wystawała czekolada dla Zuzy, której i tak nie zastał, bo wyszła cementować związek z nowym chłopakiem.

– Dzisiaj niestety nie pogadamy sobie o piłce – rzekł Gustaw, wskazując gościowi miejsce przy stole.

W kuchni uwijała się Olga. Szykowała najbardziej wykwinłą kolację od lat, zupełnie jakby wizytę w jej mieszkaniu złożył nie prowincjonalny nauczyciel, będący zarazem synem kuzyna, a co najmniej minister oświaty.

– Uwierz mi, że żałuję.

– Wybacz, że tak wprost, ale chciałbym zadać ci kilka pytań, które mogłyby ruszyć nasze śledztwo z miejsca.

– Cieszę się, że to ty badasz sprawę.

– Podziękuj prokuratorowi. Możemy zaczynać?

– Jasne.

– Mógłbyś na początek scharakteryzować klasę Majki?

Do pokoju weszła wystrojona Olga i bez słowa położyła na stole dwie filiżanki. Pełnym współczucia wzrokiem spojrzała na Maćka, po czym udała się do kuchni.

– W liceum zahaczyłem się dwa lata po skończeniu studiów, rok później dyrektor zrobił mnie wychowawcą klasy I d. Liczyła dwadzieścia pięć osób, trzynaście dziewczyn i dwunastu chłopaków. Od początku tworzyli w miarę zgraną grupę, wiesz, to już nie te czasy, kiedy zaczynasz szkołę i wszyscy są dla ciebie nowi. Oni już w wakacje poprzedzające rozpoczęcie nauki w liceum skrzykiwali się na facebooku i pierwszego września zjawili się w szkole jak starzy znajomi. Zresztą wielu z nich znało się już z gimnazjum. Nie było dzieciaków z rodzin, które moglibyśmy określić jako „wzorcowo patologiczne”, ale niektórzy sprawiali pewne problemy wychowawcze. To nie była trudna młodzież, ale, jak to w tym wieku bywa, miewała różne głupie pomysły. Sześć osób z rodzin rozbitych, trzy z biednych, dwie półsieroty.

– Z kim najbardziej przyjaźniła się Maja?

– Raczej mało ze mną rozmawiała, nigdy nie potrafiła się specjalnie otworzyć przed nauczycielem, ale z moich obserwacji wynikało, że tworzyła paczkę z tymi, z którymi pojechała nad to jezioro. Mieli jechać w siódmkę, tak słyszałem, ale jedną z dziewczyn, Ilonę, dopadło zapalenie oskrzeli.

– Miała wrogów?

– Maja? Nie. Była ugodową osobą, więc nie wierzę, by komuś zalazła za skórę. A już na pewno nie do tego stopnia.

– Sytuacja rodzinna?

– Rodzina pełna. Ojciec mechanik samochodowy, matka kosmetyczka. Miała starszego brata, który pracuje w Niemczech.

– Będę musiał porozmawiać z rodzicami...

– Ty chyba nie jest dobry moment...

– Wiem, wiem przecież. A powiedz mi jeszcze, jeśli chodzi o jej sympatie, antypatie i tego typu rzeczy, rozumiesz?

– Nieszczerólnie dużo wiedziałem o tych sprawach. Sam masz nastoletnią córkę, więc pewnie wiesz, że sytuacja miłosna zmienia się jak w kalejdoskopie. Ale z tego, co słyszałem, to jeszcze niedawno spotykała się z jakimś rówieśnikiem. Chodził do innej szkoły, na pewno nie do naszej. Jakiś czas temu podobno zerwali, ale chyba nie sądzisz, że motywem zabójstwa były porachunki sercowe?

– Ja póki co nic nie sądzę, próbuję ustalić i posegregować fakty. Zresztą ten trop, z tym chłopakiem, już na wstępie okazał się niesłuszny.

Maciek przełknął ślinę i trzęsącą się ręką przystawił filiżankę do ust. Upił łyk gorącej czarnej herbaty i rzekł:

– Nic więcej nie jestem w stanie powiedzieć ci na ten temat.

– Rozumiem. Ilu ich dzisiaj było?

– Dziesięć osób. Siedzieli, jakby ktoś przed wejściem do klasy walił ich pałą po głowach. Biedne dzieciaki.

– No. Dziesięć. To i tak sporo.

– Cholera, co będzie, jeśli okaże się, że to jednak któreś z nich?

– W swoim życiu prowadziłem tyle spraw z zaskakującymi finałami, że już nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć. Cóż, niestety niczego nie możemy wykluczyć, i jeśli okaże się, że zabójcą jest któryś z tych gówniarzy, z którymi rozmawiałem dzisiaj w pracy, to tym bardziej współczuję tobie jako wychowawcy.

Maciek oparł się łokciami o stół i skrył twarz w dłoniach. W mocnym świetle salono-wej lampy Gustaw dostrzegł pierwsze symptomy łysienia u tego sympatycznego, trzydziesto-letniego faceta. Po chwili do mieszkania weszła Zuza, która, zamieniwszy parę słów z mamą, zamknęła się szybko w swoim pokoju.

– Dzwoni twoja komórka, kochanie – zawołała z kuchni Olga.

Gustaw nie był w stanie przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni powiedziała do niego „kochanie”. To musiało być w zamierzchłych czasach. Poklepał się po kieszeniach jeansów. Miał ten nawyk od momentu, kiedy kupił pierwszy telefon i chociaż żona nieraz kładła mu do głowy, że chodzenie z komórką w kieszeni portek nie jest zdrowe, to on nie potrafił inaczej. Wyteżył słuch. Faktycznie, zza ściany, z pokoju jeszcze do niedawna należącego do Weroniki, a w którym coraz częściej urzędował on, dobiegał dźwięk dzwonka. Podniósł swe masywne ciało, opierając się o blat stołu (i pomyśleć, że przed laty wygrał wojewódzkie zawody policjantów w sprincie), po czym spojrzął raz jeszcze na Maćka, który – zdawać by się mogło – zastygł w przyjętej pozie na zawsze.

– Gustaw!

– Idę!

W pokoju obok telefon leżał na wersalce i zanim komisarz tam dotarł, przestał dzwonić. Zamknął za sobą drzwi i włączył cicho radio. Chwycił telefon i wszedł w rejestry połączeń. Małecki. Oddzwonił. Sierżant odebrał już po pierwszym sygnale.

– Słuchaj, jest pilna sprawa.

– Słucham, tylko streszczaj się. Mam tutaj tego Maćka, wychowawcę denatki. Facet jest mocno roztrzęsiony.

– To teraz słuchaj uważnie. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że siedzisz przy stole z zabójcą dziewczyny.

– Co ty pieprzysz, człowieku?

– Franek przeszukał jej profil na jednym z portali. I nie musiał się nawet specjalnie wysilać, bo dziewczyna nie usunęła paru rozmów, jakie odbyła z użytkownikiem posługującym się nieprawdziwymi danymi. W końcowej fazie było coś takiego – on: skoro wywietrzałeś Ci już z głowy ten koleś, to może wreszcie umówisz się ze mną?, ona: proszę pana, dziękuję za propozycję, ale nic do pana nie czuję i dziwnie bym się czuła, spotykając się z kimś, kto od ponad dwóch lat jest moim wychowawcą, on: już ktoś inny wpadł ci w oko, co?, ona: to naprawdę jest moja sprawa, z całym szacunkiem, proszę mnie już nie nagabywać, bo w końcu będę musiała to zgłosić rodzicom.

– Niech to szlag.

– Franek sprawdzi to dokładnie, ale facet mógł mieć na jej punkcie obsesję.

– Ale wiesz, nawet jeśli to, powiedzmy, mocno nieetyczne, to nie znaczy jeszcze, że pozbawił ją życia. – Mówił cicho, niemal szeptem, ale w głębi serca pragnął krzyknąć. Obliznął suche wargi.

– Niemniej mamy punkt zaczepienia i nie możemy teraz niczego przeoczyć, żadnego szczegółu.

– Nie ucz ojca...

– Wiem, wiem. Bądź czujny, komisarzu. Cześć.

Kowalski rzucił telefon na wersalkę, przetarł dłonią spocone czoło i, starając się sprawiać pozory normalności, wyszedł z pokoju. Kiedy przechodził przez przedpokój, zagadała Olga, która właśnie kończyła szykować kolację.

– Kto dzwonił?

– Nikt. Znaczą Małecki. Drobna sprawa zawodowa. Nieważne.

– Jakiś taki spięty jesteś.

– Wydaje ci się.

Zza zamkniętych drzwi prowadzących do pokoju Zuzy dobiegały latynoamerykańskie rytmy. W pierwszym odruchu chciał zapukać i powiedzieć młodej, żeby łaskawie wyszła przywitać się z Maćkiem, ale szybko doszedł do wniosku, że może to być najgorszy moment na odświeżanie rodzinnych relacji.

Gdy wszedł do pokoju gościnnego, Maciek siedział już wyprostowany, ale troska nie znikła z jego twarzy.

– Zawołasz Zuzkę? Chciałbym dać jej tę czekoladę. Choć pewnie i tak jej nie zje, niech zgadnę: dba o linię. – Maciek uśmiechnął się, ale Gustaw nie odwzajemnił uśmiechu.

Na stole, obok dużej czekolady z orzechami, leżała rozpieczętowana paczka cukierków o smaku miętowym. Takich samych jak ten, który znalazł nad jeziorem klasowy kolega Mai.

Jeden z tych cukierków właśnie rozpuszczał się w ustach Maćka.

– Poczęstujesz się? – zapytał, kierując paczkę w stronę policjanta. – Wiem, że zaraz kolacja, ale uwielbiam te cukierki. W trudnych chwilach, takich jak ostatnio, mam je zawsze przy sobie i jem na potęgę. Można powiedzieć, takie jedyne moje uzależnienie. Na szczęście całkowicie nieszkodliwe.

– Nie, dziękuję – odparł komisarz.

Nadal stał i przyglądał się cukierkom.

– Jedyne uzależnienie, powiadasz. A czy masz, lub miałeś, jakieś obsesje?

– Nie rozumiem.

– Rozumiesz doskonale. Chociaż masz trzydzieści lat, nigdy nie byłeś w poważnym związku. Każde wesele, na jakim cię widziałem, spędzałeś samotnie. Nie ukrywam, że trochę mnie to dziwiło. Wydawałeś się równym gościem, który nie powinien mieć problemów w relacjach z płcią przeciwną. Ale ogólnie o tym nie myślałem, nie moja sprawa. Może pech, może świadomy wybór. Nieważne. Aż tu nagle trafiasz do szkoły, w której roi się od pięknych, młodych dziewczyn, dla których jesteś autorytetem. I postanawiasz wykorzystać swą pozycję. Lokujesz uczucia w osobie, która nie wyobraża sobie związku z własnym wychowawcą. Jest zajęta, ok, trudno, bywa. A potem znów jest wolna i wzrastają twoje nadzieje. Może jednak zadziała magia stanowiska, jakie piastujesz, i Maja wreszcie zwróci na ciebie uwagę? Ale nie, ona wiąże się z innym człowiekiem, studentem. W tobie budzi się wściekłość.

Maciek wstał i zrobił krok do tyłu, w stronę drzwi balkonowych. Był blady jak ściana.

– Na twoim miejscu nie próbowałbym skakać. Dobrze wiesz, że to piąte piętro.

– A ty gównu wiesz! Gównu wiesz, tłusciochu, czym jest prawdziwa miłość! Wiedziałem, że wpadnę. Może nie przypuszczałem, że aż tak szybko, ale wiedziałem. Tylko wiesz co? Mimo wszystko czuję ulgę. Bo ona nigdy z nikim już nie będzie! Nigdy z nikim!

Za plecami Gustawa rozległ się donośny brzęk tłuczonych naczyń. Cztery talerze do drugiego dania wypadły z rąk skonsternowanej Olgi, która zanosła się niepohamowanym płaczem. Oparła się o drzwi prowadzące do łazienki i uderzyła w nie otwartą dłoń. Z pokoju wybiegła zaniepokojona Zuza. Kryształki mieniły się na podłodze w ciepłym świetle lampy.

– Będziesz miał teraz dużo czasu na rozmyślanie o miłości. Tylko młodego życia szkoda. Szkoda jak diabli. I to by było na tyle, jeśli chodzi o wspólną kolację.

– Matko kochana, Gustaw! – zawyła Olga, do której zdążyła podejść nastoletnia córka i mocno objąć ją w pasie.

Gustawowi stanął przed oczami widok martwej dziewczyny, leżącej w trzinie u brzegu jeziora, które na siedzibę obrały sobie przed laty dostojne łabędzie. Zaraz potem wymazał ten obraz i przywołał twarz Bartosza. Pomyślał, że kuzyn żony najpewniej do końca życia będzie odwiedzał syna w więzieniu. Nie tak to wszystko miało wyglądać.

Gustaw ruszył w stronę zanoszącego się obłąkańczym śmiechem nauczyciela.

www.kostnica.com.pl

KOSTNICA

POZORNIE MARTWA STRZA

HORROR THRILLER KRYMINAL SENSACJA FANTASTYKA



www.kostnica.com.pl

RECENZJE
OPOWIADANIA
GALERIE
NOWOŚCI
KONKURSY
FILM
KSIĄŻKA
GRA
KOMIKS

MACIEJ SZYMCZAK

SINOBRODY
I INNE
OPOWIADANIA



MGŁA, Z KTÓREJ PRZYCHODZIMY

Piotr Tiszczenko

Pociąg dotarł do stacji niedługo przed zmierzchem. Stałem na zarośniętym trawą peronie i rozejrzałem się. Pierwszym, co rzuciło mi się w oczy był budynek jakiegoś magazynu z czerwonej cegły, stojący na tle mgły i drewnianych wiejskich domków, w oknach których zapalały się już z wolna wieczorne światła. Napis na pożółkłej od rdzy tablicy głosił nazwę miejscowości: „Starosielce – Stacja”.

Kiedy pociąg odjechał, okazało się, że po drugiej stronie torów, za przerzuconą przez nie kładką, ciemniej zarysy opuszczonego kompleksu fabrycznego – masy starego betonu,

rozbitego szkła i rdzewiejącej stali. Ponad tymi posępnymi ruinami wznosił się grzybowaty kształt wieży ciśniń.

Na peronie nie było nikogo. Panująca tu atmosfera rozrzedzonego czasu, pogłębianą jeszcze przez otulającą wszystko mgłę, sprawiła, że poczułem się przedziwnie – jakbym trafił w miejsce, które kryło w sobie coś bliskiego, od dawna we mnie obecnego. Ruszyłem w stronę świateł, by poszukać jakiegoś noclegu. Mijając magazyn z czerwonej cegły, przyglądałem się otoczonej pordzewiałą siatką, dużej, zapuszczonej posesji za nim. Rosły tam ogromne topole. Ich widok przytłaczał, przywołując wspomnienie krainy dzieciństwa, gdzie takie przerośnięte drzewa zrastały się z mdłym, przemysłowym krajobrazem późnego komunizmu. Poczulem zapach ścielącego się nisko dymu z opalanych drewnem pieców. Jesienny wiatr roznosił go, mieszając z wonią gnijących liści. Postawiłem kołnierz płaszcza, próbując się przed tym zimnym wiatrem osłonić i zapukałem do drzwi domu, otulonego ciemnym ogrodem, pełnym połamanych łodyg uschniętych już kwiatów.

Gospodarze okazali się przyjaźni i gościnni, choć niezbyt rozmowni. Prócz nich – dojrzałych, mężczyzny i kobiety – w domu był jeszcze jakiś starzec, najwyraźniej członek rodziny. Wszyscy razem usiedliśmy w kuchni, oświetlani przez stojącą na stole staromodną lampę naftową. Ten fakt, podobnie jak nietypowy posiłek, który mi podano, wywołał we mnie dziwne wrażenia. Jadłem suszone grzyby i wędzone owoce o dosyć cierpkim smaku, popijając je czarną, niesłodzoną herbatą i zastanawiając się, po co właściwie przyjechałem do tego otoczonego mgłą miasteczka. Nie potrafiłem przypomnieć sobie żadnego powodu, co wywołało we mnie niepokój. Moi gospodarze uśmiechali się jednak ciepło, a ich towarzystwo było mi w pewien sposób błogie tak, że pragnąłem tu, przy tym stole, pozostać jak najdłużej.

Postanowiłem jednak zwalczyć ospałość i dowiedzieć się czegoś o miejscu, do którego trafiłem. Dlaczego nie mówili nic o miasteczku? Ilekroć pytałem o nie, coś jakby odciągało ich uwagę i spoglądali wtedy to w stronę okna, to znów na drzwiczki pieca, za którymi cicho pohukiwał ogień. Wszelkie moje próby dowiedzenia się czegoś o ich przeszłości kwitowali wesołym potrząsaniem głowami, jak gdyby tym gestem chcieli zbyć pytanie tak bardzo pozbawione sensu, że aż śmieszne. Oburzyło mnie to zachowanie i miałem zamiar opuścić ten dom, jednak ostatecznie udało mi się dowiedzieć czegoś istotnego. Wreszcie, odprowadzany przez starca, wyszedłem w noc, by poszukać kogoś, o kim mówiono „Latarnik”, a kto miał mi pomóc w odnalezieniu odpowiedzi. Przechodziliśmy obok jakiejś starej kaplicy, ulokowanej przy torach. Zdawała się całkiem pusta i najwyraźniej była zamknięta – ze wszystkich stron otoczona krzewami i wysoką trawą. Minęliśmy ją i szliśmy wzdłuż torów. Po betonowych schodach wspięliśmy się na stalową, rdzewiejącą kładkę nad

nimi, którą zauważyłem już wcześniej, zaraz po wyjściu z pociągu. Tutaj starzec pożegnał mnie, wskazując na wieżę ciśnień i życząc mi powodzenia.

W dalszą drogę ruszyłem więc sam, spoglądając na zrujnowany kompleks fabryczny. Był groźny i wspaniały. Rozciągał się daleko wzdłuż torów, a jego krańce ginęły we mgle. Górząca nad nim wieża ciśnień zdawała się emanować jakąś niewyraźną poświatą. Po chwili zorientowałem się, że z jej wysoko umieszczonych okien wydobywa się bladoniebieskie światło. Zbliżając się do niej, zauważyłem, że w wielu miejscach tynk odpada, odsłaniając mur z czerwonych cegieł. Wejścia pilnował pies. Było to ogromne, pozbawione sierści zwierzę czy raczej potwór o skórze koloru granatowego. Przepuścił mnie, kiedy rzuciłem mu kość, którą dziwnym przypadkiem znalazłem w swojej walizce.

Latarnik zaczekał, aż wespnę się do niego po stalowych drabinkach, biegnących przez dwie puste kondygnacje ku trzeciej, gdzie stał przy oknie, patrząc na mnie przenikliwym wzrokiem. Pokój na planie sześcioboku oświetlony był przez umieszczoną w centralnej kolumnie niebieską lampę.

– Nikt tutaj nie zadaje już sobie tego pytania – powiedział Latarnik, patrząc mi w oczy. – Bo niby po co mieliby zastanawiać się nad tym, dlaczego jest, to co jest? Przecież oni nie wiedzą, że cokolwiek mogłoby być inne, niż jest. A właściwie, czy ty sam pamiętasz jeszcze, skąd się tu wziąłeś?

– Oczywiście! – zawołałem. – Przyjechałem ostatnim pociągiem...

– O, tak. To pewne. Pytam jednak, skąd przyjechałeś?

Poczułem się zaskoczony i zmieszany. Znowu, tak jak w drewnianym domku, byłem pewien, że wiem, ale nagle odkryłem, że nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Latarnik odczekał chwilę, po czym spokojnym głosem mówił dalej.

– Nie przejmuj się za bardzo, ja sam także tego nie pamiętam. Wiem tylko, że któregoś wieczora pociąg, po długiej drodze, wynurzył się wreszcie z mgły, a ja postawiłem swoją walizkę na peronie w Starosielcach. Widzisz, nikt w tej miejscowości nie wie, skąd tu przybył, ani też nie zna historii miasteczka. Nikt się tutaj nie urodził, wszyscy przyjechali tu pociągiem. I każdy przyjechał sam.

– Jak długo już tu jesteś? – zapytałem.

– Nie wiem. Mam wrażenie, że dopiero od wczorajszego wieczora, choć wydaje się to niemożliwe.

Uzmysłowiłem sobie, że nie potrafię określić, ile czasu minęło od mojego przyjazdu i poszukałem przy sobie zegarka. Nie znalazłem go. Wtedy Latarnik opowiedział mi, jak poznał niebieskiego psa, pilnującego wieży. Zwierz czekał już na peronie w Starosielcach

i podszedł do niego zaraz po odjeździe pociągu. Potem poprowadził go prosto do wieży, w której udało się Latarnikowi odkryć kilka ciekawych rzeczy. Między innymi błękitną lampę, płonąca teraz w kolumnie na trzeciej kondygnacji oraz pewne podziemne przejście, które zamierzał mi zaraz pokazać. Zanim jednak wyruszyliśmy, odwrócił się do mnie.

– Czy zauważyłeś jakąś stratę w sobie, odkąd tu jesteś? – zapytał, podkreślając lampę, którą zabrał z półki w kolumnie. – Poza pamięcią, rzecz jasna... Mam na myśli pragnienia. Pomyśl, czego mógłbyś teraz pragnąć? – Podkreślił słowo „teraz”, a ja poczułem się dosyć nieswojo.

– Prawdy – odpowiedziałem bez namysłu, jakbym od dawna oczekiwał tego pytania. – Chcę wiedzieć, co to za miejsce i co mam tu do zrobienia. Dlatego pójdę za tobą. Gdyby nie to pragnienie, wolałbym zostać przy piecu i żuć wędzone owoce, siedząc przy stole wraz z tymi dziwnymi uśmiechniętymi ludźmi, w domu niedaleko stacji, tam, gdzie dziś mnie ugoszczono. Było tam bardzo spokojnie i miło.

– Pragniesz prawdy? Tym różnisz się jeszcze od reszty mieszkańców... Chodź za mną!

Zeszliśmy po drabinach na parter. W podłodze, obok miejsca, przy którym stróżował niebieski pies, znajdowała się ciężka kłapa od wjazdu. Wkroczyliśmy w ciemność podziemi pod zrujnowaną fabryką. Latarnik szedł przodem, oświetlając drogę swoją niebieską lampą. Gdyby nie jej światło, nie mielibyśmy żadnych szans na pokonanie tego labiryntu. Pełno tu było studzienek, które pojawiały się nagle pod stopami. Drabinki miały powyginane i połamane szczeble, a w niektórych odnogach korytarzy, pomimo wlewającego się do nich niebieskiego blasku, ziały jakieś ciemne, bezkresne przepaście. Na ich widok ogarniał mnie jednocześnie podziw i lęk. Kto i po co zbudował tutaj, pod Starosielcami, coś tak wielkiego? Nieustannie nasłuchiwałem, próbując wychwycić w ciemnościach dźwięki zbliżania się czegoś groźnego, ale panowała niemal absolutna cisza, w której słyhać było jedynie odgłosy naszych kroków i oddechy.

Początkowo Latarnik nie okazywał żadnych emocji, jednak kiedy zbliżyliśmy się do wielkiego kanału, w którym płynęła całkiem nieprzejrzysta, czarna woda, kazał mi iść przodem. Zamierzałem właśnie postawić stopę na stalowym moście, gdy niespodziewanie odezwał się zza moich pleców, tonem, który mnie zmroził.

– Zatrzymaj się. Masz ze sobą dwie duże monety?

Przeszukałem kieszenie i znalazłem tylko jakąś dwuzłotówkę.

– Skoro wiedziałeś, że będziemy potrzebowali monet, mogłeś zabrać je zanim tu weszliśmy – powiedziałem z wyrzutem. – Mam tylko jedną.

– Monety potrzebne są tutaj tylko raz. Na początku. I to ty powinieneś mieć je ze sobą. To, że masz tylko jedną, może trochę skomplikować sprawę, ale wezmę ją, a ty ruszaj przez most.

Miałem wrażenie, że w moim przewodniku zaszła jakaś dziwna przemiana, ale zrobiłem, co kazał. Niedługo potem odnalazł ciężką klapę, podobną do tej przy wieży i wydostaliśmy się na powierzchnię.

Znaleźliśmy się na jakimś placu, w głębi kompleksu fabrycznego. Szliśmy we mgle, zanim trafiliśmy w obręb czegoś, co wyglądało jak resztki ścian niewielkiego dworca kolejowego. Dało się z ich pozostałości wyczytać architekturę starszą, niż zrujnowana fabryka, której podziemia właśnie opuściliśmy.

Na jednej ze ścian wisiał obraz, który stał się dla mnie widoczny dopiero w świetle lampy. Całość utrzymana była w stylu przypominającym Bruegla. Składały się na niego sceny połączone ze sobą na tle wspólnego krajobrazu. Każda z nich opowiadała o czymś innym, a opowieść ta zdawała się nie mieć granic. Wciąż odsłaniała swoje dalsze i głębsze powiązania. Wreszcie łączyła się z kolejną opowieścią. Pragnąłem przeżyć je wszystkie. Wywoływały nostalgię, początkowo przyjemną, jednak zawsze wzbierającą do żalu i poczucia bezpowrotnej straty. Wędrowałem przez świat tego obrazu. Chciałem jednak zatrzymać się na chwilę i pokazać komuś życie, które przedstawiał. Choćby tylko mały jego fragment. Zamiast tego zrozumiałem, że nigdy nie spotkałem i nie spotkam nikogo, kto mógłby zobaczyć to, co ja widziałem. Wszystko zdarzyło się tylko raz i było przeznaczone tylko dla mnie.

Nie wiem jak długo tak stałem, pogrążony we wspomnieniach, ale nagle światło zgasło i zapanował półmrok.

Odwrociłem się gwałtownie. Mój przewodnik zniknął. Może był gdzieś w pobliżu, ale, nie czekając na niego, postanowiłem ruszyć jak najszybciej w drogę powrotną. Wkroczyłem we mgłę i po chwili dostrzegłem daleko przed sobą niebieską poświatę. Szedłem za nią, aż doprowadziła mnie do wjazdu. Na dole było zupełnie ciemno, ale w kieszeni odnalazłem zapalniczkę. Choć robiłem co mogłem, by nadążyć za odległym blaskiem, on cały czas się oddalał. Wolałem nie spoglądać w czarne otchłanie mijanych korytarzy. Gonila mnie jakaś panika, której nie pozwalałem do siebie dotrzeć, wciąż mając w polu widzenia słabnące światło. Przeskakiwałem studzienki i kanały, prześlizgiwałem się po drabinach. I nagle zniknęło. Nastąpiła cisza i ciemność. I trwały tak, razem, z przerażeniem, aż rozerwał je mój krzyk. Ten krzyk brzmiał długo i nie kończył się. A może tak mi się tylko wydawało, bo zapalniczka zgasła przecież tylko na chwilę.

Gdzieś w głębi kanału ponownie rozbłysło światło. Powoli zbliżało się w moją stronę, aż wreszcie ujrzałem znów niebieską lampę, kołyszącą się na dziobie jakiejś łodzi. W środku były dwie postacie. Rozpoznałem Latarnika, który stał wyprostowany, długim drągiem odpychając się od dna. Obok niego ktoś siedział, zasłaniając twarz białym kapturem. Dziwne, ale nie miałem ochoty pytać o nic i tylko patrzyłem. Kiedy mnie mijali, postać w kapturze uniosła głowę i zobaczyłem swoją twarz. Potem Latarnik skierował łódź w stronę przepaści, otwierającej się za jakimś bocznym kanałem, gdzie nie widać już było ani murów, ani wody i zdawało się, że ta drewniana łupina, niosąca dwie postacie, zawisła w bezmiarze ciemności. Z każdą chwilą stawała się jednak mniejsza i mniejsza, aż wreszcie zniknęła wraz z ostatnią plamką niebieskiego światła.

Razem z innymi popijam napój makowy. Oglądamy iskry opadające na dno popielnika. Zbierają się razem, podobne do kropel z wolno ciekącego kranu. A potem gasną spokojnie, jak moje wspomnienia. Czuję ciepło tego pieca. Płonie w nim coś, co kiedyś wzrastało i pragnęło.

Mieszając się z mrokiem, mgła zgęstniała już za oknami. Wsłuchałem się w ciche, zduszone pohukiwanie ognia. Były w nim odległe obrazy zupełnie już obcych miejsc i zdarzeń.



OPĘTANY Z ORNES

(wyróżnione opowiadanie *Opętanego* konkursu)

Łukasz Kuliński

Wy, którzy obraliście ścieżkę kapłaństwa, jesteście silni w Chrystusie.

Pamiętajcie o tym, gdy przyjdzie wam zmierzyć się z mocą Szatana. Przeciwno jego kłamstwom, wybiegom i podstępom macie jedną tarczę – wiarę – i jedną broń – słowo Pańskie.

Jeśli jednak spotkacie grzesznika, którego opanował zły duch, pamiętajcie, że oto stoi przed wami człowiek. Człowiek zniewolony, owszem. Lecz również człowiek słaby. Tarcza jego jest krucha i pękła pod wraźnymi ciosami. Nie ma miecza, którym mógłby porazić wroga, mizerny jest, wątki i przegrywa swoją walkę.

Musicie mu pomóc. Osłonić przed ciosami mocą waszej wiary, zaleczyć jego rany potęgą Boskiego miłosierdzia i przegnać kata i oprawcę, który go ciemieży.

Lecz jeśli chcecie to zrobić, musicie poznać słabości tego, który padł ofiarą opętania.

Szatan bowiem nie mieszka w człowieku. Aby mógł się tam pojawić, potrzebuje zaproszenia. Sam bowiem nie skruszy murów prawego serca. Musicie znaleźć otwartą bramę, przez którą wszedł i zapieczętować ją na nowo.

Jak to uczynić?

Bóg dał wam rozum. Kościół nauki. Ojciec Święty prerogatywy, a ja podyktowałem słowa Rytuału Rzymskiego. Czy znacie tekst na pamięć? Dobrze.

To wasze przewagi. Gdy staniecie przed opętanym, pierwszym z waszych obowiązków to ocenić, czy jest ów człowiek rzeczywiście ciemieżony mocą Szatańską. Być może stoicie przed nieszczęśnikiem, który postradał rozum? Uważajcie, gdyż pomyłka drogo was będzie kosztować.

Wypatrujcie znaków. Oto zniewolony złością i wstrętem reagować będzie na święte symbole i modlitwy. Przemówi językami, których nie zna. Lżyć będzie Boga, Święty Kościół Powszechny i wszelkie sakramenty wiary. Znajdzie w sobie nieludzką siłę, którą obróci przeciw wam, a ciało jego odporne stanie się na ból i krzywdę. Będzie wieszczyl i opowiadał o zdarzeniach minionych. Pamiętajcie jednak, że choćbyście usłyszeli rzeczy, o których wiedzieć nie powinien, gdyby nawet wyciągnął skrywane w waszych sercach grzechy, nie wolno wam mówić do niego inaczej niż słowami modlitwy. Bowiem narzędziem Diabła zawsze jest kłamstwo i zwiedzie was, gdy tylko dacie mu szansę. Do rytuału zaś przystępujcie, uprzednio dokonawszy spowiedzi.

Czyście zrozumieli? Zatem wysłuchajcie opowieści, którą mam do przekazania. Znajdziecie w niej wszystko to, o czym mówię i być może zrozumiecie.

Oto historia opętanego z Ornes.

Zdarzyło się to roku Pańskiego 1509, mroźnego i surowego stycznia. Przybyłem podówczas do Ornes z polecenia Jego Ekscelencji, biskupa Metz, Jana z Lucon. Doszły bowiem jego uszu niepokojące wieści, jakoby źle działo się w okolicach tamtejszego klasztoru. Chłopi donosili, że znajdują w lasach martwe zwierzęta, porażone dziwną chorobą, że na niebie krążą chmury rozwścieczonego ptactwa, a pogoda zmienia się w sposób niepokojący i nienaturalny. Wiatr niesie ze sobą dziwne, bezbożne odgłosy, potępieńcze jęki i słowa w językach niezrozumiałych dla ludzi.

Przybyłem tedy, w towarzystwie świeckiej eskorty, która bywa w takich przypadkach nieodzowna, aby przyjrzeć się sprawie i zaradzić jej w najlepszy możliwy sposób.

Pierw zatrzymałem się w pobliskiej wsi, aby wypytać tamtejszych ludzi o dziwy, których rzekome istnienie sprowadziło mnie w owe strony. Niewiele się jednak dowiedziałem ponad to, co już było mi wiadomym. Wieśniacy okazali się tchórzliwi i małowówni, niechętnie odpowiadali na pytania. Dopiero pod karą chłosty lub wręcz przymuszani zeznawali, że obawiają się złych mocy, które mogły nawiedzić ich ziemie. Pokazali mi martwe psy, powalone dziwną chorobą, która obsypała je czerwonymi wrzodami i rozděła ciała, tak iż się wydawało, że tłuste są i grube jak świnie. Mówili o głosach, które niesie wiatr, i złowieszco brzmiących słowach w językach, których nie potrafią nazwać. Tłumaczyli, że mowa ta zdaje się dochodzić jakoby z klasztoru, lecz gdy zdjęci strachem poszli do franciszkanów, ci nie odpowiedzieli na wołania – brama zatrzaśnięta była na głucho, z wewnątrz zaś nie dochodziły ich najmniejsze szmery. Tylko dzwon odzywał się co godzinę, co świadczyło o obecności braci i ich wyraźnemu życzeniu izolacji. Nie znalazłszy tam zatem odpowiedzi, posłali po kapłana z odleglejszych stron. Im dłużej jednak czekali na odzew ze strony Kościoła, tym bardziej przybierały na sile omeny, co utwierdziło ich w przekonaniu, że być może lepiej jest milczeć i nie ściągać na siebie złego losu.

Napomniałem tedy wieśniaków i nalawszy otuchy w bojaźliwe serca, udałem się do klasztoru.

Tak jak mi zapowiadano, gdy zaszedłem pod bramę, odpowiedziała mi wpierw cisza. Oto stałem przed murami Przybytku Bożego, strudzony i zmarznięty, a na me głośnie prośby o pomoc i opiekę w potrzebie nikt nie odpowiadał. W końcu jednak słowa ponaglenia zmusiły braciszków do odzewu na wołanie. Najpierw odsunęła się zasuw, przez którą przyjrzał mi się półślepy starzec. Wypytał o to, kim jestem i czego szukam w klasztorze. Dowiedziawszy się wszystkiego, zatrwożył się i zasunął zaślepkę, zostawiając mnie pełnego podejrzeń.

Czyż tak postępuje człowiek o czystym sumieniu?

Widocznie za wrotami zebrało się sporo osób, gdyż mimo niepogody słyszałem rozgorączkowane głosy i wrzącą dyskusję. Lub może to wiatr zdradziecko niósł echo, chcąc przekazać nie swoje tajemnice?

Wkrótce ponownie zobaczyłem owego starca, któregom widział przed chwilą, tym razem ukazał się jednak cały. Otworzył małe drzwi we wrotach i kłaniając się nisko, zaprosił do środka.

Tak znalazłem się w klasztorze.

Poprowadzono mnie do obszernej sali i zebrałi się wokół, w ciasnym kręgu, wszyscy bracia tegoż zakonu. W brązowych habitach, przepasani białymi sznurami na wzór Biedaczyny z Asyżu, patrzyli spojrzzeniami zmęczonymi i przestraszonymi. Szczególnie jeden

wydawał się wyjątkowo zatrwożony, trząśł się bowiem cały jak w febrze lub jak to zwykli czynić ludzie w podeszłym wieku, chociaż widziałem, że był młody.

Jeden z mnichów wystąpił i rozkładając ręce w szerokim geście, powitał mnie serdecznymi słowy. Usłużnie przeprosił za wszelkie niedogodności, których doświadczyłem, czekając przed bramą, i wyjaśnił, że spowodowane to było czasem żałobnego czuwania, gdyż niedawno umarł jeden z braciszków, młody Berengar, i zwyczajnie nikt nie słyszał mego wołania. Był to opat Benedykt.

Podziękowałem tedy i również kłaniając się nisko, wyjaśniłem ponownie, kim jestem. Rzekłem również surowym głosem, gdyż wiedziałem, że słyszą mnie teraz wszyscy braciszczowie, że przybyłem, aby zbadać niepokojące nowiny o nieczystych siłach nękających dolinę.

Musicie wiedzieć, że osoba moja budziła podówczas wielką trwogę w sercach ludzkich. Był to czas, kiedy wierni pamiętali jeszcze zgniliznę kacerstwa toczącą Europę, a wielu wciąż obawiało się surowej ręki i sprawiedliwego osądu papieskich śledczych, którzy z ową chorobą walczą.

Nie dziw zatem, że poniósł się pośród zgromadzenia szmer podnieconych głosów. Mimo groźnego spojrzenia opata oraz kilku innych braci pozostali ukradkiem wymieniali między sobą gorączkowe komentarze.

Spojrzałem na tego, który okazywał wcześniej oznaki szczególnego zdenerwowania. On również wpatrywał się we mnie i w tej krótkiej chwili dostrzegłem, że człowiek ten niesie na plecach krzyż zbyt ciężki, aby móc unieść go samodzielnie. Oczy jego zaszkliły się, zatrząśł się gwałtownie i dobywając z piersi przejmujący jęk, padł na kolana.

– *Domine Iesu Christe, Fili Dei, miserere mei, peccatoris* – zaszlochał głośno i rozplakał się zupełnie jak dziecko.

Nie czekając więc na wyjaśnienia opata, który złapał się za głowę i już spieszył ze słowami usprawiedliwienia, nakazałem mojej eskorcie, to jest czterem krzepkim i nieznanym innym cnót niż posłuszeństwo i żelazna dyscyplina mężom, aby odeskortowali młodego mnicha do jego celi. Kierowani słowami szlochającego, udaliśmy się do dormitoriów, które znajdowały się w zachodniej części zabudowań.

Gdy już znaleźliśmy się sami, odczekałem parę chwil, nim zacząłem przesłuchanie. Chłopak nie był tak młody, jak z początku sądziłem, mógł może nawet przekroczyć trzecią dekadę życia, wiek dla mężczyzny najlepszy, gdyż łączący jeszcze młodzieńczy wigor z doświadczeniem. Szybko podjął cichą modlitwę, przesuając między palcami korale różańca, co wyraźnie go uspokajało i przywracało do zdrowego stanu. Zapytany o imię

odpowiedział, że dołączając do Zakonu, przyjął patronat świętego Alpinusa i tak mam się doń zwracać.

– Widzę, synu, że niesiesz jakoweś brzemie, które ciąży ci na barkach zbyt mocno. Cóż jest przyczyną twego zdenerwowania? Pozwól mi ponieść z tobą ten krzyż.

Chłopak pokiwał głową na moje słowa i długo zbierał myśli. Czekałem jednak cierpliwie, widziałem bowiem, że nie mógł już doczekać się chwili, w której zrzuci z siebie zmartwienie i niechybnie dowiem się prawdy. Tak też się stało.

– Lepiej by było, ojcze inkwizytorze, gdyby się ten człowiek nigdy nie narodził.

– Któż taki? – pytałem.

– Opętany! – wykrzyknął i tak głęboko odetchnął, jakby dusił się przez całą wieczność, a oto ktoś pozwolił mu wreszcie zaczerpnąć powietrza.

Pytałem zatem dalej i dowiadywałem się wszystkiego. Wyjawiał mi więc, że oto przebywa w murach klasztoru brat imieniem Dominik, którego zniewoliły siły nieczyste. Zamknięty był w lochach i nikt prawie nie miał doń dostępu za wyjątkiem nieszczęsnego Alpinusa, którego to opat zobowiązał, by przynosić tamtemu posiłki, aby nie wyzionął ducha z głodu. Obowiązek ten okazał się jednak niezwykle przykry, gdyż za każdym razem więzień wykrzykiwał okrutne i bezbożne słowa, w których obrażał Tróję Świętą, wychwalał nieczyste i złe praktyki oraz dawał upust wszelkim nieprawościom swej duszy. Znał przy tym, jak twierdził mniszek, tajemnice, których żadnym sposobem znać nie powinien, opowiadał o występkach, których dopuścił się Alpinus, nawet o tych, którymi grzeszył jedynie w myślach.

– Czy on widzi moją duszę, ojcze? – pytał, płacząc.

Opowiadał, że więźniowi zdarzało się go atakować i pokazywał na dowód sińce i zadrapania, które tamten spowodował. Podobno zdarzało mu się oblać nieszczęsnego braciszka nieczystościami, próbował kusić go do otworzenia celi czy też pragnął spółkować z nim jak kobieta z mężczyzną. Przemawiał wieloma językami, spośród których Alpinus rozpoznał aramejski, grekę, łacinę, dialekty arabskie i inne, których nie potrafił nazwać. Ponadto, jak twierdził, dobywa się z jego ust kilka głosów na raz, tworząc w ten sposób przedziwną i przerażającą kakofonię bluźnierstw.

Czy mogłem mieć wątpliwości, że mam do czynienia z demonem, wobec takiego świadectwa?

Zakonnika pobłogosławiłem, a później odpuściłem mu grzechy. Wdzięczne to było zadanie, gdyż czułem sympatię do biedaka i szczerze współczułem trudnego zadania, jakie powierzył mu opat. Spotkałem się z Benedyktem chwilę później. Jeśli przy pierwszym

spotkaniu pragnął zataić istnienie Dominika, teraz przyznał się bez wahania. Ustaliliśmy przeto razem, że sprawę załatwić trzeba jak najprędzej, a niezbędnym do tego narzędziem będzie egzorcyzm. Posiadałem zarówno wiedzę, jak i niezbędne błogosławieństwa, aby podjąć się zadania. Rytuał zamierzałem rozpocząć o świcie, kiedy to diabelska moc jest najsłabsza. Przez noc modliłem się oraz oczyściłem duszę świętym sakramentem spowiedzi.

Skupcie się bracia, gdyż opowiem teraz o starciu z nieczystymi siłami. A było to tak.

Równy ze wschodem słońca zszedłem do lochów. Sam, gdyż jedynie Chrystus mógł być mi pomocny w tej walce. W jednej dłoni dzierżyłem pochodnię, lochy tak były bowiem zbudowane, że światło słońca nie docierało tam żadną drogą. W drugiej zaś Pismo Święte, gdyż jest to jedyna broń przeciwko demonom. Słowo żywego Pana – oto czym atakować bestię! Kluczem przekazanym mi przez opata otworzyłem celę i ujrzałem go.

Leżał nagi, rozciągnięty na ziemi. Ciało pokryte miał własnymi nieczystościami pomieszanymi z krwią wypływającą z licznych ran. Widocznie zadał je sobie sam, niepilnowany dostatecznie przez braci, nieskrępowany łańcuchami. Czy mnisi liczyli, że zada sobie śmierć, jeśli zostawią go samego dostatecznie długo i głusi będą na wrzaski? Widziałem wyrwane paznokcie oraz palce zdarte do krwi i częściowo połamane. Drapał bowiem ściany, dostrzegłem w świetle pochodni bezbożne znaki wyryte lub wymalowane krwią. Jedno oko miał wylupione, połowę twarzy pokrywała teraz mięsista bulwa opuchlizny i zakrzepniętej krwi. Zębami wyszarpał sobie na rękach kawały mięsa, tak iż się zdawało, że dopadła go jakaś bestia, która pożywiła się na ciele. Wił się po klepisku jak gad i syczał, gdy zbliżałem doń źródło światła.

Zacząłem się modlić.

– W imię Boga w Trójcy Świętej, Ojca, Syna i Ducha Świętego... – zacząłem, lecz natychmiast przerwałem, zaskoczony reakcją więźnia. Oto bowiem mężczyzna wstał gwałtownie na kolana, zupełnie jakby pchnięty od dołu jakąś siłą, która uniosła go jak lalkę. Wyrzucił ręce przed siebie i zakrzywił palce na wzór szponów. Wydawał się, w tej dziwnej pozie, podobny drapieżnemu ptakowi, lub, co od razu napełniło mnie wstrętem, Ukrzyżowanemu, gdyż tak jakoś twarz jego zdała mi się podobna, z powodu wyrazu cierpienia i bezbrzeżnej męki chyba, która się tam malowała. Stałem więc oniemiały i patrzyłem, nie wiedząc, co czynić dalej.

– Czemu przestałeś, Joachimie?

Głos jego był, choć zabrzmiał to dziwnie, lodowaty. Lecz to właśnie wtedy czułem, gdy przemówił, nazywając mnie mym własnym imieniem – przeraźliwy chłód, jak dotyk lodu na karku.

– W imię Boga w Trójcy Świętej, Ojca, Syna i Ducha Świętego, nakazuję ci, demonie, abys usłuchał tego, co mówię, gdyż nie ja przemawiam, a sam Pan, który cię stworzył, a który ma nad tobą władzę.

Zobaczyłem wtedy, że przyrodzenie Dominika uniosło się i nabrzmiało pod wpływem moich słów. Twarz jego przybrała zaś wyraz błogiej ekscytacji. Spojrzał na mnie i powiedział:

– Zerznij mnie, Joachimie. Zerznij mnie w imię Pańskie!

I zaczął śmiać się głośno, tak iż nie słyszałem już własnych słów, a tylko ten śmiech jak uderzenia młotów, jak tysiąc dzwonów bijących naraz tuż nad moją głową. I rozszalały się te dźwięki, rozdzwoniły w przeraźliwej kakofonii. Wypuściłem pochodnię z rąk, odrzuciłem Pismo Święte i zasłoniłem uszy, nie mogąc znieść zgiełku. Setki głosów przekrzykiwały się wzajemnie, wołały, ponaglały, a ja nie mogłem zrozumieć, o czym mówią.

Otworzyłem oczy.

Nie byłem już w celi. Oto biło w me oczy jasne światło słońca. Zamrugałem kilkukrotnie, aby pozbyć się kolorowych powidoków, przez które nie mogłem patrzeć. Zobaczyłem przed sobą tłum ludzi. Napierał ze wszystkich stron, wielkie zgrupowanie, głównie mężczyzn – młodych, starych i w sile wieku. Byliśmy w mieście. Moje nagie stopy grzały ciepły piasek, ściany budynków nagrzewały się od palących promieni z nieba. Ktoś złapał mnie pod łokieć i nie wiedzieć czemu zaczął prowadzić. Była to kobieta, ubrana jedynie w luźną tunikę, która odsłaniała jej piersi. Skórę miała ciemną, głos niski i tłumaczyła coś gorączkowo, przepychając nas przez ciżbę. Rozejrzałem się i przyjrzałem miastu. Zobaczyłem otoczone cieniem balkony, na których stali lub leżeli ludzie. Wszyscy oni spółkowali ze sobą, jedni spokojnie, ciesząc się wzajemną rozkoszą, drudzy gwałtownie i zwierzęco. Po równi dojrzali z młodymi, mężczyźni ze sobą i z kobietami, dzieci ze starcami oraz zbiorowo, tak iż nie mogłem odróżnić, które ciało do kogo należy, byli bowiem jak gniazdo splecionych węży.

Obróciłem się więc do towarzyszk i zapytałem, co jest przyczyną owego zgromadzenia i gdzie mnie prowadzi. Ta zaś odrzekła, że idziemy do domu Lota, gdyż podjął on dziś w gościnę dwóch młodzieńców niezwyklej urody i wszyscy pragną zażyć z nimi przyjemności.

Zacząłem więc energicznie przepychać się przez tłum, gdyż naszło mnie wielkie pragnienie, aby zobaczyć owych mężów, którzy śpią dziś w mieście.

A gdy zaszliśmy we właściwe miejsce, stanął przed nami starzec o siwych włosach i bardzo zatroskanej twarzy. Podniósł ręce i zapytał:

– Czemu przychodzicie do mego domu?

Ja zaś odrzekłem:

– Gdzie są ci mężowie, którzy przyszli do ciebie tej nocy? Wyprowadź ich do nas, abyśmy z nimi poиграли.

On zaś odpowiedział:

– Bracia moi, proszę, nie czyńcie nic złego! Oto mam dwie córki, które jeszcze nie poznały mężczyzn, wyprowadzę je do was, a wy czyńcie z nimi, co wam się podoba, tylko tym mężom nic nie czyńcie, bo weszli pod cień strzechy mojej.

Lecz ja odparłem:

– Idź precz! Jeden jedyny przybył tu jako przybysz, a teraz chce być sędzią. Postąpimy z tobą gorzej niż z nimi.

I w gniewie zacząłem postępować w stronę jego domu, chcąc dokonać gwałtu na Locie i posmakować owych młodzieńców. Wtedy jednak otwarły się drzwi i poraziła me oczy gwałtowna jasność, tak iż nie wiedziałem, gdzie jestem i co czynię. Błąkałem się przeto bez celu, uderzając ciałem o innych, tak samo jak ja oślepionych.

I dopiero po nie wiedzieć jak długim czasie złapały mnie krzepkie ramiona i wyprowadziły z ciemności. Spostrzegłem wtedy, że są to żołnierze z mej eskorty i że wyciągnęli mnie ze śmierdzącej celi Dominika.

Tej nocy nie udało mi się wypędzić Złego.

Lecz nie poddałem się. Przez cały następny dzień i noc pościłem, posilając się jedynie wodą, oraz ponownie wypowiadałem się z grzechów. Gdy zaś nastał ranek dnia trzeciego, raz jeszcze zszedłem do lochów, aby ponowić rytuał.

Tym razem Dominik klęczał. Ręce złożone miał do modlitwy i szlochał głośno, mieszając słowa skargi z wersami prośby o wstawiennictwo Pańskie. Zaś gdy mnie zobaczył, rzucił mi się do stóp i całując ziemię przede mną, błagał o rozgrzeszenie. Zaprawdę żałośnie wyglądał i godny był współczucia – nagi, śmierdzący i bezbronny, doświadczony trudami ponad swe wątłe siły. Gdy zaś zapytałem go, czym zgrzeszył, rozplakał się i rzekł:

– To on mnie uwiódł, on! Nigdy nie powinienem był go słuchać!

– O kim mówisz, synu? – zapytałem, a on podniósł do góry zmęczone spojrzenie. Potem zaś zgiął się wpół niczym wąż i w przyływie nagłej agresji skoczył i uderzył mnie w twarz.

Cios odebrał mi dech, powalił na ziemię i chyba straciłem przytomność.

Gdy zaś otworzyłem oczy, zobaczyłem nad sobą niebiosa, które płonęły ogniem.

Spadały z góry niczym piekielne rydwany, wrzące kule siarki. Spojrzałem i zrozumiałem, że uderzały w miasto. Walily się pod ich uderzeniami domy i pałace. Był tam

wielki tłum ludzi. Krzyczeli, gdy szalała między nimi pożoga. Stawali w płomieniach. Niosły się potępięcze wrzaski, błagania o litość, lecz żywioł nieczuły był na wołania. Patrzyłem ze zgrozą na ową scenę i bolały mnie oczy, gdy jaśniały na horyzoncie słupy ognia. Na szczytach owych wrzących kolumn stali zaś aniołowie o białych skrzydłach i jasnych twarzach. Ktoś wybiegł przez bramę i dysząc ciężko, uciekał przed wyrokiem. Lecz w trwodze obrócił się, by spojrzeć za siebie i natychmiast zamienił się w proch.

Zrozumiałem wtedy, że patrzę na Sodomę i Gomorę, i że oto sam Pan zniszczył owe miasta i cały okrąg i wszystkich mieszkańców owych miast oraz roślinność ziemi.

Obróciłem się więc spokojny, wiedząc, że patrzyłem na czyn sprawiedliwy. Wziąłem pod rękę córki moje, gdyż były ze mną, i powędrowaliśmy przed siebie. Gdy zaś szliśmy przez dzień i noc całą, zobaczyliśmy o poranku miasto Soar. Bałem się jednak wchodzić między mieszkańców tego miejsca, gdyż czułem, że spotkać nas tam może wielka krzywda. Zaszliśmy przeto w góry i schroniliśmy się w jaskini.

Gdy zaś byliśmy bezpieczni i zmierzch już zapadał na horyzoncie, córki naszykowały wieczerzę, a gdy posililiśmy się, podały mi wino. Wkrótce więc upoiłem się owym winem i ległem na plecach, czując, że opuszczają mnie siły w ciele. Gdy zaś leżałem, jedna z nich zdjęła ze mnie szatę i pochylając się, wzięła do ust mego członka. Natychmiast obudziły się we mnie siły męskie, a wtedy ona usiadła na mnie jak żona na mężu i przelałem nasienie w jej łono.

Tak oto zgrzeszyłem przeciwko Bogu.

Lecz przecież to tylko wizja! Ułuda! Czemuż dałem się zwieść Kłamcy?

– Kim jesteś, demonie, który zwodzisz mnie i mamisz? – krzyknąłem w uniesieniu.

Ponownie otworzyłem wtedy oczy i zobaczyłem, że stoję w celi Dominika. Ten zaś unosił się nad ziemią, wykrzywiony w łuk i patrząc na mnie pełnym cierpienia spojrzeniem, wykrztusił:

– Jam jest ten, który podjudzał do grzechu ludzi Sodomy. Jam jest ten, który szeptał córkom Lota. Jam jest grzech. Jam jest Pożądanie!

Gdy zaś wypowiedział te słowa, opadł na ziemię bez ducha. Opuściłem więc cuchnącą celę, gdyż byłem już wyczerpany i nie wiedziałem, czy zniosę więcej wizji.

Tego dnia również nie wypędziłem Złego.

Ponownie więc pościłem przez cały dzień i noc. A czwartego dnia zszedłem do lochów, aby zmierzyć się z demonem ostatni już raz.

Gdy tylko wszedłem, Dominik ryknął:

– Spójrz!

I uniosłem powieki, patrząc jego oczami. Była noc, stałem w celi. Przede mną klęczał młody mnich imieniem Alpinus. Ogarniała mnie rozkosz, gdy miarowo poruszałem biodrami. Czułem jednak równocześnie, jak rozpała się moje sumienie, jak wzbiera protest przeciwko grzechowi. Lecz mocniej paliły lędźwie. Chociaż chciałem – nie mogłem przestać.

Gdy czułem, że jestem już bliski końca, zobaczyłem twarz. Ktoś nas obserwował.

– Grzesznicy! – krzyknął Berengar i puścił się biegiem przez zimny korytarz.

Pobiegliśmy za nim. Boże, cóż uczyniliśmy? Jeśli tylko opat dowie się o naszym postępkach, stracimy wszystko. A nawet jeśli jakimś cudem ojciec Benedykt odpuści nam sodomie, jak patrzeć będą inni bracia? Umrzemy, będziemy niczym, jeno pogardzanymi lubieżnikami.

Wypadliśmy na centralne schody łączące zachodnie dormitoria z biblioteką i wschodnią kaplicą. Gdzie tamten? Biegł na górę, widzieliśmy jeszcze jego plecy i słyszeliśmy sandały uderzające o kamienne schody.

– Stój! – krzyknąłem.

Dopadłem Berengara i chwyciwszy go za skraj szaty, pociągnąłem silnie. Przewróciliśmy się obaj i stoczyliśmy kilka stopni w dół, walcząc zawzięcie. Uderzyłem go między żebra, tak iż się zwinął w kłębek, a później uniosłem na nogi i przycisnąłem mocno do ściany.

– Nie możesz nikomu o tym powiedzieć! – syknąłem, patrząc mu w oczy. – Przysięgnij, że będziesz milczał!

Lecz on jedynie spojrzął na mnie z pogardą i splunął mi w twarz.

Wtedy zrozumiałem, co czeka mnie w klasztorze, jeśli bracia dowiedzą się o wszystkim. Prędzej oddam duszę Diabłu, niż skazę się na życie pełne wstydu, w którym każdy traktować mnie będzie gorzej niż brudne zwierzę.

Złapałem więc silnie Berengara i patrząc mu w oczy, wypchnąłem za krawędź schodów. Krzyczał chyba przez wieczność, nim głuche łupnięcie oznajmiło koniec jego żywota.

– Co tu się dzieje, na Boga!? – opat patrzył na mnie przerażony. Jak długo tu był? Czy widział wszystko? Czułem, że uderza mi do głowy gorąco. Upadłem na kolana i złapałem się za skronie. Wtedy usłyszałem głos Alpinusa.

– Usłyszałem hałas, ojcie opacie i wybiegłem, aby sprawdzić, co się dzieje. Wtedy zobaczyłem... On go zamordował. Zamordował!

W taki sposób dowiedziałem się, jak Dominik zaprosił do siebie Szatana.

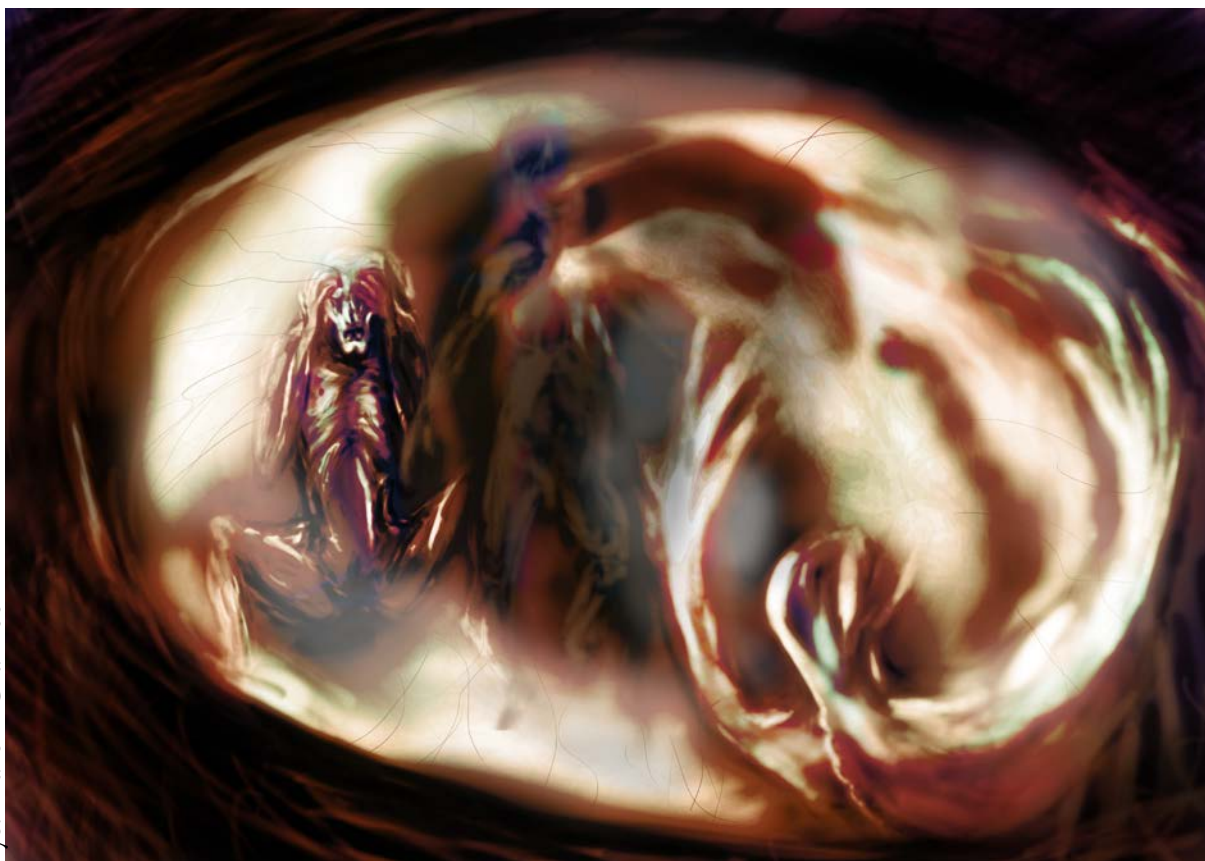
Kiedy odzyskałem własny wzrok, chciałem dokończyć egzorcyzm. Nie było już jednak sensu tego czynić, gdyż opętany mnich nie żył. Ciało jego było zimne, a oczy puste. Dokończył żywota w szponach nieczystych sił i prawdopodobnie skazał się na potępienie. Lub może udało mu się pod koniec przełamać niewolę, a ostatnia wizja była w istocie spowiedzią? Nie wiem tego, lecz modłę się każdego dnia w jego intencji.

Opuściłem klasztor tego samego dnia. Skoro bowiem opętany przestał być zmartwieniem, w taki czy inny sposób, nie było sensu mojej dalszej bytności w tym miejscu. Ustały złe omeny, które dręczyły tę ziemię, udało się przywrócić ją Bogu.

Co się zaś tyczy brata Alpinusa, wypowiadałem go z grzechów. Przyznał mi się do wszystkiego i szczerze żałował postępków. Opatowi oraz reszcie braci nie wspomniałem słowem o prawdziwej jego roli w całej sprawie. Miałem nadzieję, że wyjdzie z tego mocniejszy duchem i silniejszy w wierze, lecz niestety spotkał go inny koniec. Dowiedziałem się parę lat później, że odebrał sobie życie, rzucając się ze stromych schodów.

Oby Bóg miał go w opiece.

Dla was, egzorcystów, powinna wypływać z tej opowieści jedna nauka – człowiek jest ze swej natury słaby. Łatwo ulega grzechom i daje się wodzić na pokuszenie. Wzmacnia go jedynie łaska Chrystusa, który jest miłością i potęgą. Ufajcie jemu i tylko jemu powierzajcie wysiłki, a wyjdziecie zwycięscy z każdej walki przeciwko Szatanowi. Diabeł jest bowiem ledwie robakiem, który odwrócił się od Pana. Was – Pan umiłował.



PRZYPADEK ADAMA C.

Krzysztof T. Dąbrowski

PROLOG

Pierwsza strona, *Express Nowogrodzki*
27 czerwca, 2010.

ZAMORDOWANO STARUSZKĘ

W dniu wczorajszym nieznany sprawca zamordował 76-letnią Halinę C. Mimo że z mieszkania ofiary nic nie zginęło, jest jeszcze zbyt wcześnie, aby wykluczyć motyw rabunkowy. Policja wciąż zbiera materiały dowodowe. Sierżant Zenon Borczyk

z nowogrodzkiej Komendy Rejonowej Policji: „Sprawa jest rozwojowa. O postępach w śledztwie będziemy informować państwa na bieżąco”.

I – Zygmunt

Nazywam się Zygmunt. Jestem odmieńcem i mam problem – znowu nie mogę dostać się do toalety!

Ścisła mnie w kiszka jak jasna cholera. A tu oczywiście zamknięte! Jak zwykle!

Drapię drzwi, próbuję dosięgnąć klamki, ale nie jestem w stanie – jest za wysoko (nawet jak podskoczę).

Słyszę głucho dudniące tąpnięcia, jakby zbliżała się słonica w ciąży. To Halina – kobieta, która mnie dręczy.

– Zygmunt, przestań! Natychmiast! – chrypi jak pijak po trzech paczkach fajek i flaszcze spirytu.

Po głosie można poznać, że wnerwiona jest jak niedźwiedź z kolcem w tyłku. A gdy ona jest wnerwiona, to znaczy, że na tym osiedlu jest przynajmniej jedna emerytka, której lepiej nie podpadać. Odpuszczam sobie. Zostawiam drzwi w spokoju – gdybym nie przestał, to ani chybi, a dostałbym od niej manto.

Halina jest stara, ale mimo to dużo większa ode mnie. Większa i silniejsza. A na dodatek uzbrojona w pasek. Lubi karać – regularnie, z perwersyjną przyjemnością obija mi nim tyłek. A najgorsze jest to, że nie mogę zaprotestować.

Nie potrafię mówić.

Ów ubrany w kwiecistą podomkę babilon – kobita o rozmiarach trzydrzwiowej szafy pancernej – ma kręcone włosy. Farbuje je, na jakże typowy w swej geriatryczności, jasny fiolet. Cudaczne kudły z lubością oblepiają pulchną, wiecznie mokrą od potu twarz.

Nie wiem, czy Halina jest tak głupia, że nie dostrzega tego, kim jestem, czy taka złośliwa, że dostrzega i właśnie dlatego mnie upokarza? Chyba raczej to drugie, bo właśnie z uśmiechem na ustach (Z UŚMIECHEM!), zamiast otworzyć drzwi do toalety, otwiera te wyjściowe.

Skaranie boskie z tym babsztylem! To co, mam, za przeproszeniem, srać na dworze?!

– No! Zyguncie! Na co czekasz? – taksuje mnie wstrętnym maślanym wzrokiem.

Patrzę przez chwilę w jej świdrujące głupie oczka, ale widzę, że nie odpuści. Upokorzony spuszcza głowę i wybiegam na dwór.

Nie mam wyjścia – jakbym się postawił, to gotowa by była zrobić sobie podwiązki

z mych bebeczów (cóż, stara czasem jest po prostu nieobliczalna).

Co za wstyd! Co za wstyd! Co za upokorzenie! Znowu będę musiał kryć się po krzakach!

Nerwy mam zszarpane jak struny gitary jakiegoś punkowego szarpidruta. Ale cóż poradzić? Speszony wybiegam przed dom.

Rozglądam się uważnie, czy nie ma nikogo znajomego. Na szczęście jest pusto.

Szara ulica z powtykanymi w dziąsła Matki Ziemi szarymi domkami paskudnymi jak gnijące zęby olbrzyma. Gdzieniedzie łyse drzewa otoczone kruszejącymi ceglanymi murkami. Wszystko to pod niebem tak szarym jak szmata w spracowanych dłoniach sprzątaczk. I deszcz pada. Ciężkie, zimne krople wypełniając ubytki w chodnikowym szklwie tworzą pułapki na nieuważnych przechodniów. Nie dziwota, że tak pusto na ulicy. Typowa polska zimnica. Szarówka. Jedyne od czasu do czasu przejedzie jakiś samochód. I to wszystko.

Możliwe, że godzina jest taka, że wszyscy są akurat w pracy. Mogę się tylko tego domyślać – Halina nigdy nie daje mi korzystać z zegarka. A jak złamałem zakaz, to dostawałem manto. Przeszkadzało jej, że trzymałem w zębach, że trochę ośliniłem – ale przecież inaczej go wziąć nie mogłem, w końcu jestem kaleką!

Cóż, trzeba skorzystać z tego, że jest tak pusto. Biegnę ku najbliższym krzakom i zatrzymuję się tuż przy krawężniku. Jestem na bosaka, a przecież tam jest tyle psich kup...

Znowu przyjdzie mi lawirować po wilgotnym błotnistym trawniku – a raczej parodii trawnika, bo upstrzonego kupami blocka (tylko gdzieniedzie porośniętego lichymi kępkami trawy) trawnikiem nazwać nie można. Ale co się dziwić? Wszystko w tym kraju jest tylko parodią tego, czym być powinno: dziurawe ulice, obdrapane, zbohomaziałe sprejowymi obelgami mury, obszczone bramy kamienic i oczywiście dokumentnie obsrane przez psiarnię trawniki.

A teraz i ja będę musiał obsrać trawnik. ZNOWU!

No, ale przynajmniej mam na tyle przyzwoitości, że zrobię to w krzakach – tak, by nikt nic nie widział ani w nic nie wdepnął. Tyle tylko, że aby dostać się do tych cholernych krzaków... muszę pokonać (na bosaka!) pole minowe trawnika.

Zresztą, wymijanie widocznych gołym okiem kup to najmniejszy problem, najgorsza jest świadomość, że trawnikowa gleba to jedna wielka kupa. Przecież tu były tysiące, o ile nie

dziesiątki tysięcy kup, które rozmiękły (lub wyschły na wiór) i wniknęły w „ziemię”, po której przyjdzie mi za chwilę stąpać.

Jestem przy krawężniku i gotuję się do zrobienia pierwszego kroku w Zdziwiający Świat Odchodów. To najgorszy moment – w żołądku się kotłuje. Jedzenie prawie podchodzi do gardła – mam wrażenie, że zaraz będę rzygał. Pojawiają się myśli: Może jednak na chodnik? Albo chociaż, kucając przy krawężniku, wystawić zad nad trawnik i (uch!) po prostu to zrobić?

Nie! Muszę odgonić te myśli! Mimo pewnej odmienności jestem przecież człowiekiem i mam swą GODNOŚĆ! HONOR!

Wstrzymuję oddech. Zaciskam zęby. Stawiam pierwszy krok. Czuję, jak kończyzna zanurza się w wilgotną śliską breję, w „błoto”.

Przyspieszam, ale nie biegnę – oczywiście chcę mieć to wszystko jak najszybciej za sobą, ale wolałbym nie wdepnąć w żadną świeżo postawioną „minę”.

Kilkanaście sekund męczarni, ale dla mnie to jakby całe wieki (mam wrażenie, że złośliwiec Czas rozciągnął się jak ciągutka) i jestem w krzakach. Kucam w miejscu, gdzie mam pewność, że będę niewidoczny. Robię swoje i... chciałoby się powiedzieć „i podciągam spodnie”, ale niestety – Halina nie pozwala mi nosić spodni (ponoć na ODMIENCA! - żadne by nie pasowały).

Rozumiecie teraz, czemu tak bardzo krępiję się wyjść na ulicę – dlaczego to wszystko jest takie upokarzające?

Po wszystkim ruszam z powrotem. Ale los znowu robi mi na złość! Przyplątuje się do mnie pies: ogromna, włochata bestia z nieziemsko oślinionym pyskiem.

Próbuję wachać mi tyłek! Co za kundel!

Przyspieszam. Niepokoję się, że w coś wdepnę. Ale jeszcze większy lęk wzbudza plączący się za mną czworonóg rasy bardzo wielorasowej. Im szybciej się poruszam, tym mniej widzę. Niestety pies też przyspiesza i zapewne uznaje to za zaproszenie do zabawy, bo rzuca się na mnie i przygważdża cielskiem do ohydnej trawnikowej breji. Ślizgam się po niej brzuchem i modlę w duchu o to, by mój nowy „kolega” nie miał odmiennej orientacji seksualnej. Na szczęście w nieszczęściu okazuje się, że zwierzak jest hetero i chodzi mu tylko i wyłącznie o „zwykłą” zabawę. Próbuję wydostać się spod kilkudziesięciu kilogramów nowego „kolegi”, ale wszystkie kończyzny grzęzną mi w... brr, wolę nawet nie myśleć, w czym. Jestem uwięziony. Przyduszony.

Rozpaczliwie walczę o każdy oddech, haust... – miałem powiedzieć powietrza, ale to nie jest powietrze: gdy tylko zdołam zaczerpnąć tchu, do płuc dostanie się skwaśniały odór,

jaki dobywa się z pyska przemilego pieska o imieniu:

– Frędzel! – słyszę kobiecy głos.

Bogu niech będą dzięki! – Poczułem ulgę.

– Nie ma sprawy, stary! – odpowiada Stwórca.

Totalnie zaskoczony obracam głowę i widzę, że Stwórcą jest gadający przez komórkę, oddalający się dresiarz.

– Do nogi! Ale już! – Pani Frędzlowa jest już wręcz purpurowa na twarzy.

Frędzel zrywa się i pędzi do niej co tchu. Oczywiście podczas tego zrywu nie omieszkał zawadzić mnie pazurem – skaleczyła mnie menda jedna! Mam tylko nadzieję, że nie wyniknie z tego jakieś zakażenie...

Cały obolały z trudem podnoszę się i sprawdzam, czy nie umazałem się gdzieś jakąś psią kupą. Nie widzę ani śladu naturalnie przetworzonej karmy. Pokrywa mnie tylko „błoto”, czyli de facto wiadomo co – mamy więc obrzydliwy paradoks: nie widać na mnie żadnej kupy, a jednak poniekąd jestem nią ubrudzony...

Żołądek kamienieje. Chce mi się wymiotować. Utrudzony, krok po kroku, zmierzam w kierunku chodnika. Oczywiście, jak wrócę do domu, to na dokładkę dostanę manto. Za co? Za to, ŻE SIĘ UBABRAŁEM! Ale jest mi to teraz zupełnie obojętne – po stokroć wolę manto niż to ohydztwo na ciele! Wracam do domu. Do tej suki – Haliny.

II –Halina

Halina otwiera drzwi. Do mieszkania wpada Zygmunt. Od stóp do głów cały ubabrany w błocie! Brudzi świeżo wypastowaną podłogę!

– Do grobu mnie wpędzisz! – złorzeczy kobieta. – Skaranie boskie z tobą, ty niewdzięczniku, ty!

Czasami ma go serdecznie dość, ale z drugiej strony bardzo go kocha.

– Zygmunt! – krzyczy Halina, ale Zygmunt jak zwykle nie słucha... Zygmunt jest nieznośny. Potrafi zdrapywać farbę z drzwi do toalety albo dobrać się do lodówki (czasami mu się to udaje – wyjada wtedy co popadnie). I nawet zegarka po Michale (tragicznie zmarłym mężu) nie uszanuje!

Skaranie boskie! Zwariować można!

Halina rusza w głąb mieszkania. Błotniste ślady prowadzą wprost do kuchni. Kobieta otwiera drzwi i widzi siedzącego przy stole Zygmunta, który usiłuje... jeść jej obiad.

Zygmunt czasami ma humory. Dziwactwa. Jakie? Na przykład w jednej chwili

odmawia jedzenia tego, co mu nakłada (a dobra to strawa! Oj, dobra!) – miast tego żywo jest zainteresowany jej obiadem. A przecież specjalnie kupuje mu najdroższe (czyli najlepsze w jej mniemaniu) żarcie! I co? Gardzi nim! Woli jeść to, co ona. Ale, ale, to nie koniec – wystarczy dosłownie kilka minut i dla odmiany rzuca się na swoje jedzenie (które przecież przed chwilą obchodziło go tyle, co zeszłoroczna zima). Zjada tedy wszystko ze smakiem. A mlaska przy tym jak stary lubieżnik!

I gdzie tu logika? Złośliwość to, czy jaki kogel-mogel pod kopułą?

– Zygmun, zostaw! – krzyczy, łapiąc go za kark. – Zostaw to!

Na litość boską! Co ja z tobą mam! – myśli zrezygnowana Halina.

III – Adam C.

Czasami dzieją się rzeczy, których nie potrafimy w racjonalny sposób wytłumaczyć. Czasem trzeba tłamsić w sobie ponurą tajemnicę, bo w przeciwnym wypadku zostanie się uznanym za wariata.

Nazywam się Adam. Adam Celiński. Można by powiedzieć, że mam zaburzenia osobowości, ale to nieprawda. Wiem, wiem, tak gada każdy wariat, ale w moim przypadku jest to najprawdziwsza prawda. A nawet gdybym był świrem, to skąd można mieć pewność, że wariaci są naprawdę wariatami? Może zamknięci u czubków „Napoleonowie” naprawdę od czasu do czasu stają się Napoleonami.

Naukowcy stwierdzili, że ponoć we wszechświecie może być nawet dziesięć wymiarów. Może więc nasze biedne świrki tak naprawdę są ofiarami międzywymiarowych zaburzeń? Może jakieś zakrzywienia czasoprzestrzeni sprawiają, że oni naprawdę lądują w ciele Napoleona? Niemożliwe?

A może to prawda? W końcu na świecie aż za dużo jest rzeczy „niemożliwych”, których jednakowoż doświadcza zbyt wielu ludzi, aby jednoznacznie uznać, że są one... niemożliwe. Jakież przykłady? Proszę bardzo! UFO, śmierć kliniczna, duchy, nawiedzone miejsca, Trójkąt Bermudzki. Prawda, że całkiem sporo? A jest jeszcze więcej dziwnych rzeczy, które mógłbym wymieniać i wymieniać i wymieniać. Ale po co? Kto ma wierzyć, uwierzy i bez tego. Otóż moi drodzy, jeśli o mnie chodzi, to czasami...

JESTEM PSEM!

Gdy wracam do ludzkiej postaci, pamiętam, że wołano na mnie per Zygmunt i pamiętam, że będąc nim nie miałem świadomości, że tak naprawdę jestem Adamem Celińskim. Wtedy, gdy jestem psem, zawsze myślę, że jestem niejakim Zygmuntem:

człowiekiem od urodzenia uwięzionym w ciele psa! Przez to kaleką! I jeszcze pół biedy, gdybym był dobrze traktowany. Niestety to, co się tam dzieje, woła o pomstę do nieba. Uznałem, że nie chcę się tak dłużej męczyć – skoro od czasu do czasu jestem skazany na bytowanie w psim ciele, to niech ten pies ma chociaż dobre warunki. Niech będzie traktowany jak człowiek, a nie... smycze, kagańce, jakieś psie karmy i kości do obgryzania! Fuj, obrzydlistwo!

Uznałem, że trzeba odebrać Halinie Zygmunta, mnie znaczy się.

Pamiętam, że nie wiedziałem, od czego zacząć. Gdybym w chwilach, gdy jestem psem, pamiętał o tym, że tak naprawdę to jednak jestem Adamem, sprawdziłbym nazwę ulicy i numer domu. Zresztą, pal sześć numer domu, bo najwyżej przejdę całą ulicę i w końcu go rozpoznam, ale przydałaby się jakaś jej nazwa.

Byłem skazany na analizowanie przypadkowych psich wspomnień. Z czasem przypomniałem sobie trochę punktów rozpoznawczych: niedaleko domu było małe rondo, dom jest na obrzeżach miejsciny, bo dosłownie kilkaset metrów dalej zaczynają się pola i jest tablica z nazwą miasta.

Ha, dobra nasza, to w zupełności wystarczy!

Jest piątek. Bury jesienny dzień. Na dodatek leje jak z cebra. Nie zważając na niesprzyjające okoliczności, ruszam uwolnić Zygmunta. Nie mając jeszcze żadnego planu w głowie, wsiadam do samochodu i jadę. Po godzinie krążenia po drogach wylotowych w końcu trafiam na tę właściwą. Odnalezienie domu też nie nastrecza żadnych trudności – od razu go rozpoznaję.

Teraz pozostaje tylko czekać.

Mija godzina, a ja mam wrażenie, jakby co najmniej trzy. Powieki ciążą jakby były z betonu – pogoda mi nie sprzyja (jestem meteopatą). Siedzę jak ten głupek i wpatruję się w dom Haliny, a przecież równie dobrze może dopiero jutro rano wypuścić Zygmunta na dwór. I co? Mam się tak mordować? Mam zwracać na siebie uwagę podejrzliwych sąsiadów? Zasnąć ze zmęczenia i spędzić noc w coraz zimniejszym wnętrzu samochodu?

Nie, nie ma mowy!

Wysiadam na deszcz. Osłaniając głowę kurtką, przebiegam na drugą stronę ulicy i dzwonię do drzwi. Po chwili słyszę chrzęst przekręcanego zamka – najgorsze jest to, że nadal nie mam żadnego planu. W drzwiach pojawia się Halina. Jest wielka jak dinozaur i niemal tak samo wiekowa. Tusza sprawia, że jej ciało przy każdym ruchu trzęsie się jak galareta. Patrzy na mnie podkrążonymi oczyma i już widzę, że czeka mnie ciężka przeprawa.

– Dzień dobry – witam się i na chwilę milknę, nie wiedząc, co mam teraz mówić.

– A pan w jakiej sprawie? – przerywa milczenie, a w jej głosie pobrzmiewa ton: no-i-po-co-żeś-pan-tu-przylazł?

– Ja w sprawie pani psa. – Aż mnie skręca. Kobieta ma nieświeży oddech, zupełnie jakby najadła się zjełczanego masła.

– Zygmunta? Co pan chcesz od Zygmunta? – jest wyraźnie zaniepokojona.

Cóż robić? Opisać jej, jak wygląda mieszkanie? Powiedzieć, że wiem, jak bardzo ma podrapane drzwi do toalety? I o tym, jak dziwnie, jak na psa, zachowuje się Zygmunt? Tak, to chyba jedyny sposób.

– Bo wie pani, ja czasami jestem pani psem...

Widząc w jej oczach przerażenie, wiem już, że właśnie zostałem uznany za wariata. A jakże by inaczej – to, że w ułamku sekundy mój mózg dokonał analizy tych kilku faktów, nie oznacza automatycznie, że w przeciągu kolejnego ułamka sekundy wytłumaczę to tej zaskoczonej kobiecie. Wiedząc, że spaliłem sprawę, na wszelki wypadek chwytam drzwi – by nie zdążyła ich zatrzaskać.

Podejmuję też ostatnią, rozpaczliwą próbę wytłumaczenia sprawy:

– Ja wiem, jak to brzmi, ale...

Ale nie daje mi dokończyć. Usiłuje zamknąć drzwi. Widząc, że nie da rady, zaczyna krzyczeć. Nie mam pojęcia, co robić. Zdjęty paniką odruchowo pcham ją w głąb mieszkania (byle znaleźć się w środku, byle nikt jej nie usłyszał). Kobieta przewraca się, grube cielsko z głuchym łupnięciem pada na podłogę. Oszołomiony rozwojem wypadków, wślizguję się do środka i czym prędzej zamykam drzwi. Kobieta leży na podłodze. Nie rusza się.

Moje serce wali mocno jak w kuźni, po skroni spływa gęsty pot. Robi mi się słabo, więc opieram się o drzwi i na chwilę zamykam oczy. W końcu trochę mi przechodzi i zaczyna do mnie docierać to, co zrobiłem – napadłem na staruszkę! Niepokój zaciska się na żołądku przykrym zimnem. Kościane palce strachu drapią pazurami delikatne ścianki mego serca, pobudzając je do coraz szybszej pracy.

Kobieta nadal się nie rusza. Klękam i dopiero teraz zauważam, że obok jej głowy rośnie szkarłatna plama krwi.

Uświadomienie sobie faktu, że właśnie się kogoś zabiło, jest jak wbicie lodowatego szpikulca prosto w mózg. Wżyna się weń myśl tak zimna jak podłoga w kostnicy – oto stało się coś nieodwracalnego. Człowiek patrzy na ręce i nie może uwierzyć, że to one... że to ON nimi to zrobił! Oczy wytrzeszczone aż do bólu, gardło wyschnięte na wiór.

Jestem rozedrgany, trzęsę się jak galareta. Czuję zapach kulek na mole i starczego potu, ale mimo tego pochylam się coraz bardziej. Przyglądam się leżącej, mając nadzieję, że może jednak żyje. Niestety – kobieta nie żyje.

– Zatrzyj ślady! Uciekaj! – odzywa się zimny głos rozsądku. – Przecież jest stara. Uznają, że zasłała, upadła. Uznają, że to był wypadek. – Wewnętrzny głos przeraża mnie swym wyrachowaniem: zero uczuć, tylko czysta, chłodna kalkulacja!

Drżącą dłonią wyciągam z kieszeni paczkę chusteczek i z trudem jedną wydobywam.

– Będziesz musiał z tym żyć! – krzyczy sumienie. Ten głos aż kipi od emocji, wibruje płaczliwym rozedrganiem, wwierca się bolesnym uświadomieniem w mózg. Kując niechcianą obecnością, odbiera siły...

ZAMKNIJ SIĘ!

Powierzchniowo przecieram klatkę piersiową kobiety (jestem pewien, że to tu trafiły moje ręce, gdy ją popchnąłem. Gorzej z drzwiami – nie pamiętam, gdzie ich dotykałem).

– I tak cię złapią! Zawsze łapią takich jak ty! – Wewnętrzny pesymista uznał, że najwyższa pora, by wtrącić swoje trzy grosze.

Jak można nosić w sobie takiego zdrajcę? Kogoś, kto ani trochę w ciebie nie wierzy? Gorzej, rzuca ci kłody pod nogi.

KURRRRWA! CICHO BYĆ!

Zamykam oczy. Trochę pomogło – przerażenie przeszło w odrętwienie, jakbym dostał zastrzyk znieczulający sumienie i tylko jakiś złośliwy chochlik wciąż jak echo schrypniętym pełnym zadowolenia głosikiem powtarza w mej głowie:

– Zabiłeś! Zabiłeś! Zabiłeś!

Myśl jest natrętna jak wygłodzony komar, gdy wyczuje krew.

Skupiam się. Usiłuję sobie przypomnieć, odtworzyć wydarzenia. Przychodzi mi to z wielkim trudem, ale w końcu nic w przyrodzie nie gnie, a tym bardziej w mózgu – wielkim magazynie wspomnień.

Boję się, drżą mokre od potu ręce. Puf, puf, puf, serce łomocze. W gardle sucho jak na

pustyni. Ale wiem, że nie mam wyjścia. Nie mogę sobie pozwolić na trwonienie cennego czasu. Póki pada deszcz, muszę otworzyć drzwi i przetrzeć je nad klamką. Chwyając ją przez chusteczkę, delikatnie uchylam wrota Zygmuntowych piekieł.

Leje coraz bardziej; to już nawet nie deszcz – jest tak, jakby nad miastem powstał gigantyczny wodospad. Białe, biała ściana wody. Teraz, dla odmiany, pogoda mi sprzyja – dzięki temu na pewno nic nie widać.

Wychodzę na zewnątrz i wystawiając dłoń poza obręb zadaszenia, nawilżam chusteczkę. Pospiesznie przecieram newralgiczne miejsce, po czym szybko chowam się do domu.

W mieszkaniu jest wyjątkowo cicho – zupełnie jakby ten cholerny babsztyl był (BYŁ!) tu jedyną żywą istotą. Może pies jest teraz u weterynarza? Może zaniósł go na jakiś zabieg! Albo stwierdziła, że ma dość i zawiozła do schroniska?!

Serce znowu niespokojnie załomotało.

A może śpi bidulek?

Ruszam w głąb przesiąkniętego zapachami starości mieszkania. Muszę to sprawdzić. Otwieram pierwsze z brzegu drzwi i czuję niewymowną ulgę. Zygmunt (zapewne też meteopata) śpi sobie w najlepsze snem kamiennym – zwinięty w kłębek i nieświadomy tego, że właśnie zmienił właściciela.

– A może by mu tak skrócić kark? – lodowatym tonem odzywa się głos logiki. – Pomyśl, może byś się uwolnił?

Może i ma rację, ale nie słucham go. Nie wyobrażam sobie, jak zamknięte w mej głowie, zimne jej uczuciową martwością łono zrodzić mogło tak potworną myśl. Fakt, niechcący stałem się mordercą, ale to był wypadek! Tylko pieprzony wypadek!

Przecież nie chciałem tego, nie chciałem! Sytuacja wymknęła się spod kontroli i...

Świat zaczyna falować, rozmywać się. Czuję, jak po policzkach ściekają gorące strugi łez.

Nie mogę sobie na to pozwolić! Nie teraz!

Ocieram oczy i delikatnie chwytam psiaka. Jest tak zaspany, że nawet nie wie, co się dzieje. Czym prędzej idę z nim do wyjścia. Otwieram drzwi (oczywiście przez chusteczkę) i wybiegam na deszcz. Zygmunt zaczyna szczeleć i wcale mu się nie dziwię – nie ma to jak nagły zimny prysznic. Wskakujemy do samochodu – ja i moje zdeorientowane drugie JA.

Za jakieś piętnaście minut będę w domu. Zygmunt od teraz będzie miał nowe lepsze życie – zrobię mu osobne mieszkanie, tak przystosowane, bym w chwilach, gdy będę w jego ciele, mógł swobodnie zaspokajać wszystkie swe potrzeby. Poświęcę w tym celu duży pokój. Będzie tam mini lodówka. Będzie miniaturowy kibelek. Niewielki telewizor. Będzie dobrze!

EPILOG

Pierwsza strona, *Express Nowogrodzki*

3 lipca, 2010.

MORDERCA STARUSZKI UJĘTY

Policja ujęła mordercę Haliny C., okazał się nim 25-letni Adam C. Co ciekawe, podczas aresztowania mężczyzna szarpał się, krzycząc, że jest psem denatki. Jak powiedział nam rzecznik policji: „Mężczyzna znajduje się pod obserwacją w szpitalu psychiatrycznym. Jeśli okaże się, że tylko symulował chorobę umysłową, wkrótce usłyszy zarzuty”.



SZORTAL

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**

W VIDEOGRAF POLECA

Piotr Kulpa powrócił we wspaniałym stylu! T.T. zalewa falą smutku i mroku, w tle czają się obłąd i rozpacz. Jeśli trzymasz ją w ręce – nie masz odwrotu. Nie przerwiesz czytania, nie przestaniesz o niej myśleć. Witaj w świecie, który wcale nie jest dobry.

Beata Sokołowska, Okiem na Horror

Strona autorska



– *Lupka, nie ma... Słyszysz? Nie ma takiego potwora, którego nie można o z powrotem! Bo wszystkie potwory lęgną się w naszych głowach. Trzeba tylko wrócić, odszukać go, złapać za mordę i...*

Paweł Lupka, bohater nowej powieści Piotra Kulpy, to mężczyzna zdeorientowany kryzysem wieku średniego, uwikłany w sidła własnych pragnień, dręczony koszmarnym snem nie wiadomo skąd. Czy potwory, które go nawiedzają, są w istocie jedynie mieszkańcami jego głowy? A co, to my, ludzie, jesteśmy potworami zamieszkującymi wyobraźnię innych? Czy, jak w bajkach dla grzecznych dzieci, miłość pomoże przezwyciężyć zł? Wejść w świat Pawła Lupki. Zobaczysz, jak wiele miejsc was łączy, jak wiele macie wspólnych tajemnic, na ile wspólnych pytań znajdziecie odpowiedź. Kto wie, może właśnie Ty zrozumiesz, czym są i skąd wzięły się tajemnicze pojawiające się niespodziewanie w codzienności bohatera.



Piotr Kulpa – 50 lat, 58 kilogramów. Zgorzkniały, kwaśny na świat i ludzi. Pełen najgorszych przeczuc. Czekający. Autor trylogii grozy *Pan na Wisiołach*, która ukazała się w Wydawnictwie Videograf, oraz powieści dla dzieci – *Cięci* i *Bas*. Ostatnio światło dzienne ujrzał tom jego opowiadań (Biblioteczka Okolicy Strachu, 2017). Pisze też sztuki teatralne oraz wiersze, które wraz z Katarzyną Chmiel prezentują w ramach duetu Biuro Tłumaczeń. W salonie prowadzą salon kultury niezależnej – Kultura na boku.

Patronat medialny

OKIEH
SECRETUM.PL
BESTIARIUSZ
GROZOWNIA
ISBN 978-91-7883-917-2
Cena 34,90

Darmowy fragment
w formacie epub



www.videograf.pl

Kup online



rys. Barbara Komaniecka



TRZY SIOSTRY

Agnieszka Kwiatkowska

(Gość Specjalny)

1.

Śniłam o domu otoczonym sadem. Wyglądałam przez okno, dokoła rozciągał się sad. A dalej były pola, ugory, na których sterczały smętnie zatknięte w ziemię strachy na wróble. Samotne, bezużyteczne; poły ich rękawów łopotały na wietrze. Patrzyłam na to wszystko, gdyż lepiej było patrzeć na to, co miałam przed sobą, niż na to, co czaiło się za mną. To coś

było nienazwane, w rzeczy samej niegroźne, zatrważające tylko, gdy spojrzało mu się w twarz. Ale nie wiedziałam, czym jest owo „coś”, bo nie zdobyłam się na odwagę, by się odwrócić.

Obudziłam się zdyszana, spocona, z twarzą ukrytą w dłoniach. Dłuższą chwilę leżałam na boku, zwinięta w kłębek, oddychałam ciężko, a potem odsunęłam ręce, usiadłam i nagle prześlizgnęłam się z koszmaru sennego w prozaiczną do bólu jawę. Z podmuchów wiatru, przynoszących słodko-kwaśną woń jabłek i echo chrupotu zgryzanej skórki, przeskoczyłam do pokoju ze ścianami w delikatny wzorek tapety, przedpokoju zawałonego butami, łazienki z wiecznie suszącym się na sznurkach praniem. Z lustra patrzyła na mnie twarz, która nawet po prysznicu wyglądała... po prostu miła. Miła, miła, to określenie towarzyszyło mi od zawsze. Budziłam sympatię i zaufanie staruszek, pijaków i psów. Jedna z ciotek tak mnie raz podsumowała: „Baśka jest tak miła, że przejdzie przez życie spokojnie i bez ekscytacji. Takim dziewczynom jak ona nie przydarzają się większe wstrząsy, ale i nic specjalnie niezwykłego ich nie spotyka”.

Kochana ciotka strzeliła jak kulą w płot. Ale w końcu przeciętna pyza w okularach nie kojarzy się z żadnymi szaleństwami. Spojrzałam w okno, za którym dopiero wstawał świt. Ciężkie, grubo ciosane kontury bloków odcinały się od różowiejącego nieba. Gdy nastawiałam kafeterkę, zaczęło padać. Mimo zapalonego światła w kuchni panował mrok. Czekałam na kawę, skubiąc skórki przy kciuku i planując dzień. Co do godziny. Bez kalendarza. I wreszcie się udało, wszystkie elementy wskoczyły na swoje miejsce. Tyle że tuż po dziesiątej pojawiła się Elwira. Zadzwoniła do drzwi, a ja odruchowo otworzyłam. Zobaczyłam miłą, budzącą zaufanie twarz. Dlatego nie zatrzasnęłam drzwi, nie wróciłam do zaplanowanych zajęć. A ona weszła do środka krokiem królowej. Przedstawiła się, podała rękę i wybuchnęła potokiem słów, którego żadną miarą nie dało przerwać.

– Inaczej sobie panią wyobrażałam! Ale popytałam i pocztą pantoflową dowiedziałam się pani adresu! Boże, ile tu pięter! Winda się zepsuła i musiałam pieszo wejść na szóste! Przepraszam, nie przeszkadzam? Bo ja nawet nie dzwoniłam, ale pani Irenka mówiła, że pomogła pani jej ciotce. Pani Bożena, dobrze zapisałam?

– Barbara. Przepraszam, ale kto...?

– Jej! Nie wygląda pani na medium! To znaczy, myślałam, że jest pani starsza... – Nowo przybyła przyjrzała mi się taksująco. – No bo medium to się tak kojarzy, wie pani, z filmów. Pomoże mi pani? – Spojrzała na mnie błękitnymi oczami, a gdy nie odpowiedziałam, kontynuowała, niezrażona brakiem reakcji: – Bardzo proszę, to dla nas bardzo ważne. Chodzi o mojego tatę. On zaginął.

– To chyba bardziej sprawa dla policji? – odparłam, mając nadzieję, że zaraz splawię nieproszonego gościa, który przeszkodził mi w momencie, gdy zabierałam się za to, co miałam dziś zrobić.

– Sprawa zaginięcia sprzed dwudziestu lat? – parsknęła kobieta. – Policja nic nie zrobiła ani wtedy, ani teraz. Wiem, bo pytałam. Wyszedł z domu i nie wrócił, ot co. Ale ja uważam, że ciotki nie mówią mi wszystkiego. Nie wierzę, że zaczął nowe życie. Może ktoś go zabił? Dobrze pamiętam, jak wyszedł na spacer, w kaloszach, bo było po deszczu, a ziemia rozmiękła. Patrzyłam na niego przed okno, a on szedł sadem. Odwrócił się i pomachał do mnie. Miał zieloną, wojskową kurtkę. Zawsze tak chodził, przez sad w kierunku pól, aż pod las, a potem wracał.

Okno. Kwadrat framugi, za którym rozciągała się październikowa szarość – senne przedjesiennie drzewa owocowe, puste pola, szeroko ramienne strachy na wróble... Drgnęłam tak gwałtownie, że przybyła zamilkła i spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Miałam wrażenie, jakby ktoś chlusnął na mnie zimną wodą, przez co nagle przejrzałam na oczy. Poczułam nagły przypływ energii.

Potałam czoło. Dziwne. Dziwne to wszystko. Zupełnie niespodziewana wizyta, dziwny gość (dopiero teraz uświadomiłam sobie, że w tej kobiecie było coś dziwnego, czego nie umiałam jeszcze zdefiniować), opowieść jak z powieści sensacyjnej. Podobno nic nie dzieje się bez przyczyny. Ale to musiał być czysty przypadek, że zastukała do mnie akurat dzisiaj, teraz, i ten sad... Poczułam chłód na karku.

– Pomoże mi pani?

W korytarzu panował półmrok. Zorientowałam się, że nawet nie zapaliłam światła, przez co stałyśmy w rozmazującej kontury i odbierającej wyrazistość szarówce. Twarz kobiety zdawała się jasną plamą na tle drzewi.

Nie wiem, czemu się zgodziłam. Podobno nic nie dzieje się bez przyczyny... Wpuściłam gościa do dużego pokoju i nie, nie obiecałam niczego, po prostu usiadłyśmy przy stole i rozmawiałyśmy, choć w sumie był to bardziej monolog, bo Elwira chętnie wracała wspomnieniami do ojca. Opowieść o dawnym gospodarstwie sadowniczym, wspaniałym i troskliwym ojcu oraz oryginalnych ciotkach zajęła prawie cztery godziny. Zdałam sobie z tego sprawę dopiero, gdy gość wyszedł i spojrzałam na zegarek, bo wcześniej nawet nie sprawdziłam czasu. Rozejrzałam się. Za oknem znów szaro, zarysy budynków przy placu

Teatralnym rozmywały się w uporczywej mżawce.

Na stole było istne pobojuwisko – kubki po kawie i herbacie, długopisy, ołówki, notes, chusteczki higieniczne, kilka rachunków, które leżały na kupce, a teraz jakimś

dziwnym trafem rozpieprzyły się po całej serwecie. Paczka Sobranies, papierosów Elwiry, których zapomniała zabrać. Podniosłam opakowanie i obracając je w palcach, przyglądałam się eleganckiemu pudełeczku. To było właśnie to, co uderzyło mnie na wejściu, co nie pasowało w Elwirze, nie składało się w całość. Przyszła do mnie o dziesiątej rano, ubrana w elegancki kostium z dużymi guzikami, schludnie uczesana, ale na twarzy nie miała nawet odrobiny makijażu, co nadrobiła obłokiem wieczorowego Shalimara. Wrażenie dobrego gustu w kwestii stroju psuły buty – płaskie i toporne, jakby z innej bajki.

Dziwna osoba. To wszystko jakieś takie dziwne...

Za oknem zrobiło się ciemno. Zniknęły kontury sąsiednich budynków. Światła w oknach migotały obojętnie. Nadchodziła noc, upiorna pora. Zapaliłam papierosa, przesłam do sypialni. Tam usiadłam i przyglądałam się ustawionym w rzędzie buteleczkom Lorazepamu. Podobno nic nie dzieje się bez przyczyny. Czy to przypadek, że Elwira przyszła do mnie akurat w dniu, kiedy miałam się zabić?

2.

Nie wiem, jakim cudem się spóźniłam. Według wyliczeń miałam dotrzeć na miejsce koło południa, ale zmyliłam drogę i ostatecznie dojechałam do Słodkich Sadów tuż przed drugą. Elwira nie przesadzała, gdy mówiła, że gospodarstwo leży na uboczu. Jechałam między polami i z rzadka rozrzuconymi domkami, a z każdą chwilą miałam wrażenie coraz większej pustki, zwłaszcza że dzień był szary i mglisty. Światła domu Elwiry wynurzyły się z mgły niczym małe latarnie.

Wysiadłam z auta przed bramą. Powietrze było chłodne i czyste. Masując kręgosłup, rozejrzałam się dokoła. Nie widziałam jeszcze takiej mgły. Ta w Warszawie bywała zwykle szarawa, rzadka i jakby brudna. Niosła się ulicami i przysiadła na zarysach budynków. Tutaj jednak otaczały mnie mleczne kłęby. Długie pasma przypominające watę zwisały nieruchomo, nietknięte nawet podmuchem wiatru. Nie przedzierał się przez nie żaden dźwięk, a widoczność ograniczyła się nagle do kilku metrów.

W takiej wacie ktoś mógłby stanąć za moimi plecami i mnie dotknąć, przeleciało mi przez myśl. Błyskawicznie obróciłam się wokół własnej osi, czując, jak serce skacze mi do gardła, ale oczywiście nikogo tam nie było. Rozszalała wyobraźnia podsunęła natychmiast kolejne obrazy. W takiej mgle przechadzają się olbrzymy, a Fe-fi-fo-fum pochyla się z siekierą nad kołyską dziecka. Obróciłam się jeszcze raz i nagle stanęłam twarzą w twarz

z chudą, starszą kobietą o surowych rysach. Nie wiem, jakim cudem udało mi się nie wrzasnąć, stałam tylko i gapiłam się na nią.

– Piękna okolica, prawda? – odezwała się obojętnym tonem, bez śladu drwiny w głosie. – Zapraszam do środka. Samochód może pani zostawić w garażu.

Od razu wiedziałam, że to ciotka Franciszka. Elwira dobrze opisała obie swoje ciotcie. Franciszka miała być tą, która rządziła całym domem, a przy tym była obdarzona elegancją, manierami i wyniosłością brytyjskiej królowej. Czułam, że zapowiada się tu niezła przeprawa, zwłaszcza gdy zdjęłam płaszcz, a szare, chłodne oczy zlustrowały mnie od stóp do głów. Miałam wrażenie, że zaraz dostanę burę.

– Pani pokój jest już gotowy – powiedziała Franciszka z uprzedzającą grzecznością. – Pewnie chce się pani wykąpać i przebrać po podróży.

Spojrzałam w lustro, a zza szklanej tafli zerknęło na mnie odbicie otyłej, potarganej blondynki o czerwonej jak burak twarzy. Niech szlag trafi elegancką ciotunię i jej komentarz. Niby taki grzeczny, a jednak czułam, że wbiła mi szpilę. Wzięłam torbę z rzeczami i posapując, powlokłam się za Franciszką na górne piętro.

Pokój pogrążony był w półmroku. Znać, że powoli zbliżał się wieczór. O dziwo, gdzieś zniknęła mgła i przez okno widać było stalowoszare niebo bez jednej chmurki. Odłożyłam torbę, zbliżyłam się do okna, oparłam dłonie o parapet. Na zewnątrz rozciągał się świat prosto z mojego snu.

Zadrzałam. Patrzyłam na to, co widziałam w każdym śnie, tyle że pozbawione tej nieznanej, przerażającej obecności, przez którą od wielu, wielu lat nie mogłam przespać spokojnie jednej nocy. Zacisnęłam dłonie w pięści, czując napływ furii i pieczenie pod powiekami. Dwanaście lat śnienia ciągle jednego i tego samego koszmaru. Wiecznego niedospania, rozdrażnienia, spieprzonego życia i zrujnowanego zdrowia, bo trzydzieści kilo nadwagi nie wzięło się z powietrza, a z rozpaczliwego zajadania stresu. Potem już wszystko poleciało ciurkiem. A teraz jestem t u t a j. W samym środku zagadki do rozwiązania. Gdzieś w głębi mnie czała się ta dawna Baśka o bystrym i analitycznym umyśle. Tamta Baśka nie bała się wyzwania, obecna była jej cieniem.

Oderwałam się od parapetu z przeświadczeniem, że w tym dobrze znanym widoku jest coś, co się jednak nie zgadza, i powędrowałam w głąb pokoju. Miało się tu wrażenie pustki. Od białych, wysokich ścian biło chłodem. Jasne, proste meble nie dodawały przytulności, podobnie jak wąskie, pojedyncze łóżko. Podobno był to dawny pokój Elwiry – tak mi powiedziała ciotka Franciszka – ale nie było tu nawet śladu jej indywidualności, zupełnie

jakby nikt tu tak naprawdę nie mieszkał. Jakby ten pokój został naprędce sklecony, zapelniony na szybko wybranymi przypadkiem mebelkami.

Jedyną fajną rzeczą, która dawała wrażenie przytulności, był bujany fotel ze złożonym w kostkę kocem. Pod wpływem impulsu otworzyłam okno i usiadłam w fotelu, naciągając koc pod szyję. Chłodne powietrze złagodziło nieco rozpaloną twarz. Wdychałam zapach wilgotnej ziemi, wpatrując się w szare niebo. Czułam, że powieki stają się coraz cięższe. Zmęczenie dawało się we znaki, ale postanowiłam mu się nie poddawać – jeszcze nie teraz. Coś było nie tak w widoku z okna – jeden szczegół, który gdzieś mi wciąż umykał. Popatrzę więc jeszcze, a może rozwiązanie samo mi się nasunie.

I nagle przyszło olśnienie. Zerwałam się z fotela, podeszłam do okna i oparłam dłońe o parapet jak wcześniej, po czym ugięłam lekko kolana. Nisko, jeszcze niżej. Zatrzymałam się w momencie, w którym miałam parapet na wysokości piersi. Teraz patrzyłam na identyczny widok ze snu, z identycznej perspektywy.

Z mętlikiem w głowie wróciłam na fotel. Widok ze snu był widokiem z perspektywy dziecka, któremu parapet sięgał do piersi. I nie ja byłam tym dzieckiem, ponieważ nigdy wcześniej tu nie byłam. To był pokój Elwiry i to jej oczami widziałam sad, strachy na wróble, pola i ugory. Śniłam jej wspomnienia. Ale jak? Dlaczego akurat ja? Czemu ten sen powracał każdej nocy od kilkunastu lat? Co mnie w nim tak przerażało? Co czaiło się za moimi plecami? Dlaczego nie widziałam odchodzącego sadem mężczyzny, skoro to wspomnienie zachowała Elwira? Przymknęłam oczy, próbując opanować rozszalałe myśli – po czym zasnęłam.

3.

Obudziłam się zupełnie przytomna, zupełnie jakbym tylko na chwilę zamknęła oczy. Nie plątały mi się myśli, umysł miałam całkiem trzeźwy, bez śladów zaspania. Powoli uświadamiałam sobie, że po raz pierwszy od kilkunastu lat spałam bez żadnych snów. I bez koszmarów. Czułam się rześko i dziwnie lekko.

Dłuższą chwilę siedziałam w fotelu, przetrawiając tę nowość. Było to tak niespodziewane, że nie potrafiłam się nawet ucieszyć – chyba byłam w szoku. Powoli wstałam, rozprostowałam kości, rozmasowałam kręgosłup. Wszystko wydawało się wyraziste i klarowne, zupełnie jak wczesnym rankiem, kiedy w chłodzie poranka zmysły są bardziej wyostrzone, a zapachy intensywniejsze.

Za oknem wciąż szaro. A więc nie spałam długo, to musiała być naprawdę krótka drzemka, która jednak dużo mi dała. Nie wiedziałam, co odgoniło koszmary, ale zamierzałam się tego dowiedzieć. Jeśli odrzucić to, co logiczne i oparte na faktach, a pozostawić niewyjaśnione, to wciąż mogę dojść do rozwiązania, analizując. Nawet niewyjaśnione składa się z faktów. Dostałam zlecenie rozwiązania zagadki. Śniłam o tym domu, patrząc oczami Elwiry. To właśnie tutaj przestały mnie dręczyć koszmary. To się musiało ze sobą łączyć. Zaginięcie też. Dam radę! Nagle ogarnęło mnie przeczucie, że wreszcie jestem we właściwym miejscu i robię to, co powinnam.

Dom był ciepły i cichy. Poszłam się wykąpać, a potem, wciąż z mokrymi włosami, zesłam na dół, zgadując, że to tak toczy się życie towarzyskie domu. Prosto ze schodów trafiłam do dużej jadalni z aneksem kuchennym. Jedna ściana była zupełnie przeszklona, przez co miało się wrażenie... pustki, uświadomiłam sobie, patrząc na niknące w ciemności zarysy płotu i jabłoni w sadzie.

– Mój Boże! – Z krzesła o wysokim oparciu podniosła się starsza pani, której wcześniej nie zauważyłam, gdyż krzesło zwrócone było w kierunku szklanej ściany. To musiała być ciotka Matyllda, pulchna, okrągła i urocza, jak ją określiła Elwira. Ubrana była w czarną sukienkę z dużą broszą przy szyi i miała w sobie coś staromodnego. Kojarzyła się z wiktoriańską starszą panią, co było miłą odmianą po pierwszej poznanej ciotce.

– Dzień dobry – powiedziałam niepewnie, bo dopiero teraz dotarł do mnie sens słów Matylldy. Dziwne powitanie.

– Boże drogi, nareszcie pani wstała! Martwiłyśmy się! – Ciotka załamała rękę. Przysiadłam na najbliższym krześle, czując, jak nowo odzyskana pewność siebie zaczyna się kruszyć. Zza moich pleców dobiegło prychnięcie.

– Spojrzała pani na kalendarz? Spała pani prawie dobę – powiedziała oschle ciotka Franciszka, siadając obok mnie.

– Nie zdążyłyśmy pani obudzić, zanim...

– Matylldo – przerwała jej Franciszka tonem napomnienia. – Pani Barbara była zmęczona po podróży.

– Ale nie powinna spać! – uniosła się ciotka Matyllda. – Co się pani śniło? To bardzo ważne! Gdy się zasypia w nowym miejscu...

– Wtedy śni się sen proroczy – dokończyłam. Ze strony ciotki Franciszki doleciało mnie kolejne prychnięcie. Co za baba. – Nic mi się nie śniło. Totalnie nic.

– Nic! A więc miał rację! – Starsza pani wyglądała na przerażoną. Poczułam irytację z powodu tego zamieszania o nic, a zaraz potem przypomniałam sobie, że przecież sama przez lata śniłam jeden i ten sam sen...

– Kto miał rację? – spytałam.

– To bez znaczenia – odezwała się Franciszka. A ponieważ wbiłam w nią wzrok, uściśliła: – Nasza rodzina zawsze była przesadna. Sporą wagę przywiązywano w niej do snów i ich znaczenia. Ale my się tym nie zajmujemy.

Wstała i zaczęła krzątać się przy kuchni. Zatańczył płomień na palniku, zagwizdał czajnik, zabulgotała kafeteria. Ciotka Matylda wpatrywała się w okno, pełna zadumy. Na stole pojawiły się kubki, filiżanka, cukiernica. Pstryknęła zapalniczka. Ciotka Franciszka zaciągnęła się dymem i westchnęła.

– Proszę więc pytać – odezwała się. – Obawiam się jednak, że nie mamy wiele do powiedzenia. Nic ponad to, co lata temu mówiłyśmy policji i co wie Elwira. Jurek wyszedł z domu wieczorem. Wcześniej zjadł obiad, szukał czegoś na pawlaczu, och, nie wiem, co tam jeszcze robił. Ale nie zachowywał się jakoś inaczej.

– Nie wiedzą panie, czy miał jakieś kłopoty? – spytałam.

– Policja już o to pytała – odparła chłodno ciotka Franciszka. – Zdaje się, że Elwira wynajęła panią jako medium?

– Tak, ale...

– Oficjalne stanowisko jest takie, że mój brat wyszedł z domu z własnej woli i nie wrócił – przerwała mi Franciszka. – Jeśli jest pani medium, powinna pani chyba wczuwać się w atmosferę domu?

Miałam ochotę coś powiedzieć, ale ugryzłam się w język.

– Moim zdaniem to nic nie da – odezwała się lekliwie ciotka Matylda. – Lepiej niech pani już sobie jedzie. Prawda, Franiu? – zwróciła się do siostry. – Prawda, że tak można?

– Teraz już chyba nie – prychnęła Franciszka. – Nie wszystko da się upilnować.

– Możemy spróbować...

– Tak, jak przestaniemy w ogóle spać – warknęła Franciszka i nagle jakby się zorientowała, że siedzę obok i wszystkiego słucham. – Mówimy o tym, że tylko traci pani tu czas. Jurek zapewne od lat ma już inne życie, a Elwira musi się kiedyś pogodzić z tym, co ją spotkało.

Doznałam wrażenia, że ciotka mówi tu o dwóch zupełnie różnych rzeczach. Wiedziałam, że skoro nie chce mówić, to mi niczego nie powie. Musiałam jednak spytać o coś, co cały czas przewijało się w tej rozmowie.

– O co chodzi z tymi snami? Niech mi pani powie – zwróciłam się bezpośrednio do Matyldy. – Co znaczy, że uda się coś upilnować, jak przestaniecie spać? I co to za przesady rodzinne, w które podobno wierzycie?

Oczy starszej pani zrobiły się ogromne. Pochyliła się i chwyciła mnie za rękę, kościste palce ścisnęły mnie niczym suche szpony.

– Zna pani tę wyliczankę, o starym niedźwiedziu, który mocno śpi? – Jej głos stał się chrapliwy, jakby miała trudności z oddychaniem. – Pierwsza godzina, niedźwiedź śpi. Druga godzina, niedźwiedź chrapie. Trzecia godzina, niedźwiedź łapie. Każde dziecko to zna, ale czy wie pani, że w każdej wyliczance jest ziarno prawdy?

Miałam ochotę wyrwać się z uścisku; dotyk dłoni starszej pani stał się dziwnie niezręczny. Nie podejrzewałam jej o taką siłę w palcach.

– Nie wierzymy w pierwszy, proroczy sen na nowym miejscu – mówiła dalej ciotka. Jak ona mocno mnie ścisnęła! – U nas liczba trzy jest tą właściwą. Trzy siostry i trzy godziny. Pierwsza godzina to pierwszy sen. Wtedy śpi niedźwiedź, więc nic się nie śni. Pani się nie śniło. Drugi sen to chrapiący niedźwiedź, czyli ostrzeżenie. Ono się przyśni dziś w nocy. A trzeci niedźwiedź to ten, co łapie.

– Czyli co? – spytałam, wbrew sobie czując, jak robi mi się zimno. Ciotka Matylda nagle jakby oprzytomniała. Potrząsnęła głową i rozluźniła uścisk. Spojrzałam na swoje przedramię. Na skórze czerwieniły się plamy po palcach.

– Wyrok! – odparła lekko zdziwionym tonem, sugerującym, że przecież to powinno być oczywiste.

– No to chyba panią nastraszyłyśmy – odezwała się kpiącym tonem ciotka Franciszka. Nagle wydała mi się ostoją normalności w porównaniu z szalonym bełkotem swojej siostry. – Może zaparzę ziółek?

Ciotka Matylda bez słowa opuściła jadalnię. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej i rozstrojonej. Bezwiednie sięgnęłam po herbatę.

– I po co to wszystko? – spytałam cicho. – Przyjechałam tu na prośbę Elwiry. Nie chcę się wtrącać ani przeszkadzać, chciałam tylko dowiedzieć się, co stało się z jej tatą. – Nagle ogarnęła mnie złość. – Pytałam tylko o parę rzeczy. Wiem, że nie jestem tu mile widziana, ale naprawdę trzeba straszyć mnie jak małe dziecko?

– Cóż, chciała pani prawdy...

– A nie steku bzdur!

–... więc ją pani usłyszała – dokończyła ciotka Franciszka i spojrzała na mnie takim wzrokiem, że nie powiedziałam więcej ani słowa. Gdzieś w głowie rozbrzmiała dziecięca

melodyjka. Fe-fi-fo-fum pochyła się nad kołyską dziecka, we mgle słycać kroki gigantów, a grupka dzieci wyśpiewuje skrzekliwymi głosami:

Pierwsza godzina – niedźwiedź śpi.

Druga godzina – niedźwiedź chrapie.

Trzecia godzina – niedźwiedź łapie!

4.

Obudziłam się w środku nocy – nie, nie wiedziałam, która jest godzina, ale tej ciemności i ciszy uspionego domu nie dało się pomylić z żadną inną porą – tak samo jak poprzednio. Po prostu otworzyłam oczy i przytomnie patrzyłam przed siebie. Na wprost nosa miałam kojarzącą się ze szpitalnym pokojem białą ścianę.

Coś mnie jednak obudziło.

Nie był to żaden hałas. Nie był to krzyk. Dom znajdował się w stanie absolutnego rozleniwienia i dałabym sobie rękę uciąć, że jego mieszkanki spały, niepomne niepokoju, jaki na stałe zagnieździł się w tych murach. Wsłuchiwałam się w odgłosy nocy, ale dobiegało mnie jedynie tykanie zegara. Zegar i mój własny oddech, cichy, choć z wielokrotnionym niczym echo, ponieważ to był drugi oddech symultaniczny z moim, ale obcy, obcy, i rozlegał się tuż za moimi plecami, po drugiej stronie łóżka, spod kołdry, którą i ja byłam przykryta.

Zdrętwiałam, zacisnęłam zęby, przestałam oddychać – cisza! – i powoli wypuściłam z płuc powietrze. Druga para płuc zawtórowała mi, chrapliwie, tuż przy moim uchu.

O Jezu Chryste.

Nie wiem do dziś, jakim cudem nie umarłam ze strachu, nie zaczęłam wrzeszczeć, nie uciekłam. Panika, jaka mnie wtedy ogarnęła, jest nie do opisanania, ale wiem jedno – sparaliżowała mnie totalnie. Po raz pierwszy w życiu posikałam się ze strachu, bo rozszalała wyobraźnia podsuwała kolejne obrazy. Fe-fi-fo-fum (głupie dziecięce bajki!), zimna łapa chwytająca śpiącego za gardło, wysuszony trup, w którym rozpoznajesz samego siebie. Coś obcego leży w twoim łóżku, za plecami, a ty nie możesz się odwrócić, bo wtedy zobaczysz, co to takiego. Może nawet dostrzeżesz, że coś jeszcze wsuwa się do pokoju przez uchylone drzwi, coś, co obserwuje śpiących i czeka na ich przebudzenie.

– Kim jesteś? – wychrypiałam.

Oddech na moment ustał, jakby c o ś zastanawiało się, co powiedzieć. A potem znów się pojawił, tym razem przyspieszony.

Ech-ech-ech–ECH-ech-ech!

Im dłużej leżałam tak bez ruchu, tym bardziej się uspokajałam. Nie wiem, ile czasu upłynęło, nim odważyłam się lekko zmienić pozycję. Wyprostowałam prawą rękę i natychmiast zarejestrowałam przyspieszony oddech obok. To c o ś najwyraźniej się zaniepokoiło. Mruczając „spokojnie, nic ci nie zrobię”, bardzo powoli odwracałam się z lewego boku na plecy. Nieznany oddech to przyspieszał, to zwalniał, ale dało się wyczuć, że jest zaniepokojony. *Nie myśl o tym, że lada chwila może ci się wgryźć w gardło...*

I wreszcie leżałam na plecach.

Patrzyłam prosto w sufit. A po prawej – nie poruszałam gałkami, ale widziałam kątem oka – miałam wysoki, ciemny kształt. Wiedziałam już, czemu było mi tak chłodno. To c o ś znajdowało się pod moją kołdrą, ogromne, wysokie, górowało nade mną i czekało, aż stanę z nim twarzą w twarz.

– Nie bój się – wyszeptałam, wyciągając rękę. – Nie bój się. Chcę ci pomóc.

Drżące palce chwyciły kołdrę. Dobiegający spod niej oddech stał się niemal oszalały, a ja pomyślałam o tym, co może mnie tam czekać – Fe-fi-fo-fum, ostre kły wgryzające się w tkanekę twarzy, niech się wysypią kosteczki z dziecięcej kołyski! – i jednym ruchem zerwałam kołdrę. A ona tam stała, wysoka i chuda, patrzyła na mnie, aż w końcu martwe szczęki rozwarły się i wydobył się z nich krzyk mordowanej.

5.

– Okłamałyście mnie. Wy, kurwa, i Elwirę okłamałyście! – Nie panowałam nad sobą. W zasikanej piżamie stałam w pokoju Franciszki i darłam się nad nią. – Ja ją widziałam! Tu nie chodzi, kurwa, o żadnego ojca!

– O niego też chodzi. – W cichy głosie Franciszki brzmiała rezygnacja. – Ale i o nią. Masz rację, Elwira nie wie o wszystkim.

Stałam przed nią i się trzęsłam. Ze złości i ze strachu. A ona wyszła z łóżka, narzuciła podomkę i objęła mnie ramieniem. Miałam ochotę ją uderzyć, a jednocześnie w jej dotyku było coś kojącego. Po raz pierwszy ta oschła, sztywna Franciszka nie sprawiała wrażenia eleganckiego robota.

Poszłyśmy do kuchni. Tam usiadłyśmy przy długim stole z widokiem na skąpany w nocy ogród. Franciszka nie bawiła się w kawę czy herbatę. Nalała nam obu po drinku, wyciągnęła papierosy. Nie musiałam jej o nic pytać, bo sama zaczęła mówić.

– My naprawdę nie wiemy, gdzie się podział Jurek – powiedziała. – Biedna Elwira ciągle się o niego dopytywała, a co myśmy jej miały mówić? Biedulkę ciągle porzucano. Matka odeszła z jakimś człowiekiem, gdy Elwira była malutka. W ogóle jej nie pamiętała. Ustaliłyśmy wersję, która zresztą była prawdziwa, że Jurek wyszedł z domu i nie wrócił. Bo to prawda. – Dopiero teraz dostrzegłam, jak bardzo pomarszczoną ma twarz. – Zgłosiliśmy zaginięcie, policja go szukała, nie było żadnych śladów.

– Wyszedł z domu i poszedł na spacer sadem – zaczęłam.

– Nie wiadomo, w którym kierunku poszedł.

– Elwira pamięta, że szedł sadem. Patrzyła przez okno, a on...

– Nie może niczego pamiętać – przerwała ciotka Franciszka. – Jeszcze nie chodziła, gdy Jurek zniknął.

– Ale...

– To jest właśnie problem z Elwirą – westchnęła starsza pani. – Coś mówi, a ty nie wiesz, czy kłamie, czy coś jej się wydaje. Tak, jak to bywa zawsze, gdy pojawiają się trzy siostry. – Znów westchnęła i paliła w milczeniu. Jej dłonie drżały, jak gdyby walczyła z jakąś trudną decyzją. – Wierzysz w to, co niewyjaśnione? W duchy, demony, powracających zmarłych? Co ja gadam – roześmiała się. – Jesteś przecież medium.

– Nie jestem – wyrwało mi się.

Franciszka zmarszczyła brwi.

– Przecież Elwira...

– Pomyliła się – powiedziałam. Nie było już sensu ukrywać prawdy. – Zastukała do mnie i zanim miałam okazję coś wyjaśnić, powiedziała mi, z jaką sprawą przychodzi. Wzięła mnie za medium, a ja... Ona pomyliła piętra. Miała jechać na szóste, ale winda nie działała i się pomyliła, bo weszła na piąte.

– Ach tak – powiedziała ciotka Franciszka. – Pomyliła się...

– Ja cały czas śniłam o tym sadzie. O widoku z okna. Jak mi powiedziała, że jej ojciec zaginał, i że tu jest sad, od razu pomyślałam, że to dziwne. Taki zbieg okoliczności? Akurat gdy... – urwałam. Jednak nie ze wszystkiego chciałam się tłumaczyć. – A jak tu przyjechałam, to poznałam ten sad. Ja o nim śniłam, oczami Elwiry.

– Trzecia siostra – wyjaśniła cicho Franciszka. – Znów trzecia siostra. Wiedziałyśmy, że to się powtórzy. Od lat wiedziałyśmy.

– Zaraz, jaka siostra? Czyja? – Nie zrozumiałam, ale już po chwili potrząsnęłam głową. – O nie, nie, żadnych takich historii. Nie jestem niczyją siostrą. Moi rodzice żyją i wiem, że nie...

– Jurek zniknął i nie dał znaku życia – szepnęła ciotka Franciszka. – Może...

– Żadne może – przerwałam. – Przecież bym go rozpoznała na zdjęciach. Elwira mi je pokazywała...

Tu głos uwiązał mi w gardle. Ciotka Franciszka przyglądała mi się uważnie. Była bystra; jej myśli natomiast pobiegły właściwym torem.

– Irenka? Tak ma na imię twoja mama? – spytała.

Bezwiednie pokiwałam głową. Sięgnęłam po papierosa, zastanawiając się, jak to możliwe, że po tylu wrażeniach z ostatnich godzin i dwóch przeżytych dopiero co szokach jestem taka spokojna. Spojrzałam na swoje dłonie. Trzęsły się jak w malignie. Dopiero za którymś razem udało mi się przypalić.

– No cóż. – Franciszka pstryknęła zapalniczką. – Chyba nie ma co nad tym dywagować. Mamy ważniejszy problem do rozwiązania.

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Mówiła tak spokojnie, jakby miała zaraz zaproponować filiżankę dobrej herbatki na nerwy.

– Tak, wiem, że będziesz miała sporo do przegadania z matką, ale skup się na tym, kto cię odwiedził w nocy.

Poczułam zimny powiew na plecach. Odwróciłam się, ale nikogo za mną nie było, a ja wolałam się za długo nie wpatrywać w ciemność.

– Jest w naszej rodzinie podanie, przekazywane z pokolenia na pokolenie – zaczęła Franciszka, bawiąc się zapalniczką. – Taka historia, w którą młodzi ludzie nie wierzą, ale uważają ją za fajną opowieść z dreszczykiem. Podobno powtarzała się kilkakrotnie na przestrzeni wieków, a schemat zawsze był ten sam. Trzy siostry, z których jedna była potulna, druga kłamliwa, a trzecia znała czary.

Wsluchiwałam się w słowa starszej pani i niczego tak nie żałowałam, jak przyjazdu tutaj. Wpakowałam się w kłopoty na własne życzenie. Mogłam powiedzieć, że to piąte piętro, nie szóste. Mogłam zamknąć drzwi. Mogłam... śnić dalej swe koszmary? Połknąć sto pigulek i zakończyć życie bez walki? Życie, którym kiedyś umiałam się cieszyć?

– W osiemnastym wieku po raz pierwszy spisano tę historię wraz z instrukcją – kontynuowała ciotka. – Przodek dziewczynek miał trzy córki i twierdził, że po raz kolejny powtarza się to samo. Jedna córka od małego była podporą rodziców, na słowie drugiej nie można było polegać, a wokół trzeciej działy się dziwne rzeczy. Mściwa była i zła dziewczyna.

Udał się więc prapradziadek do miejscowej szeptuchy, a ta mu doradziła, aby... – Ciotce głos uwiązał w gardle. Gdy kontynuowała, sprawiała wrażenie, jakby miała się

rozpłakać. – Podobno każda z sióstr bierze siłę od dwóch pozostałych, więc trzeba było zrobić to samo z każdą. Nie wiem, czemu właśnie tak...

– Co zrobili tamtym dziewczynom? – przerwałam.

– Obcięto im stopy – odpowiedziała głucho ciotka.

Upuściłam papierosa.

– Nie pytaj mnie, bo nie wiem, jaki jest w tym sens. Nie głowa, nie ręka czy kolek osikowy, ale właśnie stopy.

– I to znaczy... to się dzieje teraz?

– Gdy matka dziewczynek odeszła, Elwira była niemowlęciem. Jej siostra miała dopiero cztery latka – kontynuowała Franciszka. – Od tamtej pory Jurek nie był już sobą.

Ciągle czegoś wypatrywał, nasłuchiwał... Często przyłapywałam go w sadzie, na granicy, tam gdzie płot, jak stał i wsłuchiwał się w szum wiatru. Pytałam go, co u licha wyprawia. Zawsze wtedy uśmiechał się tak dziwnie...

– Czekał na trzecią siostrę – wyszeptałam. – Wiedział, że może się pojawić, bo jego żona nie umarła...

– Któregoś dnia – Franciszka jakby mnie nie słyszała – wrócił do domu taki spokojny. Nie uśmiechnięty, ale właśnie spokojny. Coś mnie wtedy tknęło. Mówiłam o tym Matyldzie, ale ona tylko się oburzyła, że Jurek jest taki jak zwykle... Była jego ukochaną siostrą, wprawdzie o wiele starszą, ale jednak. Zawsze go broniła. Poszłam go szukać, a on wyszedł właśnie z pokoju Tereski. Tej starszej – dodała. – Zdjął mnie strach, wpadłam tam, ale Terenia bawiła się wesoło razem z Elwirą i Matyldą. Patrzyłam przez okno, jak Jurek odchodzi. Szedł w ciemność, aż w końcu zniknął.

– Czyli ojciec obciął własnej córce stopy? – spytałam z niedowierzaniem. – Tereska, którą widziałam w nocy...

– Przyszła cię ostrzec, biedactwo, ale daremny to trud – potrząsnęła głową ciotka Franciszka. – Tak, Jurek obciął jej stopy, a myśmy nie upilnowały dziecka. Sypiałyśmy wprawdzie na zmianę w pokojach dziewczynek, ale tej nocy przysnęłam. Obudził mnie przeraźliwy krzyk. Zapaliłam światło, wszystko było we krwi...

Mogłam sobie wyobrazić, co przez te wszystkie lata czuła ciotka Franciszka. Sama przecież doświadczyłam spotkania z Tereską, kilkulatką z obciętymi stopami, która przez ułamek sekundy, gdy patrzyła na mnie i krzyczała przeraźliwie, przekazała mi swój strach i cierpienie. A teraz kolej na Elwirę i na mnie...

– To dlatego Elwira tu nie mieszka? – zapytałam. – Aby ją uchronić przed tym, co...

– Uchronić? – Franciszka zamruwała. – Gdybym miała pojęcie wcześniej, że to ten dom jest miejscem kaźni, to bym ją odesłała za ocean i dopilnowała, aby nigdy tu nie wracała. Ale Matylda wiedziała więcej od Jurka, a nie pisnęła ani słówka, dopiero po Elwirze z płaczem przyznała, że Jurek mówił jej o szczegółach.

Poczułam, że coś podchodzi mi do gardła.

– Jak to po Elwirze? – spytałam słabym głosem.

– To nie wiedziałaś? Nie powiedziała ci? – Ciotka potrząsnęła głową. – Znow jej nie upilnowałam...

A przecież widziałam, że coś tam nie gra, Dziwne, brzydkie i toporne buty Elwiry, niepasujące do jej eleganckiego stroju. I ten dziwny chód, powolny, bez gracji, jakby lekko powłóczyła nogami.

– O wielu rzeczach ci pewnie nie powiedziała. Coś tam zataiła, coś przeinaczyła, coś jej się wydawało. Dziwne też, że szukając medium, trafiła akurat na ciebie. Może i pomyliła piętra? Nie wiem. Kłamliwa siostra – stwierdziła ciotka i wzdrygnęła się. – Brr, jak chłodno.

Czujesz to? Gdzie ja zostawiłam szal?

A więc nie przywidziało mi się, gdy czułam, że coś ciągnie mi po plecach. Franciszka poszła do pokoju przynieść sobie jakieś okrycie, a ja zaparzyłam kawę. Druga godzina – niedźwiedź chrapie. Drugi sen – ostrzeżenie od Tereski. Trzeci sen będzie już wyrokiem. Przeniosłam wzrok z parujących kubków na swoje stopy. Pulchne, z niepomalowanymi paznokciami, i dwie grube łydki wyłaniające się spod czarnej, luźnej pizamy. Nie pójdę jak owca na rzeź. Nie dam sobie obciąć stóp.

Usiadłam po turecku na krześle, gdyż od podłogi ciągnęło. Gdzieś musiało być otwarte okno, bo przysięgłabym, że dolatuje mnie zapach wilgotnej ziemi. Skoro kłamliwą siostrą była Elwira, to czy ja jestem tą potulną, czy może jednak...?

– Nie ma Matyldy. – Ciotka Franciszka wróciła z czarnym, grubym szalem na ramionach. Była lekko zadyszana, wionęło od niej wilgocią. – Zajrzałam do niej, myślałam, że śpi. Łóżko jest rozgrzebane. Też mi pora na spacer. Idiotka!

Mówiła z irytacją, ale przez złość przebijało w jej głosie coś jeszcze, co dało się łatwo wychwycić. Lęk.

– Boisz się, ale nie o Matyldę – powiedziałam cicho. Franciszka znieruchomiała z papierosem w palcach. – Matylda była ukochaną siostrą Jurka, która wiedziała więcej od ciebie. Umyślnie poszłaś jej szukać.

Cisza.

– Jesteś zadyszana i pachniesz ziemią. Szukałaś jej w sadzie?

– Nie wiem, czemu wyszła – odezwała się Franciszka. – Nie pamiętam, co było, kiedy to się stało z Tereską... ale potem, gdy Elwira... ja czuwałam przy niej cały czas, nie spuszczałam jej z oka. Nawet Matyldzie nie pozwoliłam... o Boże.

Czekałam, aż się uspokoi. Dystans między nami nie pozwalał mi jej dotknąć czy przytulić, i faktycznie, po kilku minutach Franciszka doszła do siebie. Otarła nos i znów była niemal tak oficjalna jak zawsze.

– Ale chyba nie szukamy teraz Matyldy – zasugerowałam. – Sama wróci. Jeśli ją dobrze zrozumiałam, to był drugi z moich trzech snów.

– Nie wiem, na ile to prawda – przyznała Franciszka. – Noc przed tą nocą, kiedy... – zawiesiła głos – Elwira obudziła się ze strasznym krzykiem, ale nie wiedziała, co jej się śniło.

A kolejnej nocy było straszne zamieszanie. Krew, krzyki, pogotowie, policja. Sąsiedzi patrzący na nas ze strachem. Zleciała się cała okolica. To było rok po Teresce. Nie wiem, jak Jurek się tu dostał. Wszystko było pozamykane. Ja tego pilnowałam. Policja mówiła, że drzwi do piwnicy nie były dobrze zamknięte...

– Widziałaś wtedy kogoś? – zapytałam.

Już wtedy miałam pewne przecucie. Ciotka Franciszka potrząsnęła głową. Gdyby widziała, toby przecież powiedziała. Elwira z kolei była za malutka, aby pamiętać ze szczegółami, co się wtedy stało.

– Co teraz?

Ciotka Franciszka wydawała się zupełnie bezradna. Zupełnie jakby straciła całą wolę walki; zdawało się, że nagle postarzała się o dziesięć lat. Co teraz? Dobre pytanie. A skąd mam to wiedzieć?

– Myślisz, że jestem tą potulną siostrą? – spytałam.

– Potulną? Szkoda, że się nie widziałaś, jak tu przyjechałaś – prychnęła Franciszka. – Minę miałaś daleką od potulności. Zresztą czy potulnym dziewczynom zdarzają się takie rzeczy? Potulne siedzą w domu i nie ryzykują. Tereska, ona to była taka spokojna i grzeczna.

A ty powinnaś umieć więcej, niż ci się wydaje.

Czyli mam działać na instynkt? Wsłuchać się w swój wewnętrzny głos? Ogarnął mnie pusty śmiech. Zagryzłam wargi, nerwowo upiłam kawy i spojrzałam na pogrążony w nocy sad. No właśnie. Sad. Punkt wspólny tych wszystkich wydarzeń. Jurek zniknął w sadzie. W domu pachnie wilgotną ziemią jak w grobowcu. Sad pojawiał się w moim śnie i w wyobrażeniach Elwiry. I głowę bym dała, że tam też poszła na nocną przechadzkę ciotka Matylda.

– Mamy jedną dobę – powiedziałam. – Do kolejnego snu. Myślę, że tyle wytrzymam. Zdamy coś wymyślić.

– Wiesz już, co robić? – Franciszka z hukiem odstawiła kubek.

– Coś mi się po głowie kołacze – odparłam. – Spójrz! – Wskazałam palcem przezszkloną ścianę. W ciemnościach coś się poruszało, a po chwili ujrzałyśmy skurczoną postać ciotki Matyldy. Franciszka wzięła głęboki oddech.

– Co do...?

– Nie wiem. Jeszcze nie wiem. Ale coś mi przyszło do głowy. – Popatrzyłam ponuro za znikającą za rogiem domu sylwetką starszej pani. – Powiem ci jutro, a na razie do wiadomości Matyldy jest tyle, że miałam koszmar, obudziłam cały dom, a teraz próbuję się uspokoić. Pogadamy, jak będzie okazja. Boże, jakie jutro, już jest dzisiaj. Masz jakiś termos? Potrzebna mi kawa, aby przypadkiem nie zasnąć.

6.

Ciotka Matylda nalała zupy. Aromatyczny, gęsty krupnik pachniał niebiańsko, ale przełykałam go z grzeczności. Franciszka naprzeciwno mnie również jadła bez entuzjazmu. Matylda popatrywała to na nią, to na mnie.

Po obiedzie poszłam na spacer do sadu. Otworzyłam furtkę łączącą podwórko z sadem i znalazłam się między szpalerem jabłonek. Nade mną czerwieniało niebo. Ruszyłam przed siebie, czując na plecach wzrok ciotki Franciszki. A po chwili i Matyldy. Patrzyły na mnie przez okno kuchenne. Zaraz, skąd ja to wiem? Odwróciłam się i faktycznie ujrzałam dwie kobiece postacie w oknie.

Czując gulę w gardle, szłam dalej. Wiedziałam, kto na mnie patrzy, nawet bez sprawdzania. Wyglądało na to, że moje zdolności zaczęły się ujawniać. Sny, potem wizja Tereski. A teraz kolejna umiejętność. Zadrzałam, poprawiłam szalik, przyspieszyłam tempa. Wkrótce doszłam do krańca sadu, tam, gdzie zaczynało się pole. To tutaj Franciszka spotykała Jurka. Wytężyłam wzrok, ale jak okiem sięgnąć panował spokój. Pola, strachy na wróble, w oddali las. Zapach ziemi, jesienna wilgoć w powietrzu.

Wracałam, gdy już ciemniało. Stałam przy płocie nie dłużej niż kwadrans, ale to wystarczyło, aby nieco zmarznąć. Poza tym o tej porze szybko zapada zmrok. Tym razem jednak wracało mi się inaczej. Zrazu nie wiedziałam, co mi tu nie pasuje, ale wsłuchawszy się w odgłos swoich kroków zrozumiałam, że to ten dziwny chrzęst pod stopami. Gdy szłam

w kierunku płotu, szłam praktycznie bezgłośnie, a teraz przy każdym kroku słyszałam ten dźwięk. Coraz wyraźniejszy, jakby zwielokrotniony.

Mimo chłodu zaczęłam się pocić. Chrup-chrup. Chrup-chrup. Przymknęłam oczy, ale nie przyspieszyłam kroku, miałam bowiem wrażenie, że im szybciej idę, tym głośniejszy jest ów dźwięk. Starłam się nie patrzeć pod nogi – nie chciałam wiedzieć, po czym stąпам (a przecież wiedziałam, tej bieli nie dałoby się pomylić z niczym innym). Gdy wreszcie dotarłam do furtki, byłam cała mokra. Skrzyp zamka, dwa kroki i już byłam na trawniku.

Chrzęst ustał. Odwróciłam się. Za mną ciągnął się szpaler drzew, nad nimi wisiał księżyc.

– Czemu tak długo? Martwiłam się! – Ciotka Franciszka czekała na mnie przed domem. Spojrzałam na zegarek. Nie było mnie prawie dwie godziny! Nie wiem, czemu tak straciłam poczucie czasu.

– Ja też – odparłam. – I nie wiem, czy to tylko moja wyobraźnia, czy przecucia, czy prawda, ale coś mi się wydaje, że trzeba będzie przekopać sad.

– Przekopać? Ale dlaczego?

– Bo szłam dziś po ludzkich szczątkach – powiedziałam, wzdrygając się na wspomnienie chrupotu białych kości, które spoczywały pod ziemią. – One są karmą dla sadu, a on zatruwa wszystko. Te drzewa emanują złem.

7.

– Dobranoc – powiedziałam, wstając od stołu. Dochodziła jedenasta, siedziałyśmy we trzy przy kuchennym stole. Ciotka Matylda wyjęła truskawkowe wino, ale podziękowałam. Dziś musiałam być trzeźwa.

Nie przekręcałam klucza w zamku. Jeśli moja teoria była właściwa, to nie z tej strony nadejdzie zagrożenie. Oczywiście przygotowałam się i na taką ewentualność. Pod poduszką miałam ostry kuchenny nóż.

Zgasiałam światło i wsunęłam się pod kołdrę. Sen jak na złość nie nadchodził. Wpatrywałam się szeroko otwartymi oczami w czarny prostokąt okna, a serce tłukło się jak oszalałe. W końcu zdecydowałam się pomóc szczęściu. Przymknęłam oczy i zaczęłam medytować. Nabrałam tej umiejętności, gdy próbowałam radzić sobie z koszmarami jeszcze za pomocą łagodnych specyfików. Na złe sny nie pomogło, ale nauczyłam się wyciszać, kontrolować napływ złych myśli, łagodzić różne bóle. Byłam w stanie wprowadzić się w lekki trans, który wyciszyłby mnie i sprowadzić szybki sen.

I rzeczywiście, wkrótce poczułam, że ciało się rozluźnia, a myśli płyną coraz wolniej. Oczyszczony umysł spowalniał obroty, aż wreszcie odpłynęłam. Ciało zwiotczało, oddech stał się regularny.

Spałam.

Leżałam nieruchomo, świadoma tego, że nie jestem na jawie. Staralam się nie poruszyć ręką czy nogą, tak aby wchodzący napastnik myślał, że śpię. Księżyc zerkał przez okno. Była pełnia. W realnym świecie chyba dopiero pierwsza kwadra? Najwyraźniej sny rządzą się swoimi prawami. Grunt, że pokój był dobrze oświetlony. Srebrzyste smugi pełzły po ścianach i znikwały gdzieś w kącie koło drzwi.

Nie wiem, jak długo tak leżałam. Miałam wrażenie, że wtapiam się w łóżko – ogarnęła mnie pokusa, aby się przekręcić na bok, zmienić pozycję, bo nigdy nie lubiłam leżeć na plecach – ale nie mogłam ryzykować przerwania snu. Ten byłam w stanie kontrolować, ale co stałoby się, gdybym wpadła z jednego snu w drugi? Poza tym nie wolno mi było stracić z oczu drzwi. Nie usłyszałabym skrzypnięcia, gdy się otworzą, w końcu to jest tylko sen, a nie wyśniesz dźwięków. Nie mogę o tym zapominać. Wpatrywałam się więc w klamkę w skupieniu. Nagle dostrzegłam delikatny ruch. Klamka poruszyła się, w górę i w dół. A potem drzwi lekko się uchyliły. Miałam wrażenie, że do środka wtargnęła ciemność.

Omam nie spanikowałam. Nie przyszło mi do głowy, że to, co mnie zaatakuje, będzie niematerialne. Ale już po chwili wiedziałam, że zbyt szybko się wystraszyłam. Ciemność, która wpłynęła do pokoju, była tylko emanacją zła. W niej szedł człowiek. Wolno zbliżał się do łóżka, bezgłośnie, bezszelestnie, a powietrze wokół nieco stawało się coraz gęstsze.

Dzięki Bogu za księżyc. W jego świetle powoli materializowała się sylwetka mężczyzny. Nawet nie drgnęłam, jedynie mocniej zacisnęłam palce dłoni ukrytej pod poduszką. Intruz stał nade mną, ale wciąż był zbyt daleko, aby go dosięgnąć. W dłoniach trzymał coś, co odbijało światło księżyca. Nie widziałam dokładnie, bo nie mogłam przecież otworzyć oczu. Czekanie przedłużało się, a ja już myślałam, że intruz jednak odejdzie, ale w końcu się zdecydował. Pochylił się i jedną ręką zdarł ze mnie koldrę. Błyskawicznie podniósł prawą dłoń, w której błysnął ogromny sierp. Nie miałam czasu do stracenia.

Wyrwałam dłoń spod poduszki, dłoń, w której trzymałam kuchenny nóż. Jednym płynnym ruchem przejechałam ostrzem po gardle intruza. Ten zastygł w bezruchu, zabulgotał, a ja przed jedną krótką chwilę myślałam, że to wszystko na nic. Że skoro to tylko sen, nie obowiązują prawidła fizyki i świata na jawie. Że za chwilę roześmieje mi się w twarz i dokończy dzieła, obcinając stopy trzeciej siostrze. Ale wtedy bestia upuściła sierp i osunęła się na ziemię, padając na chodnik koło łóżka. Nie przeżyła. Nie miała szans tego przeżyć. A ja

nie byłam w stanie dłużej tkwić w tym upiornym śnie. Odrzuciłam więc nóż, zacisnęłam powieki i świadomie wyprowadziłam się ze snu, przeskakując do świata bezpiecznej już jawy.

8.

– Niczego nie widziałam – powiedziała rozdygotana Franciszka. – A przecież nie spałam. Nawet na moment nie spuściłam cię z oka.

– Nie mogłaś niczego widzieć – odparłam, dziwnie spokojna. Patrzyłam na swoje stopy i czułam, że je bardzo kocham. W końcu tyle walki o nie stoczyłam! – To wszystko rozgrywało się we śnie. Takim dziwnym śnie.

– To dlatego nie widziałam Jurka... – szepnęła Franciszka.

Milczałam ze wzrokiem wciąż wbitym w swoje stopy. Teraz, gdy już się obudziłam, wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce. Białe kości w sadzie wołały do mnie nie po to, aby mnie wystraszyć.

– Nie mogłaś go widzieć – powiedziałam wolno – bo on nie żyje. Obie zasugerowałyśmy się rodzinną legendą i tym, że według niej to ojciec powinien obcinać stopy córkom. Jurek wychodził do sadu, aby tam wsłuchiwać się w odgłos wiatru i czekać na sygnał. On wiedział, że pojawiła się trzecia siostra. Ale legenda to jedno, a to, co zamierzał, albo raczej czego nie zamierzał zrobić Jurek, to drugie.

– Co ty mówisz? – Franciszka potrząsała głową. – Przecież to zawsze mężczyzna... ojciec...

– Ten akurat nie zamierzał wypełnić rodzinnej powinności. Był jednak ktoś, kto traktował tę legendę jako świętość i wpadł w gniew, gdy Jurek odmówił poddania się tradycji. Podejrzewam zresztą, że nie on pierwszy. Sad rośnie na kościach. Tam jest pełno szczątków. Zła siła, złe przywiązanie do tradycji popchnęły niejednego do morderstwa. Trzeba będzie przekopać sad. Przykro mi. Wiem, co się tu będzie działo.

– Dziękuję – odparła cicho Franciszka. – Biedna Matylda. To straszne, co zrobiła, ale to musiało być coś, co ją opętało. Ona była dobrym człowiekiem. To prawda, że wiedziała sporo o tej legendzie...

– Moc sadu ciągle rośnie – wyjaśniłam. – Zło kumuluje się i zaczyna wyciekać na zewnątrz. Trzeba zniszczyć ten sad. Wykopać szczątki. Zrównać drzewa z ziemią. Tam nawet już gleba jest skażona. Gdy tu przyjechałam, wysiadłam i stałam we mgle. Nawet ona była jakaś inna. Przynosiła ze sobą koszmary.

Fe-fi-fo-fum, który pochyla się nad kołyską dziecka. Nie wiem, skąd mi się to wzięło, ale najwidoczniej umysł próbował przekazać mi odbierane sygnały za pomocą wizji.

– Tego miejsca mi nie żal – powiedziała Franciszka. – Nigdy go nie lubiłam. Urodziłam się tutaj i wychowałam. Jakoś tak się złożyło, że rzadko kiedy stąd wyjeżdżałam. Chodziłam do szkoły w pobliskim miasteczku, a tak to całe życie tutaj... Nie, żeby ktoś mnie tu trzymał. Jakoś tak się złożyło, że tu wracałam.

– Coś cię tu przyciągało. Co chcesz teraz zrobić?

Franciszka wydmuchała nos.

– Chyba muszę... iść do Matyldy. Pożegnaj się z nią, a potem... zadzwonię na policję. A gdy już się to wszystko skończy, zrównam sad z ziemią. Potem wyjadę, daleko stąd. Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Wyszła chwiejnym krokiem. Najchętniej zrobiłabym to samo – wyszłabym stąd i więcej nie wróciła – ale nie mogłam ot tak stąd odejść. Trzeba było poczekać na przyjazd policji i przejść te wszystkie formalności. Dopiero potem wyjadę. Wrócę do Warszawy, do mieszkania przy placu Teatralnym, i wywietrzę z niego te wszystkie zatechłe koszmary i pozostałości po nich. Ubrałam się i sięgnęłam po komórkę. Z dołu dochodziło łkanie. Z wahaniem wybrałam numer do Elwiry.

9.

Wolne spacerowanie to coś, co nam obu odpowiadało. Elwirze z oczywistych względów trudniej się było szybko poruszać, mnie zaś nieco ograniczała tusza. Ale siedem kilo mniej to był dobry wynik. Z sympatią spozjrzałam na parę różowych, sportowych butów, stojących w korytarzu. Przemierzałam w nich pieszo całe kilometry i choć nie było tego jeszcze po mnie widać, już czułam się lżej.

Nowa praca nie wiązała się absolutnie ze zjawiskami nadnaturalnymi. Cieszyłam się z tego, bo wbrew temu, co się może ludziom wydawać, paranie się takimi rzeczami wcale nie jest fajne jak w filmie. Gdy raz zetkniesz się z drugim światem, on pozostawia na tobie jakiś osad. Coś, czego nigdy się tak naprawdę nie pozbędziesz.

Jestem tego świadoma, zwłaszcza teraz, dzisiaj. Jest pierwsza czternaście w nocy, a ja patrzę w ekran komputera. Przeglądam wiadomości z Polski. Pół Mazowsza żyje tragicznymi wypadkami, które rozegrały się dwie doby temu w małej wiosce o nazwie Słodkie Sady. O tej miejscowości huczało już od jesieni, gdy morderstwo jednej z mieszkanek gospodarstwa

przypomniało dziennikarzom o zamordowaniu lata temu dziecka i okaleczeniu drugiego. Teraz znów kilka osób straciło życie.

SZEŚĆ OSÓB NIE ŻYJE. KLĄTWA SŁODKICH SADÓW? CZY NADCHODZI ŻNIWIARZ?

Podczas karczowania jabłoni zerwał się ogromny wicher. Powyrywał część drzew z korzeniami, zabijając przy tym pięciu mężczyzn z ekipy. Wezwane na miejsce służby znalazły nie tylko te zwłoki, ale również martwą właścicielkę gospodarstwa. Starsza pani została powieszona na balustradzie balkonu od strony sadu, a w zaciśniętej dłoni trzymała ogromny sierp. Jakiś pismak zrobił zdjęcie, które teraz krążyło w sieci i spowodowało lawinę plotek, w tym wymyśloną historię o żniwiarzu-mordercy, ponurym żniwiarzu i krwawych żniwach.

Patrzę w ekran, już prawie spakowana. Nie wiem, w jaki sposób mogłabym pomóc, ale czuję, że powinnam tam wrócić. To mnie pożalił się sad, pokazując bielejące pod ziemią kości. Skażona złem ziemia prosiła o pomoc. Elwira też chce jechać, ale w niczym mi nie pomoże, zresztą sama błędzę jak we mgle.

I nie mam już żadnych snów. Żadnych. Może więc pora, aby je odzyskać?

VATICANUS

(opowiadanie z antologii *Sinobrody i inne opowiadania*)

Maciej Szymczak

– Zatem udało się... – szeptał do siebie podniecony, trzymając w trzęsących się dłoniach pomiętą mapę.

Cały dygotał, nie mogąc uwierzyć we własne szczęście. Lata wyrzeczeń i mozolnej pracy nie poszły na marne, w końcu stanął u progu tajemnicy. Dotarł do kresu swych poszukiwań, miał w zasięgu dłoni klucz do rozwiązania największej zagadki w dziejach ludzkości. On, Kosma Klimecki, korespondent włoskiej gazety „La Repubblica”, dotarł tam, gdzie nie doszedł jeszcze żaden profan. Te wszystkie intrygi, zawile śledztwa, mylne tropy i medialne afery, w które regularnie się wplątywał, niemal doszczętnie zrujnowały jego zdrowie, wcześniej rozbijając dwa małżeństwa. Zawsze był jednak świadom ceny, jaką w końcu przyjdzie mu zapłacić. Prawda wymaga ofiar, a on poświęcił wiele, by osiągnąć swój cel.

Za chwilę jego życie zmieni się nie do poznania. Zdawał sobie sprawę, że nic nie będzie takie jak kiedyś. I nie chodzi tutaj o artykuł, ani o zdobycie nagrody Pulitzera. Pragnął znaleźć się w wąskim gronie tych, którzy wiedzą. Zapewne nikt mu nie uwierzy, może narazi się na śmieszność i drwiny, ale kompletnie się tym nie przejmował. Liczyła się prawda, na którą miał ogromny apetyt. Być może przyjdzie mu zapłacić jeszcze wyższą cenę za ujawnienie sekretów najstarszej instytucji świata. Był jednak gotowy na wszelkie konsekwencje z tym związane, łącznie ze śmiercią. Dlatego wczoraj spisał w pośpiechu testament, który zostawił w swym apartamencie. Obecnie znajdował się w dziennikarskim rajku utraconym, w Walhalli reporterów goniących za teoriami spiskowymi. Tak, znajdował się w podziemiach Watykanu, trzymając w spoconej dłoni klucz do największych tajemnic Stolicy Apostolskiej.

Przekazał mu go kamerdyner papieski Paolo Rizzo, ten sam, który naraził się biskupom, ujawniając tajne dokumenty archiwum watykańskiego. Współpracował z nim przez wiele lat w ścisłej konspiracji, konfabulując na wszelkie możliwe sposoby. Kamerdyner

zostawiał mylne tropy, wyprowadzając w pole tajnych agentów Stolicy Apostolskiej. Wspólnie wywlekli na wierzch wiele afer finansowych, upublicznili gorszące skandale pedofilskie z udziałem władcyków kościelnych. Paolo nie był jednak dostatecznie ostrożny, popełniał błędy, nie zachowywał dostatecznej dyskrecji. Nie potrafił dłużej mydląc oczu podejrzliwym dostojnikom, zbyt wiele oszustw przeniknęło do opinii publicznej, a wszystkie ślady prowadziły do jego osoby. W końcu zdemaskowała go gwardia watykańska, ujawniając skrytą działalność. Paolo był skończony. Jednak nim rozpoczął się proces, zdążył przekazać Kosmie tajne dokumenty i numer telefonu do zaufanego człowieka. Człowieka, który wiedział wiele i znał wszystkie sekrety Stolicy Piotrowej. Kosma dostał od niego wskazówki, gdzie znajduje się wejście do podziemnego labiryntu korytarzy. Tam miał spotkać się ze swoim przewodnikiem, który był w posiadaniu największych tajemnic ludzkości.

Pod wskazany adres dotarł nocą. Smog wciąż unosił się w powietrzu, zatruwając życie mieszkańcom stolicy. Minął dobry kwadrans po północy, mimo to ruch samochodowy na ulicy Viale Vaticano wciąż był duży. Pojedyncze grupki pielgrzymów przechadzały się wzdłuż majestatycznych murów Stolicy Apostolskiej, chcąc przed snem zobaczyć słynną bramę Muzeum Watykańskiego. Spragnieni duchowych wrażeń, modlili się pod wrotami świętej Anny, trzymając w dłoniach zapalone świece. Młodzi ludzie z wypiekami na twarzy wpatrywali się w zarys Bazyliki Świętego Piotra. Wyczekiwali swojego papieskiego idola, który był dla nich niczym gwiazda rocka. Kosma spojrzął z politowaniem na długowłosego turystę o śniadej skórze. Przygrywał na gitarze pątnikom, kierując zwrotki religijnych pieśni w stronę uśpionego pałacu papieskiego. Gdyby tylko wiedział, jak bardzo ideał sięgnął bruku... Kosma nałożył kaptur na głowę i przemknął na drugą stronę ulicy, przeciskając się przez grupkę rozweselonych pielgrzymów. W ich tłumie nie rzucał się w oczy, dlatego nie wzbudząc podejrzeń, włamał się do pobliskiego antykwariatu, który znajdował się dokładnie naprzeciw bramy świętej Anny.

W starej księgarni panował straszny zaduch. Gmach był zamknięty od wielu lat i zdążył przesiąknąć charakterystycznym zapachem wiekowych kamienic. Półki z książkami pokrył kurz, gdzieś zdążyły się już zadomowić pająki, wijąc swe lepkie pajęczyny. Donośny pisk dobiegający z wnętrza murów uzmysłowił Kosmie, iż nie tylko stawonogi zamieszkały ten opuszczony antykwariat. We wnękach ścian osiedliły się rozszuchwalone gryzonie, uważające się za jedynych lokatorów tego opustoszałego miejsca. Zaalarmowane przybyciem intruza, biegały w tę i z powrotem, piszcząc przeraźliwie. Dziennikarz skierował latarkę w dół, rzucając światło na zbutwiałą podłogę. Tłusty szczur zagroził mu drogę. Kosma , spojrzął w czerwone ślepie dorodnego samca, krzywiąc twarz z obrzydzenia. Gryzoń

zasyczał groźnie, po czym zniknął z pola widzenia, nurkując w wyrwie między deskami podłogowymi. Ostrożnie rozglądając się na wszystkie strony, Kosma dotarł na zaplecze księgarni. Dokładnie we wskazanym przez informatora miejscu znajdowała się zapadnia w podłodze, która prowadziła do ukrytego pod budynkiem tunelu. Mężczyzna ruszył ostrożnie, chroniąc głowę przed niskim sufitem. Garbiąc się nieznacznie, zszedł parędziesiąt metrów w dół, przedzierając się przez stos śmieci zalegających na posadzce. Podziemne przejście prowadziło pod ruchliwą ulicą, fale dźwiękowe docierały z góry, słyszał wyraźnie szmer rozpędzonych aut. U wylotu kanału znajdowała się półokrągła klatka schodowa, której stopnie prowadziły w niezbadany labirynt podziemnych korytarzy. Kosma schodził w nie z duszą na ramieniu, walcząc z rodzącym się uczuciem lęku. Wczepił dłoń w metalową poręcz, bojąc się skierować snop światła w czeluść, w którą zmierzał. Od dziecka dręczył go silny lęk wysokości, dlatego niemal przyspawał się do konstrukcji stalowej, ostrożnie schodząc po wąskich stopniach. Wydawało mu się, że minęła cała wieczność, nim z ulgą wyczuł równy grunt pod nogami. Otarł chusteczką mokre od potu czoło, starając się zapanować nad szalejącym wewnątrz klatki piersiowej sercem. Dotarł na miejsce na szczęście w jednym kawałku, ale to dopiero przedsmak tego, z czym przyjdzie mu się zmierzyć. Nogi wciąż miał jak z waty, lekko zdrętwiały mu ręce, czuł zawroty głowy. Adrenalina krążyła w jego żyłach, zaburzając procesy myślowe. Ogarnęło go poczucie euforii, jego własne przeznaczenie zaczęło się wypełniać.

W zasadzie to Kosma spodziewał się wszystkiego, tylko nie widoku, który zastał. Podziemny system korytarzy przypominał ponemiecki kompleks fortyfikacyjny. Masywne ściany przywodziły na myśl bunkry, surowe i bezduszne pomieszczenia bardziej nadawały się na schron przeciwatomowy niż archiwum zaginionych dzieł sztuki. Sądząc po mapie, był to największy na świecie system umocnień, pętle długich na kilkanaście kilometrów korytarzy przecinały się wzajemnie, dorównując swą wielkością konstrukcji metra rzymskiego. Na szczęście kanał, w którym się znajdował, był dobrze oświetlony, mógł schować latarkę i ruszyć przed siebie do punktu zaznaczonego na mapie. Po parudziesięciu metrach dotarł do skrzyżowania, gdzie rozgałęziała się sieć tuneli. Tutaj miał się spotkać ze swoim informatorem. Czekał cierpliwie w umówionym miejscu, starając się nie myśleć, jak głęboko pod ziemią się znajduje. Uczucie klaustrofobii towarzyszyło mu zawzięcie, nie opuszczając ani na chwilę. W tym momencie żałował, że rzucił palenie. Chętnie by zapalił jednego dla kurażu. Czego właściwie mógł się spodziewać po swoim informatorze? A jeśli z jednego z tuneli wypadnie gwardia watykańska albo, co gorsza, zaprzyjaźniona z kościołem Cosa Nostra? Mógł skończyć w Tybrze w betonowych butach bądź zostać żywcem zakopany na

jednym z placów budowy, w które inwestowali bossowie mafii. Mogli go też przerobić na mielonkę, a gnaty rzucić na pożarcie wygłodniałym psom.

Co go czeka, jeśli to pułapka, a on jak gówniarz dał się złapać w sidła? Kosma coraz bardziej się denerwował, informator spóźniał się. Pragnął teraz tylko jednego: zapalić pieprzonego papierosa.

Czas włókł się niczym ślimak, ślamazarnie i ociężale. Kosma już miał dać za wygraną i zawrócić, gdy nagle usłyszał czyjeś kroki. Dudniły, niosąc się echem z głębi tunelu. Po chwili w oddali zarysowała się postać zbliżającego się człowieka. Szedł wolno i nieśpiesznie, zbyt opanowany jak na tak niezwykle okoliczności spotkania. Informatorem okazał się mężczyzna w podeszłym wieku o klasycznych, rzymskich rysach twarzy. Miał drobną, pociągłą twarz i orli nos upodabniający go do Juliusza Cezara. Jak na dostojnika kościelnego był bardzo szczupły, wręcz anorektycznie chudy, a jego mowa ciała zdradzała pewną grację charakterystyczną dla ludzi z wyższych sfer. Nosił się jednak bardzo skromnie, ubrany w wytarte dzinsy i czarną koszulę z długim rękawem zwieńczoną koloratką. Kosma sięgnął do swych wspomnień, lecz nie potrafił przypomnieć sobie twarzy swego informatora, a w Watykanie znał prawie wszystkich.

– Marco Gianni – przedstawił się nieznajomy, wyciągając dłoń na powitanie.

Uścisk miał szczery i serdeczny, a jego angielski akcent pełen był włoskich naleciałości.

– Zapewne umiera pan z ciekawości. Musimy się pospieszyć, spiskowcy zostali zdemaskowani, lada moment mnie aresztują. Dla mnie nie ma już nadziei. A pan? – spojrzał badawczo na Kosmę. Dziennikarz miał wrażenie, iż nieznajomy uważnie mu się przygląda, jakby testując jego wiarygodność. – Pan zrobi z tą wiedzą, co uważa za stosowne. Ostrzegam jednak, to, co pan ujrzy i usłyszy, zmieni pana życie na zawsze. Proszę mi wierzyć, nie ma pan pojęcia, co kryje się w tych podziemiach! – ostrzegł stanowczo, przewiercając go spojrzeniem na wylot.

– Ma ksiądz może papierosa? – Kosma spytał mimochodem, nie spodziewając się wcale twierdzącej odpowiedzi.

Ksiądz Marco spojrzał na niego swymi bystrymi oczami, kręcąc przecząco głową. Korespondent „La Repubblica” wzruszył ramionami. Skinął, dając do zrozumienia, że jest świadom ryzyka, na które się pisze.

Ruszyli wzdłuż żelbetonowego korytarza, za światło mając rząd starych lamp sterczących z sufitu. Kosma dziwił się, że nie zainwestowano tutaj w bardziej nowoczesne oświetlenie. Było chłodno i wilgotno, miejscami na posadzce stały rozległe kałuże. Cały ten

kompleks sprawiał niezwykle ponure wrażenie. Tysiące pytań cisnęło się na usta dziennikarza, ale był zbyt przytłoczony gęstą atmosferą tego miejsca, aby zainicjować rozmowę. Jego przewodnik milczał uparcie, nie zwracając uwagi na swojego gościa. Szli w kompletnej ciszy, słysząc własne oddechy. W końcu Kosma nie wytrzymał i zapytał nieśmiało:

– Paolo nic mi o księdzu nie wspominał. Jaka jest funkcja księdza w tym podziemnym świecie?

Informator zatrzymał się nagle, karcąc wzrokiem niecierpliwego dziennikarza. Niezbyt przychylnym głosem odpowiedział:

– Jestem strażnikiem tego miejsca, kimś w rodzaju magazyniera. System podziemnych tuneli istnieje tutaj co najmniej od czasów rzymskich, był wielokrotnie przebudowywany i ulepszany przez kolejnych papieskich architektów. Poruszamy się nitką, która była modernizowana na początku dwudziestego wieku. Istnieją tu jednak znacznie starsze i mniej komfortowe ścieżki, pamiętające jeszcze czasy cesarów. Nie zbudowaliśmy tego labiryntu, on istniał znacznie wcześniej. We wczesnym średniowieczu dostojnicy chronili się tutaj przed najazdami barbarzyńców. Później zaczęto gromadzić tu dzieła nieprzychylne Kościołowi i tak powstały słynne archiwa watykańskie. Moja funkcja jest dożywotnia, zostałem wyznaczony do tej roli przez Jana Pawła II. Teraz ja tu urzęduję i robię to od trzydziestu lat, nic dziwnego, że mnie wcześniej nie spotkałeś, nasza organizacja jest tajna. Oprócz mojej osoby, tylko garstka wtajemniczonych dostojników ma dostęp do tego miejsca.

– I postanowiłeś zdradzić swoją organizację, wpuszczając tutaj wścibskiego pismaka? Dlaczego zdecydowałeś się na tak ryzykowny krok?

– Nie jesteś pierwszy. Wielu profanów przed tobą gościło w naszych magazynach – odpowiedział tajemniczo. – Ale dość już tej rozmowy, nie marnujmy więcej czasu! Mam swoje powody, których nie chcę tobie wyjawiać – strofował dziennikarza, wyraźnie pobudzony.

Marco wyrwał do przodu, znacznie przyspieszając kroku. Nie był już tak opanowany i pewny siebie, jak zdawał się na początku. Sprawiał wrażenie zaniepokojonego, zupełnie jakby groziło im jakieś niebezpieczeństwo. Kosma zdusił w zarodku kolejne pytanie, nie chcąc drażnić swojego przewodnika. Zamilkł, koncentrując się na mrocznych tunelach podziemnego świata. Korytarze urywały się, prowadząc do kolejnych pomieszczeń, które przypominały wojenne schrony. Dziennikarz miał wrażenie, że krążą z przewodnikiem w kółko, poruszając się cały czas po tych samych drogach, łudząco podobnych do tuneli górniczych. W końcu dotarli do ukrytego między ścianami przesmyku, za którym znajdowały

się mosiężne, okute żelazem drzwi. Marco wyjął z kieszeni żeliwny klucz i wsadził go do zamka.

– Proszę mi pomóc – wystękał, siłując się z drzwiami.

Kosma zaparł się z całej siły, konstrukcja była niewiarygodnie ciężka, stalowe skrzydło musiało ważyć przynajmniej z ćwierć tony. Dyszał z wysiłku, słysząc, jak chrupią mu wszystkie kości. W końcu drzwi ustąpiły. Kosma niczym w transie wkroczył do wnętrza legendarnych archiwów. Znalazł się w wielkiej hali, która przywodziła na myśl rozległe magazyny. Na jego spoconej twarzy miast entuzjazmu zarysował się grymas bólu. Poczul głębokie rozczarowanie, które ukłuło go boleśnie w serce.

– Proszę, rozejrzyj się. Oto słynne archiwa watykańskie – powiedział Marco z lisim wyrazem twarzy. W jego głosie dało się zauważyć szyderczą nutkę złośliwości.

– Jak to? – zdziwił się Kosma, lustrując wzrokiem puste regały szaf.

Słynne archiwa watykańskie świeciły pustką. Gdziekolwiek stały pojedyncze egzemplarze starych ksiąg i inne starożytne artefakty. Prócz masek kultowych, glinianych tabliczek z pismem klinowym i przypominających zębate koła metalowych dysków niczego nie znalazł. Rozczarowanie było tym głębsze, że poświęcił temu celowi całe swoje życie. Najwidoczniej los z niego zakpił, jego osobisty anioł stróż wbił mu nóż w plecy, dokładnie w chwili, kiedy powinien pławić się w glorii chwały. Nie ma żadnej tajemnicy, nie ma tajemnej wiedzy, jest tylko pustka istnienia i rządy silnej ręki, trzymające za pysk niezliczone rzesze wiernych. Kosma poczul głęboki żal do siebie, nigdy się nie spodziewał, że jego odkrycie będzie miało tak gorzki smak.

– Jak to? Gdzie podziały się te wszystkie skarby?! Paolo przysięgał, iż archiwa istnieją naprawdę! – zabrzmiał wyjątkowo dramatycznie, zupełnie jak pogorzelec, który w jednej chwili stracił dorobek całego życia.

– Istnieją przecież. Znajdujemy się w tajnym archiwum watykańskim – odpowiedział nieco rozbawiony Marco. – Zaskoczony? – zapytał, śmiejąc mu się prosto w twarz. – Otóż musisz wiedzieć, iż wiedza to władza, a brak wiedzy to jeszcze większa władza, to pierwotny chaos, z którego wypelza nowy ład. Kościół jest prawdą, bo nikt nie zdoła zaprzeczyć jego świadectwu. Wszystkie wielkie pisma, traktaty filozoficzne, rozprawy teologiczne, cała mądrość przeszłych pokoleń spłonęła tutaj, w naszych piecach – wyjaśnił z rozbrajającą szczerością. Sposób jego wystawienia się, niezmacony spokój ducha, wzbudził w Kosmie nieufność. Anorektyczny informator o białych jak gołębi puch włosach i szlachetnych rysach twarzy miał w sobie coś niepokojącego.

– Nie rozumiem – odparł Kosma, wciąż nie mogąc uwierzyć we własne odkrycie.

– Zrozum, słabymi i głupimi łatwiej rządzić. To nie archiwa tajemnej wiedzy, ale krematorium, w którym niszczy się dziedzictwo kulturowe różnych cywilizacji. Historie piszą zwycięzcy, zawsze tak było i zawsze tak będzie. Papież, jak i jego poprzednicy, dba o to, aby nic nie zachowało się dla potomnych. Moim zadaniem jest niszczyć wszystko, co dostarczą mi z góry. Ostatnio jednak magazyny święcą pustkami prócz paru nieznaczących zabytków, nic do mnie nie trafia.

– Nie wierzę, po prostu nie mieści mi się to w głowie. – Kosma uniósł się rozżalonym głosem. – Dlaczego Paolo skontaktował mnie akurat z tobą? Z człowiekiem, który niszczy dziedzictwo kulturowe ludzkiej cywilizacji. – Wybrzmiał pretensjonalnie, samemu nie wiedząc, czy bardziej wini siebie za naiwność, czy nieroztropnego Paolo, który wplątał go w całą sytuację.

Ksiądz Marco ściągnął brwi, marszcząc czoło. Rzekł łagodniejszym tonem:

– To tylko księgi, zwoje papieru, literacki bełkot nieodpowiedzialnych filozofów. Sam się przekonasz, że wszystkie te dzieła są zupełnie bezwartościowe. Wiedz, że żyjesz w świecie iluzji, cały świat jest zbudowany na kłamstwie, którego korzenie sięgają Watykanu.

– Dla księdza to księgi, bezduszna makulatura, dla mnie to cały sens życia! Czuję się niczym Percival poszukujący Graala i w jednej chwili wszystko diabli wzięli. Stoję tu jak kolek w legendarnych archiwach, wpatrując się w pustą przestrzeń! – lamentował, epatując rozczarowaniem.

Przewodnik zdawał się w ogóle nie przejmować stanem dziennikarza, zapytał chłodno:

– Czy nadal pragniesz poznać prawdę?

– Prawdę? Jaką prawdę? – rzucił kąśliwie.

– Spytałem po raz ostatni – powiedział ostro Marco. – Czy chcesz poznać prawdę?

– Tak – odpowiedział Kosma łamiącym się głosem. Tak naprawdę jednak nie był pewien, czy chce ją nadal poznać. W jego sercu rodziły się dziwne wątpliwości. Jakiś głos krzyczał ostrzegająco, wołając o opamiętanie. – Nie cofnę się przed niczym, kontynuuj – powiedział wbrew własnemu instynktowi.

– Wiedzy nie znajdziesz tutaj, to tylko puste magazyny. Oświecenie kryje się znacznie głębiej, musimy zjechać w dół, by stanąć u wrót... piekieł.

– Piekieł?!

Słowo to zaskoczyło kompletnie dziennikarza, wytrącając go całkowicie z równowagi. Czy jego przewodnik zaczął się z niego właśnie nabijać? Co ma oznaczać głupkowaty uśmiezek na twarzy informatora? Kosma nie wiedział, czy starzec się z niego naigrawa, czy jest śmiertelnie poważny.

Nie miał czasu na tego typu refleksje, czas uciekał. Marco ruszył przed siebie żwawym krokiem. Kosma próbował dotrzymać mu tempa, ale przewodnik mknął z prędkością błyskawicy, zupełnie jakby unosił się nad ziemią. Cała ta sytuacja wydawała się zbyt nienaturalna, aby mogła być prawdziwa. Może ma omamy wzrokowe? Czy leciwy kapłan naprawdę unosił się nad powierzchnią ziemi? Nie, to absolutnie niemożliwe, najwyraźniej Kosma doznał jakiegoś szoku i teraz umysł płata mu figle. Zwolnił, nie mogąc nadążyć za swym przewodnikiem. Chwycała go kolka i nie chciała wypuścić ze swojego duszącego uścisku, z coraz większym trudem nadążał za tajemniczym księdzem. Archiwa były przeogromne, Kosma nie potrafił sobie wyobrazić, ile ksiąg potrzeba, by zapełnić to pomieszczenie. Minął kwadrans, nim dotarł na drugi koniec magazynu, gdzie znajdował się wąski otwór w ścianie, prowadzący do naturalnej jaskini. Pieczara posiadała przepiękne formy stalaktytów, które zdobiły sklepienie jamy niczym żyrandole w Pałacu Elizejskim. W skałach jaskini wydrążono sztuczny tunel, który prowadził dalej do windy górniczej.

– Co? Straciłeś język w ustach? – zapytał informator, wyraźnie kpiąc z dziennikarza. – Nie tego się spodziewałeś, prawda? – Zaśmiał się jakoś tak nienaturalnie.

Kosma przeklinał teraz swą naiwność, był zupełnie bezbronny, zdany na łaskę przewodnika, któremu nie mógł dłużej ufać. Zbyt mocno związał się z kamerdynerem papieskim, który być może od początku wodził go za nos, prowadząc w śmiertelną pułapkę.

– Musisz wiedzieć, że Wieczne Miasto zostało zbudowane na siedmiu wzgórzach, które to są siedmioma głowami apokaliptycznej bestii. To tutaj, w Stolicy Chrystusowej, znajdują się wrota prowadzące do Tartaru. Prawda tkwi ukryta w samym przedsionku piekieł. Co się tak głupio patrzysz? Chciałeś przecież poznać prawdę?! – zapytał ostro. – Przecież mówiłem, iż zmierzamy do królestwa potępionych. Ono istnieje i zaraz je ujrzysz. – Oblicze księdza zmieniło się nie do poznania. W jego rysach Kosma dostrzegł coś złowieszczego. Lico zmarszczyło się w grymasie nagłej złośliwości, a głęboko osadzone oczy błysnęły skrywanym wewnątrz płomieniem nienawiści.

Kosma struchlał ze strachu, miał ochotę uciekać gdzie pieprz rośnie, ale w głowie zaświtała mu absurdalna myśl. Może to wszystko próba, może informator go sprawdza? Testuje jego odwagę i gotowość poznania prawdy? Jakie piekło? Przecież ono nie istnieje, do cholery! Kosma była ateistą i wiedział, że wszelkie religie zostały wymyślone tylko po to, by rządzić bezmyślną masą ludzką. Reporter studził swe emocje, które sięgnęły temperatury reaktora jądrowego.

– To jak? Zjeżdżamy w dół? – zapytał informator, nie czekając na odpowiedź. Wcisnął jeden z dwóch guzików znajdujących się w windzie.

Dźwig osobowy zatrząsł się, ruszyli w dół przy akompaniamencie zgrzytów i potwornych hałasów. Kosma chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie wydukać z siebie choćby krótkiego logicznie brzmiącego zdania. Nie mógł wyartykułować właściwie nawet jednego słowa, dlatego czekał w pełnej napięcia ciszy, aż osiągną kres wędrówki. Winda załomotała, wydając skrzeczące dźwięki, wewnątrz zapaliła się zielona lampka, dotarli na sam dół.

– Zapraszam – rzekł Marco z udawaną kurtuazją. – Nie bój się, nie wpadniemy przecież na Cerbera. To ja jestem strażnikiem tej świątyni – rzekł z wielką powagą w głosie.

– Mówiłeś, że jesteś strażnikiem podziemnego labiryntu? – wydukał Kosma łamiącym się głosem.

– Każdy labirynt skrywa jakieś tajemnice. Nie wszystko, co ci przed chwilą powiedziałem, jest do końca prawdą. Ale nie musisz przecież wszystkiego wiedzieć – rzucił tamten kąśliwie.

Znaleźli się w podziemnej sali. Pachniało intensywnie solą, której kryształy połyskiwały, wydzielając ożywczy morski zapach. Ze ścian wystawały metalowe uchwyty z palącymi się pochodniami. W samym centrum pieczary znajdowało się coś na kształt ołtarza. Kamienna ława wykonana była z bryły soli, stała na niewielkim podwyższeniu w samym centrum grotty. Rzeźbione z ludzkiej kości menory usadowiono na przeciwstawnych krańcach ołtarza. W lichtarzach płonęły świece wykonane z tłuszczu. Dławiący smród wypełniał salę, wyciskając łzy z oczu. Na stole ofiarnym tkwił złoty kielich wypełniony po brzegi krwią, a obok leżała oprawiona w skórę księga. Kosma Klimecki postąpił krok naprzód, podziwiając emanujące jasną poświatą tomiszczce.

– Co to, co to jest, do cholery?! – zapytał, czując, że zaraz zwariuje.

– To jest właśnie prawdziwa Biblia, ewangelia napisana przez samego Jezusa! Nie dało się jej zniszczyć żadnym możliwym sposobem, gdyż została spisana przez samego Boga, naszego niebiańskiego przeciwnika. Dotarła tu wraz z jego wyznawcami przed tysiącami lat. Nasi kapłani zdołali ją odbić z rąk jego uczniów, tych nikczemników! Ewangelia ta ma wielką moc, dlatego musieliśmy skryć ją tutaj, pod świętym wzgórzem, gdzie rezyduje nasz Pan – Vaticanus! – imię to wymówił z fanatycznym uwielbieniem. – Moi przodkowie odprawili specjalne rytuały, oprawiając Pismo Święte skórą jej orędownika, apostoła Piotra! To osłabiło moc boskiej księgi. Szukasz prawdy? Jest zapisana na stronicach tego dzieła, a my, kapłani Vaticanusa, od wieków strzeżemy sekretów w niej zawartych. Nasz Pan to potężny demon,

pradawny wąż, mityczny przeciwnik Jupitera! To tu jego wróże składali ofiary z dzieci przez całe eony. Negatywna energia tutaj nagromadzona pozwala więzić boską moc, a sługom bestii zdobywać świat. Biblia, którą znasz, została spisana przez uczniów Vaticanusa: Marka, Mateusza, Łukasza i Jana. To księga kłamstw, która zmieniła oblicze ziemi, tej ziemi!

– Kim, kim ty właściwie jesteś? Czego chcesz ode mnie?! – Kosma wrzasnął histerycznie, czując, jak strach przejmuje nad nim władzę.

– Przecież już ci to wyjaśniłem. Jestem Marco, strażnik świątyni, kapłan Vaticanusa.

– Czego wy ode mnie chcecie? – krzyknął ogarnięty paniką dziennikarz.

– Czego my chcemy? – Zaśmiał litościwie Marco. – Pytanie powinno brzmieć: czego ty właściwie chcesz? Pragnąłeś poznać prawdę, oto i ona!

Kosma pocił się jak mysz. Czuł, że jego godziny są już policzone, tego kłamstwa nie da się zdemaskować, ono jest wszechpotężne i wszechmocne. Spojrzał z nadzieją na Biblię. Wyciągnął dłoń w stronę księgi, ale w tym samym momencie jego ręka zapłonęła żywym ogniem. Zaskomlał z bólu, widząc, jak bąble pokrywają skórę. Ewangelia Jezusa była poza zasięgiem jego dotyku. Spróbował ponownie ją chwycić, ale jego ciało poczęło płonąć żywym ogniem. Kosma wrzeszczał niczym skazaniec dogorywający na stosie. Ból był fizyczny, a zarazem duchowy. Ogarnął go rodzaj cierpienia, którego wcześniej nie znał. Niewidzialna tortura wyłobila w jego duszy głębokie rany. Czuł ból istnienia, nieznośny stan egzystencji, który mógłby porównać tylko do potępienia.

– Ostrożnie, mój bohaterze – odezwał się rozbawiony Marco. – Nikt jeszcze nie zdołał złamać naszej magicznej pieczęci. Nasz czar strzeże wiedzy w niej zawartej przed oczyma profanów.

Spojrzał niemal z politowaniem na turlającego się po ziemi dziennikarza. Ten skomlał z bólu. Po chwili uspokoił się i zamilkł na dłuższą chwilę. Wstał, patrząc na księdza pustym wzrokiem, zupełnie obdartym z człowieczeństwa. W jego wnętrzu zagościła pustka, nie potrafił już odczuwać ludzkich emocji.

– Chcę tego! – krzyknął Kosma. Marco zmarszczył czoło zaskoczony determinacją reportera. – Chcę poznać prawdę! Chcę ujrzeć Vaticanusa!

Kapłan roześmiał się na głos. Wyjął z kieszeni kurtki niewielki sztylet. Wręczył go roztrzęsionemu dziennikarzowi. Kosma wyglądał teraz jak wariat, który dopiero co zbiegł ze szpitala psychiatrycznego. Jego twarz drgała, zęby zgrzytały, a usta śliniły się, wypływając na brodę spienioną kaskadę piany.

– Weź ten sztylet. Radzę szczerze. Skończ sam ze sobą, nim on to zrobi – ostrzegł go, wskazując mały otwór w jaskini, tuż za ołtarzem.

Kosma podszedł do solnej ściany, która emanowała białym niczym śnieg blaskiem. Pochylił się, wciskając w małą wyrwę. Znalazł się w mroku, ale był to mrok niemal namacalny, żywa tkanka ciemności, która zdawała się przemieszczać, oplatając go swymi mackami. Bytował w innym wymiarze, czuł to całym sobą. Szedł przed siebie w totalnej ciemnicy, sztylet zapłonął niebieskawym ognikiem, rzucając nieco światła na przestrzeń wokoło. Nagle z ciemności zaczęły się wyłaniać jakieś kształty. Świejące robaczki zamigotały w mroku, krążąc wokół niego niczym ławica wygłodniałych ryb. Przestrzeń poczęła się wypełniać coraz dziwniejszymi stworami. Niektóre przypominały gady, inne – morskie stworzenia, ale żadne z nich nie miały regularnych kształtów, były jakby hybrydami, ohydnyimi monstrami, tworamii ciemnego boga. Obmierzłe kreatury wciąż wyłaniały się z mroku niczym noworodki rodzące się z łona matki. Kosma struchlał, nie mogąc znieść widoku szkaradnych stworzeń. W końcu pojawił się ON, dziennikarz nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Pradawny smok, apokaliptyczna bestia, anioł śmierci, co wyłonił się z praoceanu chaosu, przybył na jego wezwanie. Leviatan, Therion, Vaticanus, Pan Otchłani, pożeracz dziecięcych serc, to jemu ludzkość przez tysiąclecia składała krwawe ofiary. On ma tysiące twarzy i każda jest kolejnym wcieleniem ZŁA. To w jego piramidach kapłani Azteków zarzynali swych jeńców, to w jego świątyniach Kartagińczycy palili żywcem noworodki, to ON, pan tego świata. Kosma poczuł wewnątrz niewypowiedziany strach, chciał wbić sztylet w swe serce, by jego dusza nie musiała dłużej oglądać tego pokraccznego oblicza. Nim zdążył to uczynić, upuścił sztylet, który zanurkował w gęstej substancji mroku. Mężczyzna był zgubiony. Nagi i bezbronny klęknął przed obliczem bestii, prosząc ją o łaskę zbawienia. Chciał krzyczeć, ale ciało odmówiło mu posłuszeństwa. W skupieniu nasłuchiwał pomrukiwań Vaticanusa, który sycił się jego strachem. Nagle z mroku wystrzeliła obślizgła macka, dosięgając strwożonego reportera. Zawinęła się wokół jego korpusu, łamiąc wszystkie żebra i mostek. Kręgosłup pękł, rozpadając się na małe kawałeczki, szkielet został całkowicie zmiażdżony, przemielony niczym papier na makulaturę. Tak jak obiecał ksiądz Marco, Kosma poznał prawdę, ostateczny cel istnienia każdej żywej istoty.



ZNAJDA

Marcin Zwoleń

– Marek, powiedz mu coś wreszcie.

Odległy głos mamy na chwilę zahacza o moje uszy, prześlizguje się po nich i rozmywa w parnym powietrzu. Odwracam się na pięcie, stopa obuta w skórzany sandał zagłębia się w piasku. Wstrząsam nogą, pozbywając się uciążliwych ziarenek, po czym, przysłaniając dłonią oczy, spoglądam w stronę oddalonego o kilkadziesiąt metrów kampera.

Mama krząta się po kolacji przy stoliku turystycznym, zbiera papierowe talerzyki z blatu. Mimo że upał już dawno zelżał, na głowie ma wciąż słomkowy kapelusz typu panama. Jej niczego sobie, jak mawia tato, figurę okrywa tylko strój kąpielowy. Promienie zachodzącego słońca muskają jej talię i wygląda teraz tak szczupło, jak na fotografiach ze studenckich czasów.

– Niechże on przestanie to robić.

Patrzę na adresata tych słów. Tato z okularami przeciwsłonecznymi na czole i oszronioną butelką piwa w rękę milczy. Wygodnie umieszczony w pasiastej kolebce składanego leżaka trwa w błogim letargu. Najedzony i szczęśliwy niczego więcej nie potrzebuje i niczego nie musi. Jedyne wypoczywać i ładować akumulatory, by kiedy powróci z urlopu do stołu kreślarskiego, być zwartym i gotowym. Wciąż nam powtarza, że potrzebował tego wypoczynku jak słoń trąby. Z racji pracy w biurze projektowym nierozzerwalnie powiązany z kształtowaniem aglomeracji miejskiej miał dosyć przebywania pośród ulic i budynków. Zasadnym jest zatem, że część urlopu postanowił spędzić w totalnej głuszy.

Dlatego też od tygodnia zaszyliśmy na małym skrawku bożego świata, tuż nad Jeziorem Solińskim, okupujemy niewielką łachę szarego piasku szumnie zwaną plażą. Na tyle jednak spełniająca nasze wymogi, że mamy tu swoją enklawę, gdzie parkujemy kampera i w całkowitej izolacji chłonimy uroki lata.

W tym momencie mama unosi głowę i spogląda w moją stronę. Macham jej ręką, dostrzega mnie i odwzajemnia gest.

– Tomek, wracaj tu! Co mi obiecałeś?!

– Zaraz przyjdę, mamusiu!

Odwracam się i kontynuuję wędrówkę w stronę krzaków jałowca, którymi upstrzona jest krawędź plaży. Sięgające początkowo do pasa chaszcze stopniowo zyskują na wysokości i już kilka kroków dalej dorównują mi wzrostem. Ta gęstniejąca forpoczta jest przedsmakiem tego, co kryje się tuż za nią. Słońce obniżyło swój pułap i pozbawiony światła sosnowy las nagina wyobraźnię. Strzeliste pnie, pełne poskręcanych konarów, obłamanych gałęzi i guzów, spowite pledem półmroku przywodzą na myśl gotującą się do bitwy starożytną armię barbarzyńców.

W zapadającej szarówce dostrzegam parę jarzących się oczu. Bez obaw ruszam im na spotkanie. Dwa błyszczące klejnoty osadzone blisko siebie powiększają się, kiedy tylko podchodzę bliżej. Nie zmieniają jednak położenia. Zawieszane mniej niż pół metra nad ziemią, obserwują mnie ze wzmożoną ostrożnością.

– Witaj.

Przyklękam na jedno kolano. W geście dobrej woli unoszę otwartą lewą dłoń wewnętrzną stroną do góry. Dystans wpisany w żółte ślepię znika pod zasłoną przymrużonych powiek. Wyciągniętą rękę natychmiast owiewa rozgrzany oddech, któremu towarzyszy nierówne posapywanie. Opalona skóra przedramienia iskrzy się mnóstwem drobnych kropelek śliny, a zaraz po nich przez środek dłoni przejeżdża gorący jęzor, pozostawiając mokry znak. W ślad za językiem z półmroku wyłania się włochaty pysk zwieńczony czarnym guzikiem. Wilgotny nos nie przestaje drgać w pośpiesznym łowieniu zapachów. Paszcza nagle otwiera się demonstracyjnie, obnażając swoją zawartość w postaci długich i ostrych zębów. Następuje przeciągłe ziewnięcie, któremu

towarzyszy wzrastający pisk zwieńczony niespodziewanym szczeknięciem.

Pies podnosi się z pozycji leżącej i staje na czterech łapach. Jest potężny, wygląda na jakąś rasę pasterską. Kucając naprzeciw niego, przed nosem mam jego wielki pysk, który układa się już do następnego szczeknięcia.

– Spokojnie. Mam coś dla ciebie.

Na ściółce obok drzewa, przy którym klęczę, ląduje papierowy sandwich. Składający się z dwóch talerzyków, nałożonych jeden na drugi, skrywa aromatyczną tajemnicę. Ledwo udaje mi się zabrać rękę, gdy potężny łeb opada w dół, strącając nosem wierzchnią tackę. Na spodniej części leżą same rarytasy: pętko zwyczajnej uratowane przed płomieniami popołudniowego grilla, trzy kromki chleba, dwie parówki oraz kilka plastrów salami. Siadam obok na poduszce z mchu i z przyjemnością obserwuję, jak czworonóg zabiera się do kolacji.

Zwierzę na wstępie uruchamia turbo węszenie, roztańczony nos musi obskoczyć każdy produkt z osobna. Pierwsze takty zapachów wybrzmiewają na jego zmyśle powonienia, tworząc najsubtelniejsze preludium zachęcające do konsumpcji. Nie czeka dłużej, potężne szczęki najpierw zamykają się na najsmaczniejszej atrakcji wieczoru – kielbasianym półksiężycu. Dwa zachłanne mlaśnięcia i już wilgotny język oblizuje tylko powietrze. To dopiero początek uczyty. Następne w kolejce do przepadnięcia w czeluściach psiego brzucha są plastry salami. Równie szybko, zaraz po nich, znikają tam parówki oraz pieczywo.

Zauważam, że za kolejnością pochłanianych produktów kryje się pewien klucz. Tu nie ma przypadkowości, tryby psiego pomyślunku pracują na pełnych obrotach. Dzięki możliwościom swojego nosa zwierz błyskawicznie potrafi ocenić, które rzeczy są dla niego najsmaczniejsze i od nich zaczyna. Podejrzewam, że w tym wydawałoby się naturalnym zachowaniu jest też pewna ukryta myśl. Gdyby nagle, podczas posiłku, musiał uciekać, to lepiej mieć żołądek wypełniony kielbasą niż chlebem.

Gdy już ostania kromka zmienia swoje położenie, włochaty głodomór jeszcze przez chwilę niucha wokół pustych tacek. Z racji bezowocnych poszukiwań wydobywa z siebie donośne szczeknięcie obwieszczające, że nie pogardziłby jakimś smacznym kąskiem. Bezradnie rozkładam rękę.

– To wszystko. Nic więcej nie mam.

Dwa papierowe motyle, podrzucone psim nosem, na moment wznoszą się nad ziemię. Sekundę później białe skrzydła upstrzone tłustymi plamami smętnie leżą na brunatnym igliwiu. Pies szczeka raz jeszcze, lecz tym razem odgłos brzmi inaczej. Bardziej łagodnie, bez wyczuwalnych zadziórów i żądań. Ewidentnie w wyartykułowanym dźwięku mogę doszukać się podziękowania za wieczorny posiłek.

– Na zdrowie.

Moja dłoń zbliża się do ogromnego łba. Pies liże ją, po czym jak długi zalega obok mnie. Prezentuje się jak wielka kanciasta bryła wyciosana w szarościach postępującego zmierzchu. Coś na oko ponad trzydzieści kilogramów brudnego nieszczęścia. Pozbawiony domu zbieg od trzech dni, czyli od połowy naszego pobytu tutaj, jest celem moich cowieczornych eskapad. Tylko o tej porze niczym nocna zjawia raczy objawić się pośród sosen. O tym, że jest uciekinierem jednoznacznie świadczy dyndające u obroży przekleństwo mające kształt zerwanego łańcucha.

Nie mam pojęcia, jaka historia mu towarzyszy, jakie ślady na przebytej drodze życia zatarł za sobą swoim długim postrzępionym ogonem. Nie wiem, co zmusiło go do porzucenia miejsca dotychczasowego pobytu i nawet nie chcę tego wiedzieć. Ale domyślam się, jak wielce „atrakcyjne” potrafi być życie psa łańcuchowego na wsi.

Jedyne, czego chcę, to zaspokoić jego podstawową potrzebę i nakarmić go. To mogę zaoferować. Jestem święcie przekonany, że napełniając mu żołądek wykradzionymi z małej turystycznej lodówki specjałami, czynię go najszczęśliwszym psem na świecie. Dlatego też z dnia na dzień przynoszę mu co raz więcej jedzenia. Niestety nie do końca dokarmianie czworonożnego przybłądy wszystkim odpowiada. Mama widzi to nieco inaczej.

Z każdym kolejnym wieczorem mój przejaw dobrego serca spotyka się z jej strony z rosnącym sprzeciwem. Ziarenko piasku wrzucone w mechanizmy naszych wzajemnych, pokojowych relacji zaczyna niebezpiecznie trzeć między trybami.

Kiedy za pierwszym razem kudłaty pysk miga mi między krzakami, wówczas postanawiam bliżej zapoznać się z jego właścicielem. Dwie niezjedzone podczas kolacji kanapki z serem i szynką mają być przepustką do psiego zaufania.

Po posiłku udaje mi się wymknąć z obozowiska, co niestety nie uchodzi uwadze mamy. Późniejsze pokrętne tłumaczenia, że podpatrywałem nocne zwyczaje puchaczy, nie przekonują jej kompletnie. Jakkolwiek, tamtego wieczoru następuje bliskie spotkanie trzeciego stopnia. Krążąc obrzeżami plaży, cicho pogwizduję i przywołuję go szeptem. Po kilku próbach nadchodzi odzew i w tle między drzewami zapalają się żółte ślepia. Czeka tam, jakby wiedział, że przyjdę. Czuję, że to bardziej on mnie wypatrzył i naprowadził na siebie.

Kiedy widzę go w pełnej krasie, ogrom sylwetki na moment studzi mój zapoznawczy entuzjazm. Gdyby tylko stanął na tylnych łapach, spokojnie sięgałby głową ponad moje sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Patrząc na mocne szczęki, przykuty dylematami do krzaka jałowca, rozważam, czy to aby na pewno był dobry pomysł i czy bardzo będę cierpiał.

Pies chyba czuje się niezręcznie z powodu swojej postury i przerażającego wrażenia, jakie mógł na mnie zrobić, bo wyciąga się na ziemi i kładzie łeb na wyciągniętych łapach. Jest koszmarnie zaniedbany, za sprawą swej zmierzwionej i pozlepianej błotem sierści z powodzeniem może pełnić funkcję chodzącego atlasu botanicznego bieszczadzkiej flory. W gęstym, czarnym

futrze kryje się niejedno. Igliwie, liście czy okruchy kory wpasowują się w nie niczym naturalny element. Gdzieniedzie w kołtunie tkwi zaplątana szyszka czy kawałek obłamanej gałązki. Puszysty pewnie niegdyś ogon zwisa smutno niczym wynędzniały proporzec podbitego wojska.

Spotkanie tamtego wieczoru jest przełomowe, lody zostają przełamane i szybko nawiązujemy nić porozumienia. Przyniesione kanapki naturalnie znikają w okamgnieniu. Za drugim razem idzie ciut gorzej. Gdy z paczką parówek i dwoma bułkami w kieszeni znów próbuję stać się dobrym Samarytaninem, zostaję przydybany przez mamę. Nie mam wyjścia, kolejne mętne kłamstwo o podglądaniu leśnej fauny tylko bardziej by mnie pogrążyło, mówię więc prawdę. Początkowo nie wyraża aprobaty, ale ostatecznie po moim przyrzeczeniu, że to ostatni raz, i wynegocjowaniu połowy paczki parówek, zgadza się.

Niestety dane przeze mnie słowo zostaje rychło złamane i dzisiejszego wieczoru znowu, po raz trzeci, z satysfakcją patrzę na leżącego obok mnie, zadowolonego z pełnego żołądka psa. Niewidzialna więź między nami zadzierzga się coraz bardziej, chociaż wiadomo, że ta wakacyjna, przelotna znajomość nie ma przyszłości. Dzięki temu ani on niczego więcej ode mnie nie oczekuje, ani ja nie staram się za bardzo przywiązywać do niego. Nie nadałem mu też z tego powodu żadnego imienia. Niemniej jednak czuję przez skórę, że będzie mi go brakowało, kiedy opuszczę to miejsce.

– Wiesz. Jutro stąd wyjeżdżamy.

Pies unosi głowę, przekrzywia ją i patrzy na mnie, jakby zrozumiał, co powiedziałem. Wydarzenia toczą się błyskawicznie. Gwałtownie podrywa się na cztery łapy, stawia uszy na sztorc i nakierowuje swój rejestrator zapachów w stronę plaży. W jego oczach pojawia się niepokojący błysk, gdy ostrzegawczo warczy przez zaciśnięte szczęki. Reaguję osłupieniem. Zagadka rozwiązuje się chwilę później. Wielki, roztańczony świetlik wyskakuje z mroku i ślizga się po zaroślach oraz koronach drzew. Białemu światłu latarki towarzyszy, i to całkiem blisko, ostry krzyk mamy, brutalnie kaleczący aksamit leśnej ciszy.

– Tomek! Wracaj natychmiast do obozu! Jest już późno!

Faktycznie, zadzieram głowę. Noc rozgościła się na dobre. Nawet nie zauważyłem, kiedy słońce całkiem wzięło wolne po tej części globu i zwolniło stanowisko na niebie blademu licu księżycy. Nie chcę wracać. Ale cóż, wolę oszczędzić sobie przed snem litanii o braku odpowiedzialności i wpędzaniu własnej rodzicielki do grobu. Sięgam po rozrzucone talerzyki, po czym podnoszę się z mchu i otrzepuję kolana z jego pozostałości.

– Do jutra.

Kolejny raz jasny snop rozpoławia czerń nocy i omiata wierzchołki krzaków. Wzmógłony krzyk jest jego nieodłączną częścią.

– Tomek, dosyć tego! Gdzie jesteś?! Pokaż się wreszcie!

Psie wargi unoszą się do góry i odsłaniają oślinione kły, które w mdłej poświacie księżycy

nabierają sinawego odcienia. Wolę nie wiedzieć, do czego są zdolne. Gdy warczenie przybiera na sile, zaczynam się obawiać, czy zaraz nie przerodzi się we wściekłe ujadanie. Aby zapobiec nieuchronnie nadciągającej hałaśliwej kanonadzie, kładę dłoń na potężnym kudłatym łbie i delikatnie dociskam.

– Spokój.

Działa. Pies, o dziwo, przystaje na ten rodzaj dominacji, bo groźne zębiska szybko znikają za zamkniętymi wargami, a gardłowe pomruki niezadowolenia ustają. Jakby ze wstydu, że stracił nad sobą kontrolę, robi kółko wokół własnej osi, po czym grzecznie z podwiniętym ogonem siada pod drzewem. Jestem mocno zaskoczony, nigdy wcześniej tego nie robiłem, nie dotykałem go w ten sposób i nie wpływałem na jego zachowanie. W naszej relacji aspekt cielesny sprowadzał się do kilku mokrych liźnięć po mojej dłoni. Do tej pory nawet nie przyszło mi do głowy, by wydawać mu jakiegokolwiek komendy nie będące po jego myśli.

– Przyjdę pożegnać się przed wyjazdem.

Niespodziewanie biały strumień z latarki, niczym miecz laserowy, strzela tuż nad moją głową. Zapobiegawczo, uprzedzając ciągnące się za nim pokrzykiwania, wołam pierwszy.

– Już idę, mamo!

Plaża. Razem z tatą, znieruchomiali na leżakach, chłoniemy gorące promienie niczym ciepłolubne jaszczurki. Już od rana robimy zapasy słońca, jakby media obwieściły, że od jutra ma być wyłączone. Rejs pontonem po okolicznych szuwarach i mieliznach mamy zaliczony. Wędkowanie na otwartym akwenie też. Nie ma jeszcze południa, a mama już szykuje smakołyki na grilla. Skąd takie tempo? Sprawa jest prosta – koniec urlopu. Chcemy wykorzystać ten dzień do jego ostatniego tchnienia. Wieczorem opuszczamy to uroczysko. Plan zakłada wyjazd w okolicach dwudziestej i dotarcie na miejsce do Katowic trochę po północy.

Patrząc w niebo i próbując rozszyfrować kształty ukryte w białych cumulusach, myślę, jak mimo wczorajszej bury i definitywnego zakazu ostatni raz spotkać się z moim czworonożnym kumplem. Mam dla niego coś wyjątkowego – *spécialité de la maison*. Podprowadzony soczysty kawałek karkówki czeka już w bezpiecznej kryjówce. Na szczęście tato zrobił większy zakup mięsa, więc jestem przekonany, że jego niewielki ubytek pozostanie niezauważony.

Nagle kątem oka, na lewo od mojego leżaka, rejestruję jakieś poruszenie. Przepelnione lękiem powietrze drga ciężko. Słysząc pisk i odgłos tłuczonego szkła. Unoszę głowę i spoglądam na nieruchomą mamę wrośniętą w rozgrzany piasek niczym palma na pustyni. U jej bosych stóp walają się rozbite słoiki z musztardą i sosem barbecue. Dygoczącą rękę wyrzuca przed siebie,

próbuję złapać oddech i coś powiedzieć.

– Marek, co to...? Co tam jest?

Zanim tato zdąży zareagować, mój wzrok już wędruje wzdłuż jej ramienia przez dłoń i wyprostowany palec. Drżący drogowskaz wskazuje jednoznacznie na psa. Co tam na psa. Na widzianą, jej oczami, groźną bestię stojącą kilkadziesiąt metrów przed maską kampera.

– Spokojnie, mamó. Nic ci nie zrobi.

Powoli opuszczam nieckę leżaka. Pies stoi gdzie stał i patrzy na mamę. Dyszy ciężko, z pyska zwisa mu jęzor, ale się nie rusza. Idę w jego stronę. Dopiero teraz w świetle dnia pierwszy raz widzę w pełni, jak naprawdę wygląda. Obraz zaskakuje swoją odmiennością. Słońce bezlitośnie pali na popiół utkane w mroku nocy wyobrażenia o przerażającym stworzeniu. Nic bardziej mylnego. Na piasku stoi opuszczona przez świat, bezradna, zaniedbana znajda. Zatrzymuję się przed nim. Trzy donośne szczeknięcia płoszące parę kormoranów z jeziora odczytuję jako powitanie.

– Cześć. Co tu robisz?

W odpowiedzi widzę psi ogon oddalający się ku wodzie. Jego właściciel cumuje nad brzegiem jeziora i zachłannie zaczyna z niego chleptać. Zrozumiała sprawa, tłumaczę sobie, dzisiejszy dzień nie należy do chłodnych, raczej do tych z kategorii „greckie słońce na polskim niebie”. Każdy jest spragniony, a tym bardziej, kiedy ma na sobie tak grube futro. Ale, na psa urok, nie mógł napić się w innym miejscu? Po co wystawiać się na strzał w biały dzień i pokazywać rodzicom? Mieliliśmy przecież spotkać się wieczorem.

– Więc to jest ta psinka, dla której od kilku dni podbierasz prowiant?

Tato wyrasta za moimi plecami, jego ciężka dłoń zaciska się na moim ramieniu. Czuję się jak trzynastoletni przestępca z dickensowskiego świata, postawiony przed wymiarem sprawiedliwości.

Nie wiem, czy mam potwierdzić, czy łąać. Czy mój rodzic w ogóle oczekuje odpowiedzi na to pytanie? Nie mam nawet pojęcia, co powiedziała mu mama. Nie chcę się wygłupić, dlatego milczę.

– Wygląda jak siedem nieszczęść. Nie bój się, Beatko! Możesz podejść! Zdaje się być niegroźny!

Mama póki co nie jest zainteresowana nowymi znajomościami, pierwsze emocje nie wietrzeją za szybko. Pochyla się nad zmasakrowanymi słoikami i ostrożnie, jakby wykonywała jedną z prac Kopciuszka, wybiera kawałki szkła z szarego piasku.

Pies po zaspokojeniu pragnienia dołącza do naszej dwójki. Jestem zaskoczony jego manierami. Siada przed nami, po czym ponownie wydaje z siebie powitalny szczek, tym razem ewidentnie skierowany do taty. Ten odsuwa mnie na bok i pochyla się przed nim z wyciągniętą

ręką.

– Zobaczmy, coś ty za jeden. Daj łapę.

Odpowiedź jest błyskawiczna. Włochata kończyna strzela do przodu i znika w zaciśniętej dłoni. Tato jest pod wrażeniem.

– Mądrała z ciebie. Co, kolego?

Głośne potwierdzenie wyskakuje na świat z wnętrza pyska. Po nim zachodzi coś, czego bym się w życiu nie spodziewał. Solowy pokaz najwymyślniejszych psich wygibasów i piruetów. Pies najpierw kręci się w kółko, jakby chciał capnąć swój ogon, a już za moment obskakuje nas i płąsa między nami. Cały czas radośnie przy tym ujada. Jego ogon w tym czasie żyje własnym życiem, niczym zasilany na baterię lata nieprzerwanie na wszystkie strony. Zwierzak jest nie do poznania, takie zachowanie widzę u niego pierwszy raz. Chwilę później moje zaskoczenie wzrasta, kiedy kładzie się na piasku i turla na boki. Tato stoi urzeczony owym widokiem, wiem, że pies już go kupił.

– Świetny psiak, jaki spryciarz. Tylko strasznie brudny. Chyba łąził po jakichś mokradłach.

– Mógłby wykapać się w jeziorze. Aż tu czuć, jak zajeżdża szlamem.

Mama pojawia się obok nas i chowając za plecami taty, przygląda się wybrykom psa. W naszym towarzystwie czuje się odważniejsza. Nie jest źle. Pierwsza fala strachu, która ją sparaliżowała, zdecydowanie straciła już na sile. Podchwytuję jej pomysł i wrywam się do jego realizacji. Tato wspiera mnie w tym przedsięwzięciu.

– Mogę to zrobić.

– Co? Wykapać go? Znakomita myśl.

– No wiesz, Marek. Nie jestem pewna, czy to bezpieczne.

– Bez obaw, Beatko. To fajny pies. Szkoda, żeby biegał taki uświniony.

– Nic się nie stanie, mamusiu. Będę uważał.

– Zgoda, Tomek. Tylko ostrożnie.

Zielone światło od mamy sprawia, że już po chwili stoję zanurzony po kolana w wodzie.

Gwizdnięcie skutkuje, pies przestaje błaznować i z zaciekawieniem zerka na moje poczynania w jeziorze. Biję rękami o granatową taflę i zachęcająco macham. Na szczęście bez problemu daje się skusić na taką atrakcję. Podrywa się w sekundę, po czym rozpędzony niczym pocisk wpada do wody, tłukąc jej lustro.

Polewanie poklejonej sierści daje znikomy efekt kosmetyczny. Błoto ledwo chce się rozpuścić. Wpadam więc na bardziej ekstremalny pomysł. Zanurzam się głębiej w toń jeziora, gdy tracę grunt pod nogami, zaczynam płynąć na plecach i przywołuję psa. Waha się przez chwilę, z dystansem podchodząc do tego zadania. Pierwsze kroki stawia z wyczuciem, a kiedy w końcu woda zagarnia jego potężną sylwetkę, na powierzchni pozostaje tylko czarny łeb. Płynie w moją

stronę jedynym znanym sobie stylem, miarowo przy tym oddycha i przebiera łapami pod wodą. Widać, że pływak jest z niego nie lada. Nie wypuszczamy się za daleko w głąb, nie chcę denerwować rodziców kibicujących nam z brzegu. Robimy więc małą rundkę wzdłuż jego linii, dobijamy do kępy szuwarów, zataczamy łuk, by tą samą drogą powrócić na start.

Po wyjściu z wody pies dokładnie się otrzepuje. Fontana niespodziewanie wystrzelonych z długiej sierści strug wody wywołuje piski i śmiechy. Okazuje się, że potrzebował tej kąpieli jak grubas diety. Podziałała na niego naprawdę ożywczo, sierść nabrała blasku i objętości. Frędzle błota są wyłącznie wspomnieniem, a co za tym idzie również przyklejone do nich liście i igliwie. Zwierzę stoi spokojnie, kiedy rozplątuje mu kołtuny i wyciągam z nich drobne fragmenty lasu. Kolejny raz wprowadza mnie dzisiejszego dnia w osłupienie. Lecz nie tylko ja jestem zaskoczony; rodzice dzielają moje odczucia.

- Proszę, co za przemiana, przyznasz, Beatko?
- Od razu inaczej wygląda. Niczym nowo narodzony. Czysty i schludny.
- Racja. Fryś jak się patrzy

Nie wiem dlaczego, ale owo słowo „fryś”, oznaczające w jednym z regionalnych śląskich dialektów „świeży”, szczególnie przypada mi do gustu. Z rzuconego ziarna szybko kiełkuje pomysł.

- Właśnie, tato. Nazwijmy go Fryś.
- Śmieszne imię, ale pasuje do niego.

Dokonuję prezentacji z zachowaniem etykiety godnej królewskiego dworu. Najpierw wskazuję dłonią na psa.

- Mamo, tato. Pozwólcie, że wam przedstawię. To jest Fryś.
- Cześć, Fryś. Miło nam.

Analogicznie zmieniam przedstawiane strony.

- Fryś. To jest mama i tato.

Szczeknięcie, które zawisa w powietrzu, daje do zrozumienia, że zwierzę aprobuje tę ceremonię.

- Patrzcie, jaki mądry. Przedstawił się.
- Nie inaczej, synu. I skąd ty żeś się, Fryś, wziął, co?

Tato nie ma obaw przed jego pełną zębów paszczą i swobodnie klepie go po łbie. Mierzwi mu sztywną czuprynę oraz drapie za uchem. Pies ufnie poddaje się działaniu ludzkiej dłoni.

Przyjmuje pieszczoty z wdzięcznością, podczas gdy tato próbuje poddać go ocenie.

– Wygląda na kaukaza. Tylko jest strasznie zabiedzony. Ma chyba z dziesięć kilo niedowagi.

Dzienne światło ponownie odkrywa przede mną tajemnice psiego wyglądu. Fryś jest mocno wychudzony. Mimo że ma potężną posturę, jego zapadnięte boki oraz wystające żebra są widoczne

i nawet odświeżona sierść nie jest w stanie tego ukryć. Mama podłapuje temat żywieniowy, natychmiast załącza jej się system karmienia.

– W takim razie najwyższa pora coś przekąsić. Mareczku, rozpal grilla, a ja skończę przygotowywać jedzenie. Tomek, pomóż tacie.

– Za momencik. Zaraz wracam.

– Gdzie ty znowu lecisz?

Jak na skrzydłach biegnę w stronę lasu. Fryś pędzi za mną. Nie przypuszczałem, że dzisiejsze spotkanie z nim będzie tak wyglądało. Ale nie ma tego złego. Cieszę się, że rodzice bezproblemowo do tego podeszli i zaakceptowali jego obecność.

Padam na kolana przed jednym z porastających obrzeża plaży krzewów jałowca, by wykopać mały dołek. Odrzucony na bok piasek odsłania skrywany sekret zawinięty w przetłuszczony papier. To właśnie tutaj wcześniej rano ukryłem wieczorny posiłek dla psa. Zabieram zdobycz i migiem wracamy do kampera, gdzie osmolony ołtarzyk każdego fanatyka pichcenia na powietrzu już nieśmiało dymi. Mama chwilę patrzy z dezaprobatą na pakunek, który chowam za plecami, po czym wybucha śmiechem. Fryś przyłącza się do niej i ujada jak szalony.

Na ruszcie ląduje wszystko, co nam zalega w lodówce. Poza paroma warzywami zawiniętymi w folię aluminiową są to głównie pozostałości wszelkich mięs: kiełbasy zwyczajnej, kaszanki i boczku. Nawet kilka kurzych skrzydełek i udek znalazło tu swoją „grzędę”. Honorowe miejsce zajmują naturalnie plastry świeżo zakupionej karkówki. Jedzenia, jak na naszą trójkę, jest sporo, decydujemy więc, że jak ucztować, to na całego i pies oprócz odkopanej karkówki dostanie jeszcze laskę zwyczajnej, udko i dwa skrzydełka. Wypas, mam nadzieję, że nie pęknie.

Grill upływa w sielskiej atmosferze. Żartujemy, śmiejemy się i do granic możliwości niezdrowo napychamy się mięsem. Co innego Fryś. Ten jest w kulinarnym edenie, ledwo zdąży zjeść jedną porcję, na ziemi obok niego, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pojawia się nowy kawałek. Oczywiście nie wybrzydza, tylko zasysa wszystko jakby w przełyku miał zainstalowaną rurę od odkurzacza. Dbamy, by to były też jego niezapomniane chwile.

Tato jest mega rozluźniony. Do takiej wyzerki nie może sobie odmówić zimnego browarka.

Piorunujące spojrzenie mamy zbywa argumentem, że za kilka godzin, do wyjazdu, wszystko wywietrzeje. Z Frysiem, za sprawą nie mam pojęcia jakich sił, dogadują się doskonale. Wspólny język odnaleźli zwłaszcza przy aportowaniu, gdzie tato wręcz spełnia się jako miotacz, a pies jest niezastąpiony w łapaniu wyrzucanego w powietrze kija.

Nie wiadomo kiedy, na takich i podobnych zabawach schodzi nam całe popołudnie. Czas płynie nieubłaganie. Godzina wyjazdu wisi nad nami. Niebawem trzeba będzie przerwać tę sjęstę i zacząć pakować graty. Póki co jest tak wesoło i przyjemnie, że żadne z nas nie odważy się zrobić tego pierwsze. Niestety, nic nie trwa wiecznie, bolesny moment nadchodzi szybciej, niż byśmy tego

chcieli. Wreszcie ktoś łamie cichą umowę i rzuca hasło do odwrotu. Z ciężkim sercem niszczyliśmy naszą idyllę. Tato bierze się za pakowanie grilla, mama zbiera sztuce i kubki ze stołu, ja składam leżaki.

Fryś na taki stan rzeczy markotnieje. Kręci się bez celu pomiędzy nami i widzę, że zaczyna zachowywać się nieswojo. Jakby miał rozeznanie, że w tej krzątaninie dla niego nie ma miejsca. Zbędny balast, którym pewnie nie raz już był. Wie, że za niedługą chwilę znów pozostanie sam, skazany na siebie i parszywy żywot. Lecz nie skomli, nie prosi o dary od dobrego losu. Godność, która stoi za tą wiedzą, każe usiąść mu w jednym miejscu i cierpliwie czekać na dalszy rozwój wypadków. W tej sytuacji nie widzę innego wyjścia, to ja muszę być siłą sprawczą, która odmieni jego byt. Przeladuję bazookę i walę do moich rodziców z grubej rury, bez ostrzeżenia.

– Weźmy Frysia ze sobą do Katowic.

Obydwoje jak na komendę przerywają swoje czynności i zastygają w bezruchu niczym potraktowane ciekłym azotem żyjątko. Mama odtaja szybciej.

– Żartujesz sobie, prawda?

– Zobacz, jak mu z nami dobrze. Niech u nas zostanie.

– To niemożliwe. Pewnie należy do kogoś z pobliskiej wsi, tylko musiał urwać się z łańcucha.

– Właśnie, pora zdjąć mu z szyi to żelastwo.

Gwiżdżę na psa. Podnosi się ciężko i rusza w naszą stronę wolnym krokiem. Jak skazańcowi znającemu swoją przegraną sprawę, nieśpieszno mu do zapoznania się z wyrokiem. Kiedy podchodzi, odpinam mu skórzaną obrozę z dyndającym fragmentem stalowego łańcucha.

Wspomnienie minionego czasu ciskam do worka na śmieci.

– Jestem pewna, że właściciel już go szuka.

– Tylko nie może znaleźć. Mówiłem ci, że jest bezpański. Od połowy tygodnia dzień w dzień kręci się koło naszego obozu. Mamo, plis, plis, plis.

– Przestań używać tego skomlącego tonu. Nie ma mowy.

– Dlaczego?

– Po wakacjach zaczynasz ósmą klasę. Wiesz, że będziesz zavalony nauką, potem czekają cię egzaminy do szkoły średniej. Nie jestem przekonana, czy dodatkowe obowiązki są ci potrzebne i czy im podolasz.

– Obiecuję, dam radę ze wszystkim. Będę się uczył i będę się nim opiekował. Nie zawalę. Proszę.

W tym momencie staje się rzecz niebywała. Fryś postanawia przełamać swoją dumę i robi coś niesamowitego. Pokonuje niewielki dystans dzielący go od mamy i angażując w to swój różowy język, przyłącza się do mych jęklanych próśb. Najpierw pisk przerażenia wyrywa się z maminych

ust, gdy mokry ślad zostaje na jej ręce. Zaraz potem, kiedy wielki łeb potraça opalone nogi, przyciska się do nich i zahacza wilgotnym nosem, zastępuje go nieśmiały chichot.

- Fryś, co robisz? Przestań już.
- Widzisz, mamó. On też cię prosi. Zgódź się.
- No nie wiem. Marek, powiedzże coś wreszcie. Jak to widzisz?

Milczący do tej pory tato otwiera usta, na których błąka się lekki uśmieszek. Ze smakiem delektuje się ostatnimi okruciami urlopu. Patrzę na niego i wiem, że jest w świetnym humorze. To szansa dla naszego duetu. Odstawia rozmontowanego grilla i zbliża się do mamy. Uśmiecha się szeroko, całuje ją w policzek, a psa tarnosi za uchem. Zastygam w oczekiwaniu. Od jego słów zleży wiele, jeśli nie wszystko.

– A co tam, zabierzmy go. Stać nas na jeszcze jedną głębę do wykarmienia. Będzie dobrze, zobaczysz.

Nie wierzę w to, co słyszę, choć właściwie na taką decyzję liczyłem w duchu. Klamka zapadła. Mama macha ręką na znak kapitulacji i podsumowuje czekającą ją przyszłość.

- Świetnie, kolejny samiec w domu.

Z radości skaczą do góry jak Masaj, po czym w dzikich płasach obtańcowuję moich rodziców i rzucam się im na szyję. Entuzjastyczne krzyki lecą wprost pod nieboskłon.

– Jesteście kochani! Dziękuję wam! Słyszysz, Fryś?! Zostajesz z nami! Jedziemy razem do Katowic!

Pies natychmiast idzie w moje ślady. W jednej sekundzie całe napięcie go opuszcza. Pełnią serca daje upust kotłującym się w nim emocjom. Jak na sprężynach wybija się na wysokość mojego wzrostu i zajadle przy tym szczeka, lecz ujadanie to przepełnione jest szczęściem oraz wdzięcznością.

- Spójrzcie, jak się cieszy. Jakby wszystko rozumiał.

Podekscytowany zwierzak biega wokół nas i nie może się uspokoić, a kiedy w końcu to robi, to tylko na chwilę, bo w zanadru chowa coś specjalnego – gwóźdź programu. Z miejsca, gdzie stoi, bierze mocny rozpęd i jak wypuszczona z łuku strzała leci w stronę kampera. Co on robi? Zderzenie z samochodem zbliża się nieuchronnie, gdy niecały metr przed nim pies wyskakuje w górę, tylnymi kończynami odbija się od ściany pojazdu, a następnie robi w powietrzu salto do tyłu i ląduje na czterech łapach. Ledwo dociera do nas, jakiego występu przed momentem doświadczyliśmy, a już powtarza tę samą kombinację. Bierze rozpęd i skacze. I znowu. I jeszcze raz. Oniemiali nie możemy wyjść z podziwu. Bijemy mu brawo.

- Patrzcie jaki z niego zdolniacha.
- Prawdziwy akrobata.
- Dokładnie, Fryś Cyrkowiec.

Mimo późnej pory sen szerokim łukiem omija wieś Zabrodzie. Jej mieszkańcy dzisiejszej nocy i tak nie zasną normalnie. Spływającą czerń burzą niebieskie i czerwone światła migających kogutów dwóch policyjnych radiowozów oraz karetki pogotowia. We wsi jest trup.

Zbici w rozszepcany tłumek zabrodzianie gromadnie zalegają przed płotem jednego z gospodarstw. Napięcie, które im towarzyszy, jest podobne do tego, jak podczas noszenia po domach Świętego Obrazu. Żarzące się ogniki papierosów to na przemian gasną, to rozpalają się na nowo. Ktoś zanosi się suchym kaszlem, ktoś wyklóca o miejsce. W powietrzu wisi ciężka zasłona tajemnicy, której rąbka próbuje uchylić Maniek Śłotała zwany Bimbrem. To on otoczony wianuszkiem ciekawskich twarzy samozwańczo podjął się roli „najlepiej poinformowanego w całej wsi”.

– ...ponoć z tydzień mógł tam leżeć, a może i dłużej. Soboniak go znalazł pod wieczór, jak poszoł do niego po tyn... No, po... Zresztą niech sam wam opowie.

Bezradny Bimber momentalnie staje na palcach i rozgląda się ponad głowami gapiów.

Skoncentrowany namierza cel. Jest, widzi go. W przyciasnej kraciastej marynarce stoi na uboczu oparty o przydrożną lipę i skręca tytoń w kawałek gazety. Śłotała macha do niego i przywołuje krzykiem.

– Heniuś, chodź no tu do nas! Opowiesz, jak było!

Żyłasty mężczyzna odpala kopciucha i niechętnie odkleja się od drzewa. Powoli, jakby z rozmysłem człapie w stronę gromady. Długie nogi obute w gumofilce unosi śmiesznie do góry i stawia niczym bocian. Tłumek rozstępuje się przed nim jak przed Mesjaszem i robi mu miejsce obok Bimbra.

– Mów, Heniuś, po co żeś poszoł do Bachledy i jak żeś go znalazł? Gadoj nam tu, jak to było?

– No, a jak miało być? Położył zem po gwintówkę, bo mi się jeden rudy skurwel zaczął do kur dobierać i mus go odstrzelić. Łaże ci pod chałupą Bachledy, nawołuje go, szukom po obejściu, nic, kamień w wodę. Ale widze drzwi od stodoły otwarte. Wlazuje, a tam Bachleda leży gębą do podłogi, sztywny jak dyszel u woza. Pijany, myślę. Wołam: Bachleda wstawej! A on nic, ani drgnie. To leze do niego, muchów to się od razu cała chmara zerwała, jak zem ino podszedł. Chwytam za ramię, a smród taki, że nie idzie wytrzymać. Serce to mało kapoty mi nie rozerwało, tak waliło. Ale nos zatykam, odwracam na plecy i co? Oczom własnym nie wierze. Kałuża zaschniętej juchy na deskach, a Bachleda zimny trup. Widać, że długo już nie dycha. Cały na gębie siny, a usta ma czarne jak węglem umazane. W ślepiach strach taki zatopiony, jakby diabła obaczył. Głowe jakoś tak rękami zasłania, ale to na nic, bo gardło u niego fest rozharatane. W szyi zionie mu wielgachno

czarno dziura, pełna białych larwów. To co żem miał robić? Położyłem do sołtysa, co by po policje dzwonił. I tak to było, prosze ja was.

Po skończonej opowieści pod płotem robi się gwarno jak w ulu. Jedni obnoszą się włosami stojącymi dęba, inni ciarkami łażącymi po krzyżu. Dialogi niestroniące od podejrzeń pełne są męskich przekleństw i babskich lamentów. Pośród krążących domysłów góruje przekonanie, że to pewnie jakiś wampir grasuje w okolicy i strach będzie teraz z domu wychodzić. Te ostatnie spekulacje szybko rozwiewa Soboniak.

– Jak mnie policjanty przepytowały, to żem słyszał tych doktorów, co się kręco po stodole. Jeden drugiemu gadoł, że to musowo jakiś zwierz zębami tak Bachledę potar mosił. A juchy, co to z niego dwulitrowy garniczek uszedł, to połowe wychłęptał.

– Zwierz mówisz, Heniuś? A Cygan to był przy budzie, jak żeś po obejściu łaził?

– Ni cholery żem go nie widzioł. Prawda, coś tak za cicho tam było. Zawsze przecie ujadół jak kto gupi.

– No to już wiadome, co to się podziało. Pies zerwał się z łańcucha i zagryzł Bachledę. Jasna sprawa.

Bimber dumnie wypina pierś do przodu, jakby za moment miał tam zawisnąć zasłużony order za wskazanie winnego tej straszliwej zbrodni. Odznaczenie się jednak nie pojawia, wybucha za to dysputa na iście sądową skalę. W kontrze do werdyktu część głosów opowiada się w obronie oskarżonego.

– A co się, ludziska, dziwujecie? Tak to musiało się skończyć.

– Racja. Odkąd dwa lata nazad, jak go Bachleda wygroł w karty od Ruska z cyrku, to nic ino wzion tego Cygana na łańcuch i loł ile wleżło.

– Zły to był człowiek.

– Głupoty gadacie, kumo. Zły to się stał, jak żonę pochował i pić na umór zaczął.

– I widzita, doigrał się. Dostał za swoje. Tak mu się ta bestia pięknie odwdzięczyła.

– A jak się tu gdzie teraz po wsi kręci i jeszcze co komu robi?

– Trza będzie uważać, żeby dzieciaków nie pogryzł.

– Pewnikiem już go u nas nie ma. Maciaszek niedawno, bedzie parę dni temu, na tym dukcie, co na mokradła prowadzi, widzioł ślady wielkich łap. Gadoł, że to młody niedźwiedź, a to musioł być ten czort.

– Jak polecioł na bagna, to musowo się utopił.

– Oby tak było. Mówio, że jak pies ludzkiej juchy posmakuje, to ino za nią patrzy. Groźny się robi i człowieka się nie lęka.

– Co to za zbiegowisko?! Rozejść się!

Niespodziewany krzyk strzela w niebo jak salwa i płoszy zgromadzonych mieszkańców

niczym stado gołębi. W pośpiechu odskakują od głównej bramy, czmychają na boki, robiąc przejście dla władzy. Z podwórka w ciemną noc, w otoczeniu błyskających kogutów, wyrusza mała procesja. Ubrani w jaskrawe uniformy sanitariusze w asyście granatowych policjantów korygujących falujący tłum dźwigają nosze do karetki. Lekki wietrzyk nieśmiało napina biały żagiel prześcieradła okrywającego zwłoki Bachledy.



ŻÓŁTA KOKARDA

Antoni Nowakowski

– Kończyć śniadanie, zbierać się. Tempo! – Günther Kluge zerknął na zegarek. – Za kwadrans wyruszamy, a trzeba jeszcze zęby wymyć. Niemcy zawsze świecą kulturą osobistą, zwłaszcza tutaj, na tym przedpolu Europy. Rolf nakarmiony?

Helmuth Vogel, przewodnik psa tropiącego i zwiadowca, potakująco pokiwał głową.

– Dostał dobrze wygotowaną koninę z kaszą, wszystko okraszone zestawem warzyw – stwierdził z uśmiechem. – Tak mu smakowało, że turlał micę przez pół godziny, wylizując resztki. Osiem godzin służby, trzeba zrobić dwie przerwy, żeby psisko odpoczęło.

Wyraźnie zaakcentował ostatnie zdanie. Helmuth kochał zwierzęta i często godzinami opowiadał o psikusach drugiego ulubieńca, kocura Fuchsa. Za zgodą dowództwa kompanii trzymał go w kwaterze mieszkalnej sekcji Günthera.

Rolf i Fuchs, nazwany tak od płomieniście rudej sierści, lubili się, bo od maleńkości wychowywali razem. Wilczur zajadle szczeakał na swoich pobratymców, jeżył sierść i szczyrzył kły, gdy jego towarzyszy bezczelnie spacerował przed zwierzęcymi klatkami, znacząc obecność częstym sikaniem. Dawał znać, że stanie w obronie kociego przyjaciela.

Vogel był niewysoki i bardzo szczupły. Wyglądał młodzieńczo niczym niedorostek, wcale nie na swoje dwadzieścia cztery lata. Może z tego powodu przyłgnęło do niego przezwisko „Wróbelek”. Nie obrażał się, chociaż twierdził, że lepsze byłoby określenie „Krogulec”.

Kluge przyznawał mu rację. W ciele Helmutha trudno byłoby znaleźć gram tłuszczu. Wszędzie skórę wypychały twarde jak stal mięśnie. W plutonie szanowano Vogla – wyuczył już kilkanaście psów, doskonale się sprawujących i bardzo pomocnych w służbie. Ale nie to było najistotniejsze. Anielsko uśmiechający się blondynek penetrował podziemne tunele, podkładał ładunki wybuchowe, a potem je odpalał. Działał przy nikłym świetle latarki, żeby nie zdradzać swojej obecności, bo za każdym załomem mogła czaić się grupka Czerwonych Fanatyków, bez wahania oddających życie, żeby wysłać na tamten świat jednego z żołnierzy Zjednoczonej Europy. Równie sprawnie kierował robotami saperskimi, bez mrugnienia okiem uruchamiając detonator, gdy przychodził rozkaz „Rozwalić emigrantów! Stanowią zagrożenie!”.

Zwiadowca niejednokrotnie opuszczał oddział, w niewielkiej grupie udając się na rekonesans terenów po drugiej stronie linii zapór.

Przynoszono ciągle te same wiadomości.

Liczne grupy ludzi, przeważnie kobiet i dzieci, koczowały w pośpiesznie wzniesionych, nędznych chałupinach. Było też sporo starszych mężczyzn. Wszyscy trwonili czas na beczynnym oczekiwaniu. Pola uprawne zarastały zielskiem – nikt się nimi nie zajmował. Często śpiewano smętne pieśni. Równie często odprawiano jakieś uroczystości, zapewne religijne nabożeństwa.

Nadal wśród uciekinierów kręcili się młodzi mężczyźni i dziewczyny, porządnie ubrani, wyglądający na sytych. Często przemawiali. Łatwo było ich rozpoznać – nosili ładne czapki, niekiedy baranie papachy.

Dobrze wiedziano, że są emisariuszami Czerwonych Fanatyków. I ze przygotowują kolejny szturm. Starsze kobiety i mężczyźni nierzadko odgrywali rolę „żywych torped”. Ciała

tych nieszczęśników, już u schyłku życia, oblepiały ładunki wybuchowe. Poświęcili się, żeby zrobić wyłom w granicznych zasiekach i polach minowych.

– Nic się nie zmienia... – nieodmiennie konstatował potem hauptmann Brise, komendant oddziału. – Zdychają z głodu, zżerają ich choroby, więc mają jeden cel – przedostać się do Zjednoczonej Europy. Do naszego Eurolandu. Niekiedy im się to udaje... Czujność, chłopcy!

Nigdy nie zapominał przypomnieć czegoś, o czym i tak wiedzieli jego podkomendni.

– Tym wszarżom potem pracować już się nie chce. Zasiłki tak, kwatery i darmowe leczenie tak. Urządzenie całych dzielnic i wsi po swojemu – tak. Ale robota dla dobra wielkiej Europy – już nie. Gdyby mogli, z rozkoszą poderżnęliby nam gardła.

Niebawem zwiadowca miał objąć stanowisko dowódcy plutonu rekonesansowego. Czekał tylko na egzamin z języka – musiał swobodnie porozumiewać się z mieszkańcami ziem po drugiej stronie granicy. Vogel twierdził, że mowa tuziemców robi wielkie wrażenie swoją poetyckością i wspaniałą, trudną do opanowania melodyką. Przyznawał, że ją polubił.

Teraz Helmuth nałożył sobie na pajdę razowca z podgardlanką sowitą porcję chrzanu. Przełknął kęs i chrząknął z zadowoleniem.

Reszta dziesięcioosobowej sekcji pośpiesznie pałaszowała śniadanie. Kantyna świeciła pustkami – pozostała część kompanii skończyła poranny posiłek.

Żołnierze drużyny Günthera wcale nie zaspali. To było niemożliwe. Ostry dźwięk trąbki sygnałowej, przenoszony przez głośniki, podrywał na nogi nawet największego śpiocha. Po prostu poruszali się wyjątkowo ospale i spożywali śniadanie bardzo wolno. W nocy świętowali drugą rocznicę przybycia na ten odludny odcinek. Sznaps i piwo lały się obficie, a wspominkom o tym, jak powstrzymywali napór uchodźców, o ich desperackich wysiłkach, żeby przedrzeć się na drugą stronę wysokich kłębów drutu kolczastego, nie było końca.

Dopiero teraz dochodzili do siebie. Pozostawał jeszcze do zjedzenia twarożek z cebulką i pyszny dżem ze świeżej dostawy.

– Rolfowi należy się medal. – Jürgen Kowalski, snajper, po długiej chwili milczenia nawiązał do wypowiedzi Helmutha. – Wykryliśmy tyle tych pieprzonych podkopów i podziemnych przejść... Saperzy je wysadzają, ale te insekty ciągle się pchają. Mają swoje miejsce do życia, ale nie, wyciągają ręce po darmowe.

Przerwał, żeby wybrać sobie słoik z konfiturą.

– Paręnaście lat temu załatwilibyśmy sprawę w okamgnieniu – kontynuował po chwili milczenia. – Niepotrzebnie złagodnieliśmy... Zobaczycie, że ta łaskawość kiedyś odbije się nam czkawką.

Ze smakiem oblizał łyżeczkę. Lubił słodkości.

Kowalski pochodził z Bawarii, miał pięciu braci i był praktykującym katolikiem. Jego ojciec prowadził wielką farmę. W przesyłanych systematycznie infowieściach zdawał najstarszemu synowi dokładne relacje z jej stanu. Przypominał, że po zwolnieniu do rezerwy Jürgen przejmie jej prowadzenie.

Raz w tygodniu Jürgen żarliwie się modlił, prosząc Boga o opiekę nad sobą i towarzyszami broni. Nad pryczą powiesił obrazek z Matką Boską. Kiedyś poświęcił pół dnia na poszukiwanie komunijnego medalika. Zawieruszył się podczas pobytu w łaźni.

Tolerowano dziwne zachowanie Kowalskiego, bo świetnie strzelał i nigdy nie wahał się nacisnąć spustu. Wysyłał na tamten świat ludzi w czapkach, niezależnie od tego, czy byli to mężczyźni, kobiety, czy młode dziewczyny. Wśród Czerwonych Fanatyków wcale nie stanowiły rzadkiego zjawiska.

Günther ponownie sprawdził godzinę. Wstał.

– Koniec jedzenia! – zakomenderował. – Wymyć zęby i zbiórka na placu! Biegiem! Nie mam zamiaru zbierać opierdolu od hauptmanna!

Wszyscy żołnierze posłusznie wstali. Kowalski zdążył jeszcze raz oblizać łyżeczkę.

– Postępujemy zgodnie z rozkazami – dodał Kluge, poprawiając ułożenie bluzy maskującej na kamizelce kuloodpornej. Ciągłe używano barwnika feldgrau, bo dobrze się sprawdzał. – Befehl zum Befehl... Wydadzą inne, to je wykonamy. Zbiórka na placu!

Rolf, uwiązany na zewnątrz budynku, szczeknął dwa razy. Dawał znać, że się nudzi.

– Wymarsz o czasie – z satysfakcją zauważył Günther. – Ordnung muss sein... To właśnie nasz niemiecki porządek walnie przyczynił się do stworzenia Zjednoczonej Europy. Pamiętajcie o tym!

Plac apelowy ział już pustką. Jeszcze kilkanaście minut temu zapełniały go szeregi żołnierzy Grenschutzu.

Kluge przez radiotelefon odbierał ostatnie dyspozycje.

– Wykonujemy to, co zwykle – zakomunikował. – Nic się nie dzieje, jednak obowiązuje czujność. Ci nieszczęśnicy są gotowi na wszystko i zrobią wszystko, żeby przejść

na naszą stronę. Mogą wymyślić coś nowego... Kompania interwencyjna i śmigłowce gotowe do akcji. W razie potrzeby wesprą nas. Jeżeli kogoś złapiemy, odstawiamy do obozu przejściowego. Jedna z sekcji rezerwowych przejmie odcinek.

Szparko ruszyli. Rolf zawiadliwie machał ogonem, jakby dawał znać, że to on jest najważniejszy. Pewnie cieszył się, że znowu pokaże, co potrafi jego nieomylny węch, wyczuwający ludzkie ciała pod ziemią.

Kluge czasami zastanawiał się, czy wilczur rzeczywiście nie stał się kluczowym członkiem drużyny. Parę miesięcy temu przestano desperacko szturmować zasieki. Serie z karabinów i parędziesiąt ofiar zrobiły swoje. Emigranci jednak nie ustawiali w wysiłkach – teraz drążyli podkopy.

Już dochodzili do słupów potężnej linii zapór. Günther uważnie obejrzał teren, który emanował spokojem i ciszą, zakłócaną tylko śpiewem słowika wysyłającego w czyste jak kryształ powietrze miłosne trele. Nic się nie zmieniło, zmniejszyły się tylko kępy brzoźek wycinanych na opał i szalunek tuneli, a rozległe połacie burzanów zawłaszczyły większą przestrzeń. Zdawało się, że ta wielka równina w rozświetlającym się promieniami wiosennego słońca poranku oddycha spokojem i ciszą.

Vogel pokiwał głową, jakby wtórował niewypowiedzianym myślom dowódcy.

– Da, wielikaja tiszina... Kładbiszenskaja... – stwierdził z nikłym półśmiechem. – I olbrzymia przestrzeń, kończąca się dopiero nad wodami Pacyfiku. Zapuszczona, cuchnąca brudem i nędzą.

Kowalski poprawił ułożenie karabinu na ramieniu.

– Ojciec w rok stworzyłby tutaj wielkie gospodarstwo – stwierdził rzeczowym tonem. – Pszenica, rzepak, buraki cukrowe... Krowy na mleko i mięso. Najmłodszy brat miałby samodzielne dziedzictwo, a budowanie konglomeratu żywieniowego „Kowalski und Söhne” zostałyby zakończone. A ci zasańcy mieliby zajęcie jako parobkowie.

Ręką wskazał rozległe skupisko bud z desek, odległych o kilkaset metrów. Z nielicznych kominów sączyły się wątle pasemka dymu.

– Ale nie, ich ciężka praca nie pociąga – kontynuował. – Chcą mieć to, co my osiągnęliśmy, ale nie zamierzają się spocić. Nadal żyją swoją głupią ideologią. Niech żrą trawę i zdychają. Im szybciej, tym lepiej. Chryste Panie, taka ziemia leży odłogiem!

Z pogardą splunął na ziemię.

– Befehl zum Befehl. – Kluge wzruszył ramionami. – Nie byliśmy i nie jesteśmy rzeźnikami. Ale masz trochę racji. Koczując blisko, wykopanie podziemnego chodnika przy pracy zmianowej zajmuje niewiele czasu. W tym akurat są dobrzy... Parę salw z moździerzy

– uważnie otaksował odległość do nieodległych, lichych sadyb – załatwiłoby sprawę. Widzisz, jednak trzeba być ludzkim. Nie zabijać bez potrzeby. Jako katolik powinieneś najlepiej o tym wiedzieć.

Z uśmiechem poprawił niedokładnie zapiętą kłamrę wczoraj wymienionego pasa. Nie zdążył jeszcze jej dopasować.

W trzeciej godzinie patrolu Rolf odnalazł zamaskowany wylot podziemnego tunelu. Nikt nie zwróciłby uwagi na mocno rozrosły jałowiec, ale psi węch okazał się niezawodny.

Wilczur położył się obok krzaku i szczekał urywanie, sygnalizując, że wyszukał to, co tak interesowało jego przewodnika.

Sprawdzenie terenu poszło błyskawicznie.

– Czujnik saperski wskazuje, że nie zainstalowano ładunków wybuchowych. – Jeden z żołnierzy uważnie śledził linie migające na ekraniku przenośnego urządzenia. Wszystkie układały się płasko. – Czysto!

Vogel kilkakrotnie przesunął mackę miernika geotermicznego tuż przy ziemi. Potem powtórzył czynność.

– Melduję, cztery obiekty. Dwa silniejsze wskazania wagi, dwa znacznie słabsze. Chyba dzieciaki.

– Albo niezbyt wyrośnięci, zapiekli w swojej nienawiści terroryści. – Günther otarł pot z czoła. Nagle się pojawił. – Odczyt nigdy nie jest dostatecznie dokładny.

Zadowolony Rolf znowu machał ogonem. Pozostali żołnierze celowali w gęstwę zielonych igieł.

Kluge też skierował tam lufę karabinu automatycznego.

– Podkop, szyb z drabiną – ciągnął z namysłem. – Mieli przygotowany ten krzak w jakimś kubie, osadzili u wylotu, starannie zamaskowali. Precyzyjna robota... Kowalski, wrywaj przykrycie! W razie jakiejś niespodzianki walimy długimi seriami! Przygotujcie granaty!

Wyszarpnięty krzew przekoziółkował w powietrzu. Sypała się ziemia, a drewniana donica głucho plasnęła o grunt.

Jednym rzutem oka Günther ocenił sytuację. Wolno opuścił broń.

Młodo wyglądająca kobieta z orlim nosem i układającymi się w ładne pukle ciemnymi włosami nie wyglądała na siepacza Czerwonych Fanatyków, tak samo jak wznosząca błagalnie dłonie starowinka i dwie dziewczynki tulące się do spódnic obu kobiet. Jedna trzymała palec w ustach, druga wcisnęła sobie pod pachę szmacianą lalkę.

Ich ciemne czupryny też się kręciły.

Drabina wyglądała na pospiesznie sklecony przedmiot jednorazowego użytku. Obok niej leżał parciany worek.

Młoda Rosjanka zaczęła szybko mówić. Nieco podniosła głos, żeby być lepiej słyszana. Ciepły alt brzmiał przyjemnie dla ucha.

– Wróbelek, tłumacz! – rzucił Kluge. Przejęty dziwną sytuacją, zapomniał, że Vogel niezbyt lubi swoje przezwisko. – Dokładnie!

Coś w wyglądzie wylewającej z siebie potoki słów uciekinierki budziło jego niepokój. Coś bardzo charakterystycznego, rzucającego się w oczy, cechującego pewną grupę ludzi. Tak jak wszyscy, uczył się o tym w szkole na lekcjach historii i biologii. Także później, w szkole politechnicznej, w której zgłębiał tajniki zawodu odlewnika, z naciskiem przypomniano tezy teorii ludzkich gatunków. Nigdy jednak nie spotkał przedstawicieli tej rasy – to od dawna było niemożliwe.

A teraz w umyśle dowódcy sekcji narastało przekonanie, że do takiego spotkania nieoczekiwanie doszło.

– Nadia Konstantinowna Kirilenko, krawcowa i szwaczka. Umie obsługiwać maszyny. Pracowała w fabryce odzieżowej, ale ją wyrzucili.

Günther pośpiesznie włączył dyktafon. Każda informacja od ludzi zza Wschodniego Wału miała istotne znaczenie. Stale o tym przypomniano.

– Kobieta wyglądająca na babuleńkę to jej matka. Nadia twierdzi, że wcale nie jest taka stara, tylko sterana życiem i pracą. Ma na imię Salomea. Dzieciaki to pięcioletnie bliźniaczki, Judyta i Estera. Musiała uciekać z rodzinnego miasta, bo był tam bunt. Mąż szedł w grupie atakującej miejscowy komitet i zginął.

Przez dłuższą chwilę Vogel słuchał relacji uciekinierki.

– Zaraz potem wywalono ją z roboty – kontynuował po paru minutach. – Nie czekała, co będzie dalej, bo spodziewała się, że postawią ją pod ścianą i rozstrzelają. Jej rodzina

zebrała to, co mogła, i wywędrowała tutaj. Rozproszyli się po drodze. Straciła z nimi kontakt. Uważa, że u nas ona, matka i dzieci nareszcie będą dobrze żyć. Może pracować wszędzie, gdzie ją wyślemy.

Nagle na twarzy zwiadowcy wyraźnie odbiło się zdziwienie.

– Pochodzą z Krasnojarska – dodał. – Kawał drogi przewędrowali. Wszędzie u nich panuje ten sam bajzel. Czego innego można spodziewać się po ludzkich wyskrobkach?

Kluge skrzywił się. Wszyscy uciekinierzy opowiadali to samo, a potem natychmiast zmieniali zdanie. Budowali cerkwie, pili litrami czaj, śpiewali tylko dla nich zrozumiałe pieśni, tańczyli hopaka i karnie ustawiali się po wypłatę zasiłków opiekuńczych. Naśladowali starych mieszkańców Moskwy, Petersburga czy Niżnego Nowgorodu. Tak jak oni, nie asymilowali się. Nie przeistaczali w Europejczyków. Urządzali własny świat, potencjalnie niezwykle niebezpieczny.

Jednak informacja o miejscu zamieszkania rodziny Nadii była bardzo ważna. Potwierdzała to, o czym wiadano, ale co ciągle weryfikowano – w wielkim kraju tuż za wschodnią granicą Zjednoczonej Europy ciągle panował chaos. I nikt nie potrafił go opanować.

– Niech powie, czemu przeszli tylko oni? Kto miał korzystać z tego podkopu?

Güntherowi kolejne pytanie samo zeszło z języka. W kolejce czekało następne. Każdy z dowódców sekcji, plutonów czy kompanii znał na pamięć zagadnienia, o których należało indagować. Potem do zmuśnionych przesłuchań przystępowali oficerowie wywiadu.

– Powiada, że po zmroku miała ruszyć duża grupa. Przekupiła strażników, bo nie była na liście. Złoto i kosztowności nadal są u nich w wielkiej cenie... Już zabierała się do wyważania tego kubła, gdy pojawiliśmy się my. Dziękuję za wykonanie za nią ciężkiej pracy.

Vogel krzywo się uśmiechnął.

– Mówi, że podobała się strażnikowi, więc okazał litość – dodał. – Normalne...

Wszyscy żołnierze wiedzieli, że uciekinierki wiele mogły uzyskać, kupując swoim ciałem.

Kluge chrząknął. To nie była istotna sprawa.

– Powiedz jej, żeby dokładniej opisała sytuację. Nadal szerzy się głód, a oni wzajemnie się wyrzynają?

Odpowiedź trwała długo. Może Nadia coś z siebie wyrzucała, może po raz pierwszy otwarcie relacjonowała to, czego doświadczyła.

– Twierdzi, że bez przerwy toczą się wewnętrzne walki. Rozgrywki, kto obejmie władzę. Po tym, jak zmieciono partię komunistyczną, powoli wszystko się normalizowało. To

wie z opowieści rodziców. Ale bolszewicy przekształcili się w Czerwonych Fanatyków. Zyskują na znaczeniu, jednak z niczym sobie nie radzą. Pragną odwetu, więc skupiają się na przemyśle, nie bacząc, że ludzie mrą z głodu. Wielu buntuje się przeciwko powrotowi dawnego reżimu. Pamiętają, co to było i czym się skończyło. Wielu popiera, bo dyszą żądzą rewanżu za klęskę ich państwa. Ale jest coraz gorzej. Miasta pustoszeją. Ludzie je opuszczają, żeby mieć co do gęby włożyć. Ucieczka do Europy do dla większości jedyne wyjście.

Kluge pokiwał głową. Już nie słuchał słów Vogla – i tak zostaną zarejestrowane, a Nadia i jej matka kilkakrotnie przesłuchane. Musiał o wszystkim powiadomić dowództwo odcinka.

– Śmigłowiec z saperami i sekcją rezerwową już startuje – stwierdził po zakończeniu rozmowy. – Dostaniemy pochwałę w rozkazie za wzorowe pełnienie służby. Vogel, powiedz tym babom, że mogą wychodzić. Przekazujemy ich do łagru przejściowego. Czeka ich dobra opieka...

Pierwsza wyszła Nadia Kirilenko. Jedną ręką obejmowała dziecko przytulone do piersi. Dziewczynka trzymała pod pachą szmacianą lalkę.

Zobaczywszy Rolfa, uśmiechnęła się promiennie. Najwidoczniej widok wilczura przywiódł dobre wspomnienia. Zaraz potem na powierzchnię wydostała się babcia, obarczona drugą wnuczką. Wróciła szparko i wyniosła tobolek.

Nadia, gestykulując, wyrzuciła z siebie znowu kilkanaście zdań.

– Prosi o poniesienie dzieci – bez komendy przetłumaczył Vogel. – Są wyczerpane, a spodziewa się długiego marszu.

Kluge przyzwalająco kiwnął głową.

– Tak, oczywiście – rzucił. – Należy być przecież ludzkim. I tego przestrzegamy.

Kowalski przewiesił karabin snajperski przez ramię.

– Czemu nie? Trzeba być ludzkim – powtórzył z uśmiechem. – I tacy właśnie jesteśmy. Pomodłę się za was po drodze.

Jednym ruchem silnych ramion umieścił dziewczynkę z lalką na barkach. Aż pisnęła z uciechy, gdy chwyciła głęboki okap hełmu.

Teraz, gdy uciekinierki wydostały się na światło dzienne, Kluge obejrzał je dokładnie. Ponownie powróciło poczucie, że spotkał przedstawicieli nieistniejącej już w Europie rasy.

O której niekiedy, w czasach, gdy był jeszcze młodzieniaszkiem, wspominał dziadek, już wtedy siwiuteńki staruszek. Nie posiadali smagłej karnacji skóry, więc nie byli Cyganami. Jednak orle nosy, ciemne jak węgiel tęczęwki oczu, kręcone włosy wyraźnie sygnalizowały, kim mogą być.

Günther po kilku sekundach porzucił bezpłodne rozważania. Wiedział, że w obozie przejściowym wszystko zbadają i wyjaśnią. Załoga łagru wykonywała naprawdę dobrą robotę.

– Nadlatuje helikopter! Wymarsz! – wydał rozkaz. Zarzucił sobie na ramię worek, jedyny dobytek rodziny Konstantinowych. – Idziemy gęsiego, Kowalski na czele! O tak, należy być ludzkim – dodał po chwili, widząc, jak drugie dziecko ląduje na ramionach jednego ze strzelców. – I tacy właśnie jesteśmy.

Dochodzili już do bramy obozu przejściowego.

Wybudowano sieć miejsc przetrzymywania uchodźców. Wszystkie były do siebie bardzo podobne. Długie szeregi baraków mieszkalnych, rozległy plac zbiórek, kuchnie, magazyny, spory budynek łaźni w kącie czworoboku płotów z drutu kolczastego i wież strażniczych. Miejsce zbiorowych kąpeli zwykle szczelnie przesłaniały bujnie krewiące się żywopłoty. W osobnej części lokowano solidne koszary i wille komendantury. Wszystko przedzielały codziennie wygrabiane trawniki, cieszące oko soczystą zielenią wiosennej trawy.

Ten łagier niczym nie różnił się od pozostałych.

Dłoń Günthera bezwiednie wykonała kilka ruchów, akcentując rytm. Uśmiechnął się radośnie. Z głośników rozbrzmiewała operowa muzyka Richarda Wagnera. Bardzo ją lubił, a dawno nie słyszał.

Właśnie rozpoczynał się apel. Szeregi osadzonych, ubranych w pasiaki, stały nieruchomo. Wszyscy wyglądali na otępiały. Niektórzy błogo się uśmiechali.

Kluge nie dziwił się ich zachowaniu. Służba medyczna SS kontrolowała największe koncerny farmaceutyczne, a jej szef, gruppenführer Hans Mengele, już dawno temu poinformował, że do masowej produkcji wdrożono zupełnie nowe specyfiki, stymulujące pożądaną świadomość i zachowanie. Znajdowały szerokie zastosowanie w stosunku do ludzi, którzy jeszcze nie stali się Europejczykami. Nie przemienili się duchowo w Aryjczyków.

Esesmani wolnym krokiem szli wzdłuż szpalerów niedawnych uciekinierów. Co parę kroków zatrzymywali się, sięgali do niesionych przez strażników pudeł i przypinali wybranym osadzonym żółte kokardy.

Kawałki tkaniny wyglądały zwyczajnie, jednak lśniły czystością. Najwidoczniej często je prano.

Günthera przyjął sturmführer Johann Müller. Załatwił wszystko sprawnie i szybko.

– Zarejestrujemy, rozpytamy, przejdą badania. Pewnie zaraz trafią pod prysznic. – Starannie poprawił czerwoną opaskę ze swastyką na rękawie czarnego munduru. – Herr obergefreiter, gratuluję dobrze przeprowadzonej akcji.

Przez okno Kluge widział niedawne podopieczne prowadzone przez rosnącego konwojenta. Trzymał w dłoni pejcza. Dziewczynka nadal tuliła do piersi lalkę. Uśmiechała się.

Günther miał na końcu języka pytanie o to, co niedawno męczyło jego umysł, ale Müller, pewnie o tym nie wiedząc, udzielił odpowiedzi.

– To Żydowice... Typowe okazy. – Roześmiał się rubaszenie. – W Europie dawno pozbyliśmy się tych insektów, tuczących się krwią czystych ras, ale tutaj jest ich jeszcze sporo. Trafiły w odpowiedniej chwili, właśnie weryfikujemy podopiecznych. Też klasyczni podludzie.

Kluge poczuł zadowolenie. Jego przypuszczenia potwierdziły się.

Zbierał się już do wyjścia. Sekcja zakończyła wykonywanie tego zadania. Pewnie, osądził, za kilka dni nie będzie o nim pamiętał.

– Można ich przecież w rozsądny sposób wykorzystać do prostych prac – rzucił. – Pan to na pewno wie lepiej, sturmführer, ale sądzę, że przy rozbudowie Wału Wschodniego nadal byłiby przydatni.

Müller przecząco pokręcił głową.

– Niewielu rokuje nadzieję na zmianę – stwierdził sucho. – To immanentna cecha charakteru takich osobników.

Westchnął.

– Naturalnie, wykorzystujemy ich do różnych robót, tak jak dawniej. Byli potrzebni do odbudowy wielu miast i tworzenia nowych, teraz naszej dumy. Oszczędziliśmy ich, taka była konieczność. A oni to wykorzystali. I bezczelnie powołują się na nasze europejskie prawo. Ten problem narasta, wymaga rozwiązania. Myślimy, że definitywnego.

Mężczyzna w nienagannie skrojonym, czarnym uniformie uśmiechnął się skąpo.

– Dla gatunku ludzkiego drugiej kategorii nie ma miejsca w Europie nowego ładu i porządku – podkreślił stanowczym tonem. – Poważne wyzwanie i ciężka harówka, ale jej sprostamy. Jak zwykle.

– Oczywiście. – Kluge wstał. Zasalutował. – Wracam do swoich zadań. Heil Hitler!

Wychodząc, znowu poprawił klamrę pasa. Nadal drobny kłopot sprawiała leciuteńka niczym piórko zapinka, z tym samym co dawniej napisem „Gott mit uns”.

Wracali. Z dowództwa batalionu Günther otrzymał polecenie kontynuowania patrolu.

Zatrzymał się na chwilę i przyjrzał majaczącym na horyzoncie umocnieniom pierwszej linii Wału Wschodniego. Ten widok zawsze napawał go dumą. Ostwall, wzniesiony na już azjatyckich stokach Uralu, stale rozbudowywany, stanowił majstersztyk sztuki inżynierskiej, zaporę nie do przebycia dla armii Czerwonych Fanatyków, gdyby kiedyś zdecydowali się go forsować. Dawał pewność, że cywilizowane narody Eurolandu będą spokojnie budować piękną przyszłość.

Coś jednak psuło wspaniały obraz. Wysoki komin obozu przejściowego zasnuwał nieskazitelny błękit nieba kłębamii czarnego dymu.

– Słusznie robią – mruknął pod nosem Kluge. Nie miał wątpliwości, co się stało. – Kraje naszego kontynentu tylko dla tych, którzy na nie zasługują. Nie dla Semitów, słowiańskiego i arabskiego bydła.

Nagle Güntherowi coś się przypomniało. Cos istotnego.

Rolf jeszcze nie odpoczywał. Wilczurowi należał się przynajmniej kwadrans oddechu na zregenerowanie sił. A on sam przestudiuje ważną wiadomość od brata. Zaaferowany przygotowaniami do nocnej libacji, rzucił tylko na nią okiem.

– Piętnaście minut przerwy, żeby nasz czworonożny tropiciel nieco odsapnął! – zakomenderował. – Można palić!

Kluge miał sześcioro rodzeństwa, co wcale nie było rzadkie. Polityka prorodzinna od dziesiątków lat święciła tryumfy. Pozostawał mu jeszcze niecały rok obowiązkowej służby wojskowej, a potem perspektywa urzędnika sobie dostatecznego życia. Niekiedy dowódca sekcji ze zdziwieniem konstatawał, że cztery lata pobytu w Grenschutzu minęły tak szybko, jakby ktoś strzelił z bicia.

Teraz uważnie studiował infowieść od Hansa, najstarszego brata. Prowadził w Tule dużą fabrykę części zamiennych i doskonale mu szło. Chciał, żeby Günther po zwolnieniu

objął kierownictwo nowego działu – odlewniczego. Miał nadzorować pracę prawie setki robotników przeniesionych z Warthegau, niewielkiego landu w środkowej Europie. Hans nadmieniał, że ci ludzie już się zasymilowali. Są szczerymi Niemcami i dobrymi Europejczykami.

To była wspaniała wiadomość i cudowna propozycja. Kluge błogo się uśmiechnął.

Niespodziewanie zerwał się ciepły wiatr, nareszcie przynoszący zapowiedź bardziej skwarnych dni.

Niewielki przedmiot, niesiony podmuchem powietrza, musnął policzek Günthera i upadł mu pod nogi. Żółta kokarda, może źle przymocowana, może pospiesznie odpięta, może zerwana przez nosiciela, leżała u jego stop. Ciągle lśniła czystością pięknego odcienia żółci.

Starannie ją rozdeptał, a potem wgniótł w ziemię.

Tak mocno, że po żółtej kokardzie nie pozostał nawet ślad.

Natychmiast o niej zapomniał. Była drobnym szczegółem bez znaczenia, przemysłnie zszytym kawałkiem tkaniny o wyrazistej barwie, niczym więcej.

Powrócił do swoich myśli. Serce przepelniała radość. I duma, że może żyć właśnie teraz, w tym nowym, wspaniałym świecie Zjednoczonej Europy.

Komin obozu przejściowego dymił coraz bardziej obficie.



SPOOKY STUFF



SPOOKYSTUFFSHOP

OBLICZA PAZUZU.

"EGZORCYSTA" : między fikcją a prawdą

Olga Kowalska

Ta historia wydarzyła się naprawdę. Lata 40. XX wieku, małe amerykańskie miasteczko w stanie Maryland... Zafascynowana spirytualizmem ciotka przynosi czternastoletniemu chłopcu planszę Ouija – zadrukowaną literami deskę, służącą do rzekomej komunikacji z duchami. Ot, tak, dla zabawy. Ten niepozorny zdawałoby się prezent już wkrótce rozpętać miał prawdziwe piekło, rozpoczynając serię wydarzeń, które odtwarzane i przetwarzane były przez popkulturę przez następne dekady.

To, co dzisiaj uznawane jest już za horrorowe klisze, dla rodziny chłopca stało się upiorną rzeczywistością: złośliwe głosy, szepty, tupanie, nieustanna obecność czegoś, czego samemu nie potrafili zdefiniować (przez pewien czas podejrzewali nawet, że za ich kłopotami stoi duch zmarłej jakiś czas wcześniej ciotki, wciągniętej do naszego świata przez interakcję z Ouiją). Najbardziej przerażające okazały się być jednak nie manifestacje audio-wizualne, ale dotkliwa zmiana, zachodząca w samym chłopcu: jego charakter zmienił się nie do poznania, a na ciele pojawiły się znaki i rany, których nie można było w żaden sposób wytłumaczyć. Czas mijał, a to, co wtargnęło w życie tej zwyczajnej, amerykańskiej rodziny rosło w siłę.

Opętanie anonimowego chłopca, znanego w kościelnej dokumentacji pod pseudonimami "Robbie Mannheim" lub "Roland Doe", było pierwszym tak szczegółowo opisanym duchowym udręczeniem. To także najlepiej poświadczony przypadek, bo egzorcyzmom Robbiego przyglądało się czterdzieści osiem osób – wliczając w to personel szpitala psychiatrycznego, w którym rozegrały się kluczowe sceny całego zdarzenia. Nie bez znaczenia dla odbioru i wagi całości miał też fakt, że egzorcyzmów podjął się ojciec Raymond Bishop, uznany wykładowca Uniwersytetu Saint Louis w stanie Missouri, który dołożył wszelkich starań by podejść do sprawy naukowo i opisać jej przebieg z wszelką pieczołowitością.

Kiedy niemal ćwierć wieku później William Peter Blatty usłyszał historię Rolanda, od razu zrozumiał, że ma ona w sobie potencjał, by poruszyć masową wyobraźnię. Niewinne

dziecko, okryta tajemnicą plansza (która tylko w 1967 roku sprzedała się w dwóch milionach egzemplarzy, prześcigając popularną grę Monopoly), zabawy w wywoływanie duchów i wreszcie sugestia, że gdzieś tam, hen, po drugiej stronie, faktycznie coś się znajduje, istnieje i jest nami zainteresowane.

Zamysł pisarza był prosty. Roland – którego prawdziwe dane ze względu na dobro chłopca udało się Kościołowi Katolickiemu zachować w tajemnicy – zamienił się u Blatty'ego w dorastającą Regan, a ojciec Bishop przechrzczony został na Lankester Merrina. Oparte na faktach wydarzenia okraszone zostały kilkoma bardziej "kwiecistymi" wstawkami, w tle zaś pojawił się wątek – jakże charakterystyczny dla lat 70. – kryzysu wiary i poczucia opuszczenia. W ten sposób narodziła się legenda, jeden z najstraszniejszych horrorów wszechczasów – „Egzorcysta”.

Książka rozpoczyna się poza terytorium Stanów Zjednoczonych: podczas wykopalisk w Iraku, ojciec Lankester Merrin natrafia na figurkę asyryjskiego demona Pazuzu. W tym samym czasie dwunastoletnia Regan MacNeil, córka gwiazdy filmowej Chris MacNeil, zapada na dziwną chorobę. Koszmar zaczyna się niewinnie, niemal dziecinnie – omamy, halucynacje, wyimaginowany przyjaciel... Zmiany jednak wkrótce przyspieszają i z czasem Regan nie przypomina już w ogóle siebie sprzed miesiący, czy nawet tygodni... Matka dziewczynki gotowa jest zrobić wszystko, by uratować ciało i duszę córki, ale jej stanu nie potrafią wyjaśnić ani lekarze, ani specjaliści w dziedzinie psychiatrii... Pozostaje ostatnia deska ratunku: ojciec Damien Karras, jezuita zmagający się z własnym kryzysem wiary, który dla dobra dziewczynki przełamie się i wezwie na pomoc tytułowego egzorcystę – ojca Merrina.

Gdyby nie powieść Williama Petera Blatty'ego – a także jej kultowa ekranizacja z 1973 roku, w reżyserii Williama Friedkina – temat opętań, a tym samym związanych z nimi egzorcyzmów, raczej nie miałby szans, by zainteresować nowoczesnego odbiorcę kultury popularnej. Gdy na księgarskich półkach ukazał się "Egzorcysta", duchowość, religijność i wiara ogółem były w świecie zachodnim w zdecydowanym odwrocie, w efekcie rewolucji społeczno-obyczajowych lat 60. Znani i popularni demonolodzy, Ed i Lorraine Warren, podczas swoich wykładów i spotkań niejednokrotnie zaznaczali jak wielki wpływ na kondycję ludzkich dusz miał właśnie ten kryzys. Z jednej strony dominował dyskurs odrzucający wszystko co nienamacalne i istniejące poza światem fizycznym, z drugiej – ci, którzy potrzebowali od życia czegoś więcej, prowadzili poszukiwania w ramach ruchów całkowicie oderwanych od swojej kulturowej tradycji. Napływ kultów ze wschodu, rozwój i szeroki wpływ religijnych sekt, zdumiewająca popularność ruchów New Age – to wszystko

w oczach Eda i Lorraine, ludzi wierzących, których uwaga skupiała się przecież właśnie na temacie duchowych udręczeń, było jednoznacznym dowodem na kolektywny upadek wiary. Być może to jednak właśnie to "płynięcie pod prąd" pozwoliło "Egzorcycie" uzyskać tak spektakularny efekt. Pazuzu, Szatan, Antychryst, jakkolwiek nazwiemy tego Złego, ruszył na łowy, a masowa publika zainteresowała się tak opętaniami, jak i sposobami walki z nimi – egzorcyzmy z impetem wtargnęły do świata szeroko pojętej grozy i horroru, a symbolika chrześcijańska ponownie zyskała na wizualnej atrakcyjności. Widownie na całym świecie zaczęły łaknąć historii o wyginających się w agonii ciałach, o dzieciach torturowanych we śnie przez demoniczne siły, o dziewczętach, które plują jadem, krzyczą zapomnianymi językami i rzucają wyzwanie samemu Bogu.

Łatwo dzisiaj – prawie pół wieku później – zapomnieć o tym, jak monumentalnym wydarzeniem kulturowym była premiera "Egzorcysty" (a raczej obie premiery: tak ta książkowa, jak i filmowa). Ma na to z pewnością wpływ miałość jego rzekomych następców: popkultura, wiecznie głodna nowych i spieniężalnych wrażeń, zasypała nas opowieściami zbudowanymi na podobnym modelu, posuwając się coraz to dalej i dalej w sugestywnym portretowaniu opętanych i odkurzaniu wszelkich historycznych przypadków, na których dałoby się zaczepić tę czy inną produkcję. Wszystkim opatrzonym tym współczesnym odbiorcom, zapewnianym nieustannie, że każdy horror oparty jest przecież na prawdziwych wydarzeniach, coraz trudniej uwierzyć, że gdzieś tam ta biedna Emily wygina się co noc w pościeli, kiedy zegar wybije trzecią nad ranem... Że jakaś Nell kurczy się jak pająk w rogu swojej stodoły, wykrzykując kolejne sprośności... I czasami tylko ktoś natrafi w sieci na makabryczne zdjęcia Anneliese Michel, której przypadku nikt do dzisiaj nie potrafi logicznie wyjaśnić – i pomyśli o niej choć przez chwilę.

A jednak nie zawsze tak było. "Egzorcysta" uważany był za produkt wręcz kontr-kontrkulturowy, ze śmiałością podważający wygodne, hedonistyczne spojrzenie na rzeczywistość, nakazujący zadać sobie pytania, których człowiek postmodernistyczny zadawać wcale nie chce. Historie o ludziach doznających ataków paniki przy lekturze książki czy mdlejących w kinie (ponoć standardem był tuzin zasłabnięć podczas jednego seansu!) obiegały amerykańskie media, podkreślające z niejakim zaciekawieniem, że mdlejącymi były głównie osoby niewierzące. "The New York Times", największa gazeta amerykańskiej liberalnej lewicy, przy okazji premiery filmu poświęciła kilka stron na sportretowanie stojących w kolejkach widzów, odkrywając pełen przekrój etniczny i światopoglądowy, sugerując jakoby masywny sukces "Egzorcysty" wywodzi się z ogólnego poczucia, że "Ameryka idzie do diabła".

Co ciekawe, od momentu wydania książki jej interpretacja dosłowna (na jaką z pewnością zdecydowałoby się wspomniani Ed i Lorraine Warren) szła w parze z interpretacją medyczną, psychologiczną, opierającą się na dodatkowych elementach, które do historii Robbiego dołożył już sam Blatty. Jego Regan łatwo bowiem odebrać jako osobę, której dojrzewające ciało i umysł zostają zaburzone, a nałożenie na siebie anomalii fizyczno-psychicznych doprowadza do symptomów "opętania". Regan dręczą wyrzuty sumienia, jakoby to ona była przyczyną rozvodu swoich rodziców, nie potrafi poradzić sobie z ich rozstaniem, w czym dodatkowo przeszkadza jej matka, traktująca ją nieustannie jako "swoje małeństwo". Według tej interpretacji, pre-kobiecość Regan zostaje uwięziona i spersonalizowana w postaci demona – stąd autodeflacja, stąd seksualne zapętlenie i próba uśmiercenia swojego dziecięcego "ja"... Również perspektywy pozostałych postaci utworu przedstawić można jako zaburzone, wynikające z psychicznych zawirowań: Chris zadreżca się śmiercią syna i obwinia za rozpad rodziny, ojciec Karras zaś nie potrafi pogodzić się z wyborami z przeszłości i podświadomie poszukuje szansy na wzmocnienie swojej upadającej wiary. Każdy tutaj ma coś na sumieniu, ale to najbardziej niewinna z postaci zostaje uwikłana w otaczającą ją demoniczną dorosłość. Dlatego u Blatty'ego pojawia się Legion, ten, w którym zawiera się wielu, a który symbolizuje wszystkie demony, z jakimi zmagają się bohaterowie powieści.

Jednak o tym, czy demon jest prawdziwy czy symboliczny, czy czytelnik uwierzy w Pazuzu, w opowieść o biednej, małej Regan, czy pomyśli w ogóle o chłopcu, którego ciężka przeprawa wszystko to zainspirowała, czyli Rolandzie Doe – to zależy wyłącznie od niego samego i jego spojrzenia na otaczającą nas rzeczywistość. William Peter Blatty udowodnił, że opętania pozostają wielowymiarowe pod względem interpretacji, a ich zagadkowa natura tylko podsycza zainteresowanie, rodzi więcej pytań, popycha do kolejnych poszukiwań. I może warto w tych poszukiwaniach brać pod uwagę słowa naj słynniejszego egzorcysty świata, śp. Ojca Gabriele Amortha, który stwierdził: "postępuje się w mroku wiary, ale ze świadomością, że podąża się ku prawdziwemu światłu."

Zanim jednak dotrzemy do jakiegoś światła, warto mieć się na baczności. Pazuzu i jego pobratymcy będą nawiedzać nasze myśli, dręczyć w nocnych koszmarach i objawiać się w kolejnych popkulturowych twórcach, tak, byśmy nigdy nie zapomnieli, że istnieją wciąż na granicy dwóch światów, fikcji i prawdy.



PRAWDZIWIY OPIS WYPADKU Z P. WALDEMAREM

Edgar Allan Poe

tłum. Bolesław Leśmian

Trudno – doprawdy – dziwić się temu, że nadzwyczajny wypadek, jaki się zdarzył panu Waldemarowi, stał się przyczyną sporów. Cud by to był, gdyby się stało inaczej – szczególnie w takich, a nie innych okolicznościach. Chęć wszystkich stron zainteresowanych dochowania sprawie tajemnicy, przynajmniej na razie lub do czasu pozyskania sposobności nowych badań, oraz nasze ku ich uskutecznieniu wysiłki dały powód do rozpowszechnionych wśród ogółu, nieuzasadnionych lub przesadnych pogłosek, które, ukazując sprawę w świetle najdotkliwiej mylnym, stały się, ma się rozumieć, źródłem głębokiej niewiary.

W chwili obecnej istnieje konieczność, abym podał fakty, w tej przynajmniej postaci, w jakiej sam je rozumiem.

Oto są – w streszczeniu:

W ostatnich trzech latach uwagę moją kilkakrotnie pociągały ku sobie zjawiska magnetyzmu i mniej więcej dziewięć miesięcy temu niemal zniecka uderzyła mię myśl, że

w szeregu dotychczasowych doświadczeń pozostawiono jedną zastanawiającą i niewytłumaczoną lukę: nikogo nie poddano dotąd magnetyzmowi *in articulo mortis*. Wypadało tedy zbadać: po pierwsze – czy pacjent w tym stanie posiada jakąkolwiek wrażliwość na prąd magnetyczny; po wtóre – czy, w razie twierdzącym, wrażliwość owa pod wpływem danych warunków uszczupla się lub wzrasta; po trzecie – w jakim stopniu i na jaki przeciąg czasu można drogą owych doświadczeń powściągnąć zaborczość śmierci. Były i inne punkty do zbadania lecz powyższe najbardziej podzęgały moją ciekawość, szczególnie ów ostatni ze względu na niepomiarłą doniosłość wynikających zeń następstw.

Szukając wokół osobnika, za którego pomocą mógłbym wyjaśnić owe punkty, mimo woli zwróciłem uwagę na przyjaciela mego – Ernesta Waldemara znanego kompilatora „Biblioteca Forensica” oraz autora (pod pseudonimem Issachara Marxa) polskich przekładów Wallensteina i Gargantuy. Waldemar, który od roku 1839 przebywał głównie w Harlemie (Nowy Jork), jest lub był godny szczególnej uwagi z powodu swej niezwyklej chudości – dolną połowę ciała przypominał niezmiernie Johna Randolpha – oraz z powodu białych baków, odrzynających się od czarnej czupryny w ten sposób, że każdy brał ową czuprynę za perukę.

Był wyjątkowo nerwowego usposobienia i dzięki temu stanowił doskonale narzędzie dla doświadczeń magnetycznych. Po dwakroć lub po trzykroć przyprawiłem go o sen bez zbytnich wysiłków, lecz zawiodły mnie inne oczekiwania, powzięte na zasadzie osobliwej budowy jego ciała. Nigdy wola jego nie uległa mi istotnie i całkowicie, zaś pod względem jasnowidzenia nie osiągnąłem skutków, na których mógłbym cokolwiek ugruntować. Moje w tym kierunku niepowodzenia przypisywałem zawsze chwiejnym stanom jego zdrowia. Na kilka miesięcy przed naszą znajomością lekarze stwierdzili w nim zgoła wyraźne suchoty. Miał niezaprzeczenie zwyczaj mówienia o swej bliskiej śmierci ze sporą obojętnością jak o rzeczy nieuniknionej i nie nadającej się do żalu.

Nic więc dziwnego, że gdy wyżej skreślone myśli po raz pierwszy przysły mi do głowy, przypomniałem sobie Waldemara. Zbyt dobrze znałem poważny światopogląd tego człowieka, ażebym obawiał się jakichkolwiek z jego strony przeszkód; przy tym nie miał on w Ameryce krewnych, którzy by mogli pod pozorem słuszności wtrącić się do sprawy.

Zgoła otwarcie wyznałem mu moje zamiary i, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, okazał w tym kierunku bardzo gorliwą ciekawość. Rzekłem: ku wielkiemu zdziwieniu, ponieważ pomimo zawsze łaskawego udzielania mi swej osoby, gwoli doświadczeń, nigdy nie zdradzał współczucia dla mych badań. Choroba jego należała do rodzaju tych, które pozwalają na dokładne przewidzenie chwili swego rozwiązania, i koniec końcem zapadł

pomiędzy nami układ, że uprzedzi mnie na dwadzieścia cztery godziny przed owym kresem, który lekarze zgonowi jego wyznaczą.

Siedem miesięcy upłynęło obecnie od czasu, gdy od Waldemara otrzymałem list następującej treści:

Kochany P.

Uczynisz chyba niezgorzej, jeżeli przyjdiesz teraz, D. i F. twierdzą zgodnie, iż nie przetrwam jutrzejszej północy i – moim zdaniem – rachuby ich są trafne lub też niewiele od prawdy odbiegają.

Waldemar

Otrzymałem ów list w pół godziny po jego napisaniu i najwyżej w kwadrans potem – byłem już w pokoju konającego. Nie widziałem go od dni dziesięciu i przeraziła mię straszliwa zmiana, która w nim zaszła w tak krótkim okresie czasu.

Twarz jego miała barwę ołowiu, oczy zgoła wygasły, a wychudł tak znacznie, że skóra na policzkach popękała. Wydzieliny flegmy stały się niezwykle obfite, puls zaledwo wyczuwalny. Mimo to zachował w sposób dziwnie osobliwy wszystkie władze umysłowe oraz pewną dozę sił fizycznych. Mówił wyraźnie, sam bez niczyjej pomocy zażywał lekarstwa, które były jeno półśrodkami, i w chwili gdym wszedł do pokoju, był zajęty kreśleniem jakichś uwag w notatniku. Znajdował się w łożu, wsparty na poduszkach. Doktorzy D. i F. czuwali nad nim.

Uściskawszy dłoń Waldemara, wziąłem tych panów na stronę i otrzymałem od nich szczegółowe sprawozdanie ze stanu chorego.

Lewe płuco od osiemnastu miesięcy znajdowało się w stanie na wpół zwapnionym lub chrząstkowym i całkowicie zatraciło zdolność jakiegokolwiek funkcji życiowej. Prawe zaś – w swej górnej okolicy było – jeśli nie doszczętnie – w każdym razie częściowo zwapniałe, podczas gdy dolna jego połać była jeno miazgą ropnych, przenikających się nawzajem wrzodów.

Stwierdzono kilka głębokich rozpadów oraz w jednym miejscu – ścisły przyrost żeber. Te zmiany prawego płuca były stosunkowo świeżej daty. Wapnienie odbywało się z niezwykłą szybkością – miesiąc temu nie wykryto jeszcze jego śladów – zaś przyrost zauważono dopiero w ostatnich trzech dniach. Niezależnie od suchot domyślano się

anewryzmu aorty, lecz pod tym względem symptomy wapnienia wzbraniały dokładnej diagnozy. Zdaniem obydwu lekarzy śmierć p. Waldemara miała nastąpić nazajutrz, w niedzielę, około północy.

Była właśnie sobota, godzina siódma wieczorem. Opuszczając łoże konającego dla rozmowy ze mną, doktorzy D. i F. pożegnali go na zawsze. Nie zamierzali doń powrócić, lecz ustępując moim prośbom, zgodzili się odwiedzić chorego około godziny dziesiątej w nocy. Po ich wyjściu mówiłem z Waldemarem swobodnie o jego bliskiej śmierci i ze szczególnym naciskiem – o zamierzonym przez nas doświadczeniu. Okazał, jak zawsze, szczerą ku temu gotowość, a nawet zdradził gorącą chęć poddania się doświadczeniu i naglił mię do natychmiastowego wykonania. W pokoju do pomocy było dwoje służby – mężczyzna i kobieta, lecz nie czułem się dość na siłach, aby się podjąć tak poważnego zadania bez zapewnienia sobie skuteczniejszego współpracownictwa niżli to, którego mogłyby udzielić wspomniane osoby w razie niespodzianego wypadku. Odsunąłem tedy doświadczenie na godzinę ósmą, kiedy przybycie znajomego mi poniekąd Teodora L. – studenta medycyny – miało mnie ostatecznie wybawić z mego zakłopotania. Pierwotnie postanowiłem wyczekiwać przyjścia lekarzy, lecz skłoniły mię do natychmiastowego rozpoczęcia doświadczeń – po pierwsze – usilne prośby Waldemara, po wtóre zaś – moje własne przekonanie, iż nie mam chwili do stracenia, gdyż było jasne, że chory kona.

P. L. był na tyle uprzejmy, iż zadośćuczynił wyrażonej przeze mnie prośbie notowania wszystkiego, cokolwiek się zdarzy. I właśnie na jego sprawozdaniu, że tak powiem, wzoruję moją opowieść. Pomijając skróty, przytaczam je dosłownie.

Było mniej więcej pięć minut do ósmej, gdy ujawszy dłoń pacjenta prosiłem go, aby możliwie jasno stwierdził wobec p. L., że na jego – Waldemara – wyraźne życzenie mam go poddać doświadczeniom magnetycznym w takich a takich okolicznościach.

Odpowiedział cicho, lecz wyraźnie:

„Tak, pragnę poddać się doświadczeniom magnetycznym” – i natychmiast dorzucił: – „Obawiam się, nie bez powodu, żeś zwlekał zbyt długo”.

Podczas gdy mówił, rozpocząłem ów rodzaj pasów, których skuteczność dla uśpienia jego osoby była mi już wiadoma.

Pierwszy ruch mej dłoni, przesuniętej po jego czole, wywarł na nim wpływ widoczny, lecz pomimo zużycia całej mojej usilności nie osiągnąłem żadnego innego, postrzegalnego skutku aż do godziny dziesiątej minut dziesięć, kiedy lekarze D. i F. przybyli zgodnie z umową. W kilku słowach wytłumaczyłem im moje zamiary i, ponieważ nie czynili mi żadnych przeszkód, twierdząc, iż pacjent jest w okresie agonii, bez wahania trwałem nadal

w swej czynności, zastępując wszakże pasy poprzeczne – wzdłużnymi i skupiając wszystek mój wzrok w oku konającego.

W tym czasie puls jego stał się niewyczuwalny, zaś oddech utrudniony i nacechowany półminutowymi przerwami.

Stan ów trwał kwadrans niemal bez zmiany, po upływie tego czasu wszakże z piersi konającego wyrwało się jedno prawidłowe, chociaż straszliwie przepastne westchnienie, i chrapliwość oddechu minęła, a raczej chrapanie stało się niesłyszalne. Przerwy nie zmniejszyły się. Kończyny jego ciała były zimne jak lód.

O pięć minut do jedenastej zauważyłem nieomylnie oznaki przemocy magnetycznej. Szkliste migotania oka przybrały mozolny wyraz spojrzeń do wewnątrz, które się zdarzają jeno w wypadkach somnambulizmu i co do których nie można się pomylić. Za pomocą kilku poprzecznych, szybkich pasów zniewoliłem powieki do drgania, które nas zazwyczaj przed snem nawiedza, i przedłużając nieco tę czynność działałem, iż zamknęły się zupełnie. Nie poprzestałem na tym i nadal wykonywałem swe ruchy dosadniej i z bardziej natężonym wysiłkiem woli, aż całkowicie sparaliżowałem członki śpiącego, nadawszy im uprzednio wygodne według wszelkich pozorów położenie. Nogi były całkowicie wyprostowane wzdłuż. Ręce z lekka wyciągnięte, spoczywały na łóżku w umiarkowanej odległości od bioder. Głowa była bardzo nieznacznie wzniesiona.

Gdym tego dokonał, wybiła północ, i zwróciłem się do obecnych z prośbą zbadania stanu, w którym się znajduje Waldemar. Po kilku próbach stwierdzili, iż znajduje się w stanie niezwykle doskonałej katalepsji magnetycznej. Ciekawość obydwu lekarzy wielce urosła. Doktor D. postanowił niezwłocznie całą noc spędzić przy chorym – podczas gdy doktor F. pożegnał nas, obiecując wrócić skoro świt. P. L. i służba zostali.

Pozostawiliśmy Waldemara w całkowitym spokoju aż do godziny trzeciej z rana – wówczas zbliżyłem się doń i znalazłem go ściśle w tym samym stanie, co w chwili odejścia doktora F. – to znaczy, iż trwał w tej samej pozycji, iż miał puls niewyczuwalny, oddech słaby, zaledwo pochwytany – dostępny jeno probierzowi zbliżonego do ust zwierciadła, oczy zamknięte, a ciało sztywne i zimne jak marmur. Wszakże wygląd ogólny bez wątpienia nie był wyglądem – trupa.

Zbliżając się do Waldemara, zrobiłem coś w rodzaju półwysiłku, aby zniewolić jego prawą dłoń do stowarzyszenia się z moją w ruchach, które z lekka kreśliłem ponad nim. Dawniej, próbując tych doświadczeń z chorym, nie osiągałem nigdy całkowitego skutku i doprawdy nie miałem nadziei, że tym razem uda mi się lepiej, lecz ku memu wielkiemu

zdziwieniu, dłoń jego powtarzała bardzo łagodnie, chociaż z lekka jeno kreśląc, wszystkie dłońią moją wskazane kierunki. Postanowiłem narazić go na kilka słów rozmowy.

– Waldemarze – rzekłem – czy śpisz?

Nie odpowiedział, lecz zauważyłem dreszcz w jego wargach i byłem zmuszony powtórzyć moje pytanie po dwakroć i po trzykroć. Za trzecim razem nieznaczne drżenie poruszyło jego ciałem, powieki uniosły się same przez się, jak gdyby po to tylko, aby odsłonić białe pasmo ocznej gałki – wargi poruszyły się leniwie i w zaledwo pochwytnym szepcie uroniły te słowa:

– Tak – śpię teraz. Nie budźcie mnie! Pozwólcie mi umrzeć w tym stanie!

Dotknąłem ciała – było sztywne jak wprzódy. Dłoń prawa, jak przed chwilą, ulegała wskazaniom mojej dłoni. Spytałem znowu śpiącego somnambulicznie:

– Czy zawsze czujesz ból w piersi, Waldemarze?

Odpowiedź nastąpiła nie natychmiast, a była jeszcze mniej wyraźna niż pierwsza:

– Ból? – Bynajmniej. – Umieram.

Uważałem w danej chwili za niestosowne – niepokojenie nadal jego osoby, toteż nie przybyły żadne słowa ani czyny – aż do przyjścia doktora F., który uprzedził nieco wschód słońca i doznał zdziwienia bez granic, zastawszy chorego jeszcze przy życiu. Po zbadaniu pulsu śpiącego i zbliżeniu do ust zwierciadła, prosił mię, abym doń przemówił:

– Czy wciąż śpisz, Waldemarze?

Jak wprzódy, upłynęło kilka minut bez odpowiedzi i – w przeciągu tego czasu – konający zdawał się skupiać wszystkie swe siły dla pozyskania mowy. Na powtórzone po raz czwarty przeze mnie pytanie odpowiedział bardzo cicho, prawie niesłyszalnie:

– Tak, wciąż – śpię – umieram.

Było to wnioskiem, a raczej życzeniem lekarzy, aby Waldemar pozostał – bez żadnych przeszkód – w obecnym stanie widomego spokoju aż do chwili, kiedy śmierć przyjdzie, a przyjść miała – według jednogłośnego zdania – w przeciągu minut pięciu. Postanowiłem wszakże raz jeszcze doń przemówić i powtórzyłem po prostu pytanie poprzednie.

Podczas gdy mówiał, w twarzy śpiącego odbyło się znaczne przeobrażenie. Oczy, z lekka widoczne spoza przesłaniających je powiek, zapadły się w swych orbitach – skóra nabrała trupich zabarwień przypominających nie tyle pergamin, ile biały papier, i dwa okrągłe suchotnicze wypieki, które dotąd tkwiły uporczywie na środku każdego policzka, zgasły zniemacka. Używam tego określenia, ponieważ nagłość ich zaniku narzuciła mej wyobraźni raczej zgaszoną świecę, niżli wszelkie inne porównania. Jednocześnie górna warga skurczyła

się, uchodząc wzwyż ponad zęby, które przed chwilą szczelnie przesłaniała, podczas gdy dolna szczęka w pochwytnych niemal dla ucha podrygach opadła, pozostawiając usta w zupełnym rozwarciu i odsłaniając w pełni szerniały i obrzmiały jęzor. Przypuszczam, iż wszyscy obecni oswojeni byli z okropnościami śmiertelnego łoża, lecz wygląd Waldemara był w tej chwili tak potworny, tak ponad wszelką wyobraźnię potworny, że wszyscy tłumnie cofnęli się precz – od obrębu łoża.

Czuję oto teraz, że doprowadził moją opowieść do chwili, kiedy zbuntowany czytelnik odmówi mi wszelkiego zaufania. Mimo to – uważam za swój obowiązek – ciągnąć dalej opowieść.

Zanikła w Waldemarze najślabsza oznaka życia i, sądząc, że umarł, poleciliśmy go opiece służby, gdy nagle sprężysta fala ruchu zaznaczyła swą obecność w języku. Trwało to zapewne jedną chwilę. Po upływie tego czasu z wyważonych i znieruchomiałych szczęk wypłynął głos – głos taki, że próba określenia tego głosu byłaby szaleństwem. Są wszakże dwa lub trzy przymiotniki, które doń można w przybliżeniu zastosować: oto mogę powiedzieć, iż dźwięk ów był ostry, poszarpany i stłumiony, lecz potworna jego całość wymyka się określeniom, a to z powodu, że nigdy dźwięki podobne nie dotykały swym rykiem ucha ludzkiego. Były wszakże dwa szczegóły, którym, jak myślałem wówczas i myślę dotychczas, można było przypisać cechy charakterystyczne owego tonu i które zdolne były dać wyobrażenie o jego nieziemskiej poczwarności. Po pierwsze – głos zdawał się dosięgać naszych, a w każdym razie moich uszu tak, jakby wybiegał z niezmiernie odległej przestrzeni lub z podziemnej przepaści. Po wtóre (obawiam się doprawdy nieuniknionej niezrozumiałości moich słów) wywierał na mnie takie wrażenie, jakie na zmyśle dotyku wywiera lepka lub galaretowata miazga.

Mówię jednocześnie o dźwięku i o głosie. Otóż chcę zaznaczyć, dźwięk posiadał rozczłonkowanie wyraźne, a nawet straszliwie, przerażająco wyraźne. Waldemar zdobył się na mowę, najwidoczniej odpowiadając na zadane mu przeze mnie kilka minut temu pytanie. Czytelnik sobie przypomina, że go zapytałem, czy śpi nieustannie? Odpowiedź teraz brzmiała:

– Tak, nie – spałem, a teraz – teraz jestem martwy.

Nikt z obecnych nie próbował odeprzeć ani nawet przytłumić nieopisanego, pełnego zgrozy przerażenia, które tak nieodparcie wznieciły te nieliczne, a w ten sposób wymówione słowa. Student L. – stracił przytomność. Służba niezwłocznie pierzchła z pokoju i nic by jej nie zmusiło do powrotu. Co się zaś tyczy moich własnych wrażeń – tych nie próbuję nawet

udostępnić zrozumieniu czytelnika. Godzinę niemal krzątaliśmy się w milczeniu (nikt słowa nie uronił) dokoła p. L., aby go ocucić. Gdy odzyskał zmysły, przystąpiliśmy ponownie do badań nad stanem Waldemara.

Stan ów pod każdym względem trwał w tej samej postaci, w jakiej opisałem go ostatnio, z tą jeno różnicą, że zwierciadło nie dawało już żadnej oznaki oddechu. Próba upustu krwi z ręki spełzła na niczym. Muszę też zaznaczyć iż wspomniana część ciała odmówiła posłuszeństwa mej woli. Na próżno próbowałem zaprawić ją do powtarzania ruchów mej dłoni.

Jedyna, rzeczywista oznaka magnetycznego wpływu ujawniała się obecnie w ruchliwym trzepotaniu się języka. Ilekroć zwracałem się do Waldemara z pytaniem, zdawało się, że czyni wysiłek w celu odpowiedzi, lecz że akt jego woli nie jest dość trwały. Na pytania, zadawane nie przeze mnie, jeno przez inne osoby, był bezwzględnie nieczuły, chociaż starałem się nawiązać styczność magnetyczną pomiędzy nim a każdym z obecnych. Przypuszczam, że podałem teraz wszystkie wiadomości, niezbędne dla zrozumienia w danym okresie stanu śpiącego snem somnambulicznym. Pozyskaliśmy innych pielęgniarzy i o godzinie dziesiątej opuściłem mieszkanie w towarzystwie obydwu doktorów oraz p. L.

W porze popołudniowej wszyscy ponownie odwiedziliśmy pacjenta. Stan jego był bezwzględnie jednaki. Wszczęliśmy spór na temat pomyślności i możliwości obudzenia go ze snu, lecz wkrótce przyszliśmy do zgodnego wniosku, iż w ten sposób nie pozyskamy żadnych pożądaných skutków.

Było jasne, iż przemoc magnetyczna powściągnęła działanie śmierci lub tego, o czym zazwyczaj słowo śmierć napomyka. Stało się dla nas wszystkich oczywistością, iż obudzenie Waldemara byłoby po prostu stwierdzeniem jego zgonu lub przyśpieszeniem śmiertelnego rozkładu.

Od owej chwili aż do końca zeszłego tygodnia – mniej więcej siedmiomiesięczny odstęp czasu – zbieraliśmy się codziennie w mieszkaniu Waldemara w towarzystwie innych jeszcze doktorów i znajomych. W przeciągu tego czasu śpiący trwał ściśle w jednakim, opisanym już przeze mnie stanie. Dozór pielęgniarzy trwał nieustannie.

W zeszły piątek postanowiliśmy ostatecznie poddać go ocknieniu lub przynajmniej próbie ocknienia i właśnie opłakane zapewne skutki tej ostatniej próby dały powód do tylu sporów wśród kół prywatnych oraz do tylu mylnych pogłosek, w których nie mogę się nie dopatrzeć wyniku niczym nie usprawiedliwionej łatwowierności tłumu.

Dla pozbawienia Waldemara katalepsji magnetycznej uciekłem się do zwykłych pasów. Przez czas pewien nie było żadnych skutków. Jediną oznaką powrotu do życia był częściowy opad tęczy. Zauważyliśmy jako zjawisko wielce odmienne, iż owej niżce tęczy towarzyszyły bardzo obfite wydzieliny żółtawej wilgoci (spod powiek) o zapachu ostrym i niezmiernie przykrym.

Wówczas poddano mi myśl wypróbowania mych wpływów magnetycznych na dłoni pacjenta, jak to uprzednio czyniłem. Jałem próbować, lecz nadaremnie. Doktor F. wyraził życzenie, abym zadał pacjentowi jakiegokolwiek pytanie. Uczyniłem temu zadość w sposób następujący:

– Waldemarze, czy możesz nas objaśnić, jakie uczucia lub pragnienia posiadasz obecnie?

Tu – nastąpił natychmiast powrót gorączkowych wypieków na policzki, język drgnął lub raczej zakłębił się gwałtownie w jamie ustnej (choćby szczęki i wargi zachowywały wciąż swój bezruch) i wreszcie ten sam straszliwy głos, o którym mówiłem, wyszarpnął się stamtąd:

– Na miłość Boga, prędzej – prędzej! Pogrzeżcie mnie we śnie! – Lub – prędzej – zbudźcie mnie! Toć mówię wam, że martwy!

Byłem do głębi wstrząśnięty i przez chwilę wahałem się, co mam czynić? Zrobiłem zrazu wysiłek, aby uspokoić pacjenta, lecz nie osiągnąwszy w tym kierunku skutków dla zupełnego braku woli, odwróciłem zamiar i starałem się co prędzej obudzić go ze snu. Postrzegłem wkrótce, iż ten zamiar uwieńczy się zupełnym tryumfem, lub raczej rojem, iż mój tryumf będzie zupełny, i jestem pewien, iż wszyscy obecni spodziewali się ocknienia śpiącego. Lecz żadna istota ludzka nie mogła się spodziewać tego, co się w rzeczywistości zdarzyło, wybiega to poza wszelką granicę prawdopodobieństwa. Gdym szybko czynił pasy magnetyczne wśród okrzyków: „Martwy! martwy!”, którymi po prostu bluzgał język, nie zaś wargi śpiącego, całe jego ciało – od razu – w przeciągu minuty lub mniej niż minuty – obluźniło się – rozpadło się na żdźbła – doszczętnie zgniło mi w rękach. Na łożu – w oczach wszystkich obecnych – leżała wstrętna, na wpół płynna miazga – coś w rodzaju potwornej zgnilizny.

PARTNERZY





YES



NO

SHRED PERSPECTIVES WORKS
DESIGN



DARK ART
AND DESIGN

GOOD BYE



Jeśli
piszesz
horro-
ry,
wiedz,
że HIS-
TERIA
się
tobą
intere-
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.

Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com

